

WITOLD ZEGALSKI

**KRATER
CZARNEGO SNU**
POWIEŚĆ FANTASTYCZNA



WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE POZNAŃ 1960

NIK NATIN

Nik Natin wrócił z telekina i zgrzany usiadł w fotelu, rozkoszując się chłodem plastycznych poduszek. Z niewidocznych klimatyzatorów płynęło rześwe, górskie powietrze, przez różnobarwne tafle okien wpadały słoneczne promienie, załamując się na grzbietach tomów dużej filmoteki. Natin był zmęczony. Po półrocznej pracy w Centrali Międzykontynentalnej Gazety Telewizyjnej „Glob” odczuwał potrzebę gruntownego odpoczynku. Zwykły, od wieków niezmienny los reportera kierował nim po rozmaitych zakątkach lądów i stacjach kosmicznych, wszędzie, gdzie myśl ludzka wybija głośniejszy rytm naszej epoki. Przeciągnął się w fotelu i z przyjemnością pomyślał, że od jutra rozpoczyna urlop. Jak zwykle, gdy chodziło o wybór przyjemności, Natin był niezdecydowany, wyobraźnia kusila go obrazem górskich szczytów i prymitywnych warunków bytowania w himalajskich schroniskach, podsuwając zarazem obrazy inne — pełne palm i kwiatów wyspy polinezyjskie, wielkie jeziora afrykańskie... Niezdecydowany patrzył na biegnące po niebie serie reklam.

Zwiedzajcie osiedla księżycowe — odczytał jedną półgłosem.

Do pokoju wszedł automat i stanąwszy przy fotelu brzęczał niecierpliwie.

— Jestem Browin z „Globu” — powiedział, gdy w końcu Natin spojrział na wystającą z jego tarczy czołowej komórkę włącznikową.

— Dzień dobry, Browin!

— Słuchaj, Nik — powiedział automat — spędzeniem wolnego czasu możesz się już nie martwić. Na polecenie Kalira odwołuję ciebie z urlopu. Masz się zająć sprawą promieni energetycznych i traktować ją jako specjalnie ciekawą. Twoją legitymację prasową kazałem podłączyć do złotego symbolu informacji. Przed podjęciem pracy proszony jesteś o osobiste zgłoszenie się u Kalira. Życzę powodzenia.

Nik cisnął papierosa i ze złością spojrział na robota.

— Wynoś się — powiedział krótko.

Automat brzęcząc cicho wycofał się z pokoju.

Urlop przepadł. „Traktuj sprawę jako specjalnie ciekawą”, oznaczało wolną rękę we wszystkich poczynaniach zmierzających do uzyskania potrzebnych wiadomości. Mógł wyruszyć na którykolwiek z kontynentów, udać się w przestrzenie międzyplanetarne, żeby tylko uzyskać informacje. Cały dorobek myślowy i techniczny stanął do jego dyspozycji. Podłączenie legitymacji prasowej do złotego symbolu otwierało drzwi wszystkich instytutów i zakładów, torowało drogę do gabinetów uczonych, zobowiązywało każdego człowieka do udzielenia jak najbardziej szczegółowych wyjaśnień i pomocy.

Natin wydobyl z kieszeni legitymację i nacisnął włącznik. Na jej ekraniku ukazał się wirujący glob ziemski, przepasany wstęgą z napisem Informacja. Z dołu błyszczała cyfra cztery, oznaczająca ilość miliardów mieszkańców Ziemi. „Właściwie to mam szczęście” — pomyślał patrząc na złoty znak, którego otrzymanie było marzeniem każdego reportera.

Morze Deszczów dostarczy tobie niezapomnianych wrażeń — zachęcała następna reklama biegnąca po niebie.

Natin westchnął. Wrzucił kamerę filmową do kieszeni i udał się na dworzec helikopterowy. W ten sposób po dwudziestu minutach znalazł się w nurcie wypadków związanych z promieniami E, wykonując polecenie przekazane mu przez automatycznego sekretarza.

I

PROMIENIE E

Helikopter zakołysał się lekko, brzęczenie motoru nabrało matowości i maszyna powoli zaczęła opadać. Siedzący przede mną pilot odwrócił głowę:

— Lądujemy, redaktorze.

Spojrzałem przez szybę kabiny. W dole, w blaskach zachodzącego słońca leżało miasto przecięte błękitną wstęgą rzeki. To już Paryż. Przekręciłem gałkę telewizora i sącząca się z aparatu muzyka ucichła, postacie na ekranie zatarły się. Helikopter zatoczył przepisowe koło i lekko usiadł na płaskim dachu Centrali. Drzwi kabiny rozsunęły się bezszelestnie.

Przedemną roztoczyła się panorama Paryża, dobrze znana, jednak stale urzekająca pięknością. Stałem przez chwilę na tarasie, chłonąc wzrokiem rozedrgane barwy, po czym skierowałem się w stronę wyjścia. Ruchome schody przeniosły mnie w dół na dziesiątą kondygnację, skąd prowadzony przez świetlnego portiera, poszedłem szerokim, wyłożonym barwnym plastikiem korytarzem. Niedługo trwała moja wędrówka. Światelko zgasło, automat odzwierny otworzył drzwi i znalazłem się w gabinecie naczelnego redaktora „Globu”.

Kalir słuchał komunikatów. Bez słowa wskazał mi fotel. Strefa Pacyfiku nadawała ostatnie wiadomości:

„...w nocy z dnia 30 czerwca na 1 lipca w bezludnych okolicach Oceanu Spokojnego miało miejsce niespotykane dotąd zjawisko. Na wysokości około 20 kilometrów od powierzchni oceanu nastąpił wybuch o nadzwyczajnej sile, którego blask był widoczny w promieniu 5 tysięcy kilometrów. W miejscu wypadku wzniosł się świetlisty obłok wrzecionowatego kształtu, sięgając górnych warstw atmosfery. Zjawisku temu towarzyszyły nieustanne wyładowania elektryczne o olbrzymim natężeniu. Z końca wrzeciona oderwały się liczne świetliste dyski, szybujące w kierunku wschodnim. Eksplozja spowodowała zaburzenia atmosferyczne i elektromagnetyczne. Wystąpiły gwałtowne wiry powietrzne i cyklony. Masy wodne, spiętrzone w okolicy wypadku, dotarły do Wyspy Wielkanocnej, powodując szereg poważnych uszkodzeń w urządzeniach portowych.

„...Idący w sztormie transportowy statek oceaniczny »Posejdon« o napędzie elektrycznym linii P-4, dążący z San Francisco do Sydney, nadał sygnał: »Pomocy!«. Na skutek otarcia się o spadający świetlisty obłok nastąpiło częściowe przepalenie lewej burty oraz gwałtowne wyładowanie baterii głównych. Okręt stał się igraszką sztormu i począł tonąć. Na pomoc »Posejdonowi« wyruszył okręt atomowy »Błysk«, który odprowadził go do najbliższego portu.

„Naddźwiękowiec służby meteorologicznej, patrolujący obszary położone na wschód od Nowej Zelandii, napotkał na swej drodze ognistą kulę lecącą z szybkością około 1100 km na godzinę w kierunku południowym. Chcąc zbadać przyczynę niezwykłego zjawiska, pilot Markon zbliżył się do toru jej lotu. Wówczas ognista kula poczęła ścigać naddźwiękowiec. Pomimo włączenia przez pilota maksymalnej szybkości jego maszyny i wykonywania szeregu ewolucji, kula nie zaprzestała pogoni, stale zmniejszając odległość dzielącą ją od samolotu. Po dziesięciu minutach ucieczki Markonowi udało się zgubić swego prześladowcę przez wprowadzenie naddźwiękowca w chmury deszczowe.

„Istnieje przypuszczenie, że wszystkie te zjawiska mają związek z nieudanym przesłaniem promieni E z miasta atomowego do zakładów raketowych »Kosmonium« w Ameryce Południowej. Wiadomości sportowe...”

Kalir zdecydowanym ruchem przekręcił wyłącznik. Przez chwilę jeszcze siedział zadumany, spoglądając na klatki szybkiejących wind opadające w wieżowcu po drugiej stronie

bulwaru, zanim połączył się z sekretariatem.

— Poproście dział materiałów — powiedział do mikrofonu. — Niech przyślą ostatnie wiadomości dotyczące rozruchu miasta atomowego.

Wstał i nerwowo zaczął się przechadzać po gabinecie.

Sprawa miała dziwny charakter. Instykt reporterski mówił mi, że wypadki, jakie zdarzyły się ubiegłej nocy, nie są wypadkami zwykłymi.

— Nareszcie jakaś porządna sensacja, Natin — powiedział Kalir krążąc po gabinecie. — Od długiego czasu brak było naprawdę ciekawej sprawy, takiej, która wyludnia ulice i skupia ludzi przy telewizorach. Teraz, zdaje się, mamy coś takiego!

Wyjął ze stojącego na biurku automatu papierosa i zaciągnął się głęboko.

— Sprawa wynalazku profesora Szmida warta jest przerwania urlopu. Zapewne nie wiesz, że od kilkunastu godzin w Genewie obraduje Rada Naukowa?

Nie przypuszczałem, że sprawy miasta atomowego przybrały aż tak poważny charakter. Rada Naukowa zbiera się jedynie w wyjątkowych wypadkach.

— Wśród ludzi olbrzymie poruszenie — ciągnął dalej Kalir. — W Ameryce i Australii wykupiono wszystkie publikacje dotyczące wynalazku Szmida. Z Antarktydy donoszą o zaniepokojeniu, jakie wywołała wiadomość wśród budowniczych sztucznego słońca. Na niektórych stacjach wstrzymano prace do chwili wyjaśnienia przyczyn wypadku. Grupa opozycyjna w Centrali Energetycznej wznowiła działalność. W Rzymie, Marsylii i Rio de Janeiro rozrzucano ulotki wymierzone przeciwko wynalazkowi. Kilku konserwatywnych energetyków usiłowało zorganizować wiece...

Przy okienku poczty wewnętrznej zapłonął rubinowy sygnał i po chwili na biurku pojawiła się metalowa puszka.

— Świetnie — powiedział Kalir, zaprzestając przechadzki po gabinecie. — Trzeba się spieszyć. Przejrzymy natychmiast materiały. Za pół godziny powinny pójść na antenę.

Wziął puszkę z filmem i wrzucił ją do aparatu projekcyjnego. Olbrzymi ekran zajmujący jedną ze ścian gabinetu rozjaśnił się, ukazując panoramę Kairu. Zachodziło słońce. Ogniasta kula zapadała na horyzoncie w zieleń lasów Sahary, rzucając promienie na olbrzymie miasto. Wśród symetrycznej sieci bulwarów, otaczających centrum Kairu, wznosiły się gmachy mieszkalne połączone kilkoma poziomami ulic. Pomarańczową barwą lśniły ściany pokryte antytropikalnym tynkiem, pławiły się w ostatnich promieniach szerokie, wypełnione elektrowozami i atomobilami jezdnie. Raz po raz spośród rzeki pojazdów podrywały się helikoptery i brzęcząc jak wielkie, barwne owady znikwały nad dachami domów. W dali, w centrum miasta, ponad strzelistymi sylwetkami wysokościowców wznosił się potężny masyw Pałacu Wynalazców podobny do olbrzymiego obelisku. Po drugiej stronie Nilu błyszcząły jeszcze ekrany helioelektrowni.

„Niedawno zainteresowanie ludzkości skupiały wielkie roboty regulacyjne w dorzeczu Amazonki i uruchomienie pierwszych kopalń na Marsie” — mówił niewidoczny na ekranie spiker — „dzisiaj z kolei uwagę przykuwa wynalazek profesora Szmida z paryskiego Instytutu Energii. Oczy ludzi skierowane są na Kair i na skrawek jałowych piasków, zachowany wśród zieleni Sahary, na którym powstało miasto atomowe — olbrzymia automatyczna fabryka promieni E, mająca wkrótce obsłużyć energią elektryczną całą naszą planetę wraz ze stacjami grawitacyjnymi, utrzymującymi sztuczne słońce nad Antarktydą. Niedługo już zniknie biała czapa lodów pokrywająca biegun południowy, a mieszkańcy osiedli na księżycu oglądać będą w tym miejscu ciemną plamę roślinności i złotą iskrę sztucznego słońca Helios II.”

Miejsce bulwarów zajęły potężne mury drapacza chmur. Przed wejściem stało kilkadziesiąt atomobilów lśniących w świetle latarń jak fosforyzujące żuki. Potężne mury gmachu wznosiły się strzeliście w czerń nieba usianego gwiazdami, po którym przesuwwały się wolno strzępiaste plamy rzadkich obłoków. Tysiące okien były ciemne, tylko na trzydziestym piętrze błyszcząły szyby potokiem światła jak samotna stacja kosmiczna zawieszona w przestrzeni.

„Kairski Pałac Wynalazców” — informował spiker — „w którym mieści się centrala miasta atomowego. Stąd zostaną wysłane impulsy włączające stopy i kierujące emisją promieni energetycznych. Na uroczyste otwarcie przybyło wielu wybitnych naukowców ze wszystkich zakątków naszego globu.”

Słowom towarzyszył obraz dużej sali wypełnionej tłumem uczonych. Spośród tego grona wyróżniała się przygarbiona sylwetka człowieka ubranego w biały płaszcz laboratoryjny.

„Oto profesor Szmidt, wynalazca promieni E i twórca miasta atomowego” — objaśniał spiker. — „Jego wynalazek zrewolucjonizował gospodarkę energetyczną i zmieni w najbliższym czasie oblicze naszej planety. Pamiętamy jego słowa wypowiedziane na kongresie energetyków: »Gdy chcemy zapalić, na przykład, żarówkę, musimy doprowadzić do niej przewody łączące ją ze źródłem prądu. Jest to konieczne. Otóż promienie E i ich eksploatacja eliminują tę konieczność.« Słowa te zapoczątkowały nową erę. Od wieków przyzwyczailiśmy się do widoku sieci elektrycznej. — Potężne słupy przesyłowe, linie wysokiego napięcia, stacje rozdzielcze stały się nieodłącznym elementem krajobrazu. Nie dająca się określić ilość kilometrów kabli oplotła Ziemię. Gdyby ktoś, na przykład, z Selenitu, sztucznego księżyca, mógł zobaczyć wszystkie te przewody, otrzymałby obraz jakiejś bardzo zagmatwanej sieci, która omotała kontynenty, miasta przedstawiałyby się jego oczom jako kłębki drutu — olbrzymie kokony elektrycznego jedwabnika. Kiedyś przed trzema wiekami ludzie używali wiatraków — prymitywnych urządzeń zamieniających siłę wiatru na energię mechaniczną. Obecnie jeszcze można oglądać kilka okazów tych maszyn zachowanych na terenie Holandii lub ich wizerunki utrwalone na płótnach starych mistrzów. Wprost wierzyć się nie chce, że za kilka lat będziemy oglądać w ten sam sposób turbiny, słupy przesyłowe i wszelkiego rodzaju przewody, jako pozostałość pewnego etapu myśli ludzkiej. Zastąpi je miasto atomowe i trzydzieści rozsianych po Ziemi stacji rozpraszających oraz dwa łatwe do wyprodukowania kryształki elektrytowe przetwarzające promienie w energię elektryczną. Odpadnie nam jeden z głównych problemów zajmujących stale umysły uczonych — sprawa mikroakumulatorów wielkiej pojemności. Zmieniają się kształty wszelkiego rodzaju pojazdów elektrycznych, wyeliminujemy ze statków transoceanicznych ciężkie stopy atomowe. Kryształki elektrytu dostarczą z powietrza potrzebną ilość energii elektrycznej zarówno dla zapalenia żarówki kieszonkowej latarki, jak i dla uruchomienia olbrzymiego zakładu przemysłowego.

„A oto inżynier Atlon, specjalista od automatyzacji i cybernetyki, jeden z najbliższych współpracowników profesora Szmidta” — mówił spiker, gdy na centralnym punkcie ekranu ukazała się rosta sylwetka. — „Przed rozruchem inżynier zapozna nas z urządzeniami sterującymi miastem atomowym.”

Obraz zmienił się. Olbrzymia, amfiteatralnie zbudowana nastawnia lśniła zimnym blaskiem tablic rozdzielczych i licznych urządzeń usianych nieruchomymi tarczami zegarów. W pośrodku sali na szerokim podium stał półokrągły stół kierowniczy. Przeciwległą ścianę wypełniała olbrzymia tafla ekranu telewizyjnego zachodzącego aż pod kopulaste sklepienie nastawni. Inżynier wykonał kolisty ruch ręką.

„To, co państwo tutaj widzicie, można nazwać mózgiem miasta atomowego. Każdy z tych licznych aparatów daje nam możliwość kierowania i kontrolowania skomplikowanymi procesami, zachodzącymi w urządzeniach produkujących promienie energetyczne. Miasto atomowe jest prawie całkowicie stelewizowane. Ułatwia to znacznie pracę centrali. Mamy możliwość wglądu w działalność nawet poszczególnych zespołów urządzeń. Jest to konieczne z uwagi na dużą odległość dzielącą nas od miasta oraz na wysoce szkodliwe promieniowanie powstające w stosach, uniemożliwiające po rozpoczęciu produkcji zbliżenie się do jego murów nawet w bardzo odpornym skafandrze. Rozpoczęty bowiem proces produkcji promieni E zamyka dostęp do miasta atomowego na przeciąg całego cyklu rozpadu jąder atomowych w jego stosach, to znaczy na 200 lat. Awaryjne są prawie wykluczone” — ciągnął dalej inżynier Atlon. — „Miasto atomowe posiada wszystkie działy całkowicie zautomatyzowane, łącznie z

wymianą niektórych części urządzeń. Nie była to sprawa łatwa do rozwiązania. Automataczne naprawy są jeszcze stale problemem. Zdołaliśmy jednak większość urządzeń wyposażyc w samoczynne elementy zastępcze. Wszystkie maszyny pracujące przy promieniach energetycznych są wykonane z materiałów trwałych, odpornych na korozję i zmiany temperatury. Poza tym hale i urządzenia pokryte są specjalnymi przezroczystymi osłonami, ograniczającymi wpływy otoczenia do minimum.”

Na ekranie ukazał się stół kierowniczy wypełniony zespołami zegarów, oscylografów, wyłączników. Jedna z dźwigni zwracała uwagę dziwnym kształtem, obok niej, umieszczony w szklistej osłonie, widniał czerwony przycisk.

„Oto ster rozruchu kierujący pracą głównego stosu emisyjnego” — wyjaśniał Atlon — „a przy nim bolec kontrolny aparatu bezpieczeństwa, który w razie powstania awarii może automatycznie wyłączyć emitor, skierować pracę stosów na bieg jałowy lub też wygasic je zupełnie. Sądzę, że przez najbliższe dwa wieki aparat ten ani razu się nie włączy.”

Do sali poczęły wchodzić pierwsze grupy naukowców. Pojawił się profesor Szmidt. Szybkiem krokiem podszedł do stołu kierowniczego.

„Koledzy, za chwilę rozpoczniemy rozruch” — powiedział ostrym, przerywanym głosem. — „Panów asystentów proszę o zajęcie stanowisk przy aparatach kontrolnych.”

Profesor włączył podręczny telewizor i przez chwilę rozmawiał z kombinatem Kosmonium — pierwszym odbiorcą promieni energetycznych. W ciszy panującej w nastawni wyraźnie dobiegały słowa raportu, składanego przez kierownictwo zakładów, o pełnej gotowości urządzeń do przyjęcia emisji. Szmidt zakończył rozmowę i przycisnął włącznik. Olbrzymi ekran ścienny rozbłysnął seledynowym światłem. Przed nami rozpostarł się plastyczny obraz murów miasta atomowego, pokrytych urządzeniami o dziwacznych kształtach przypominających wielkie narośla. Strzeliście wznosiły się metalowe konstrukcje, maszty, olbrzymie kule wspierane przez spiralne kolumny izolacyjne. W centrum tego pozornego chaosu budowli, pomiędzy trzema sześcianami złączonymi pierścieniem tarasu, stała iglica wieży emisyjnej zwieńczona fluoryzującą kulą. Z jej wnętrza wystawał szereg jak gdyby macek zakończonych wklęsłymi tarczami. Obraz uległ zmianie. Mury rozpełzły się na boki, krawędź miasta opadła w dół, dając wgląd w jego wnętrze przecięte promieniście siecią dróg dojazdowych. Wzdłuż nich stały pokryte szklistymi kloszami hale i olbrzymie maszyny.

Profesor Szmidt, pochylony nad stołem, manipulował wyłącznikami. Obraz przybliżył się, a jego plastyczność sprawiła przez chwilę na mnie wrażenie jakbym się znalazł w pośrodku placu centralnego przy stojącym tam pustym elektrowozie. U podstawy wieży emisyjnej czerniał niewielki, paraboliczny otwór. Po chwili wyszło z niego kilku ludzi ubranych w skafandry. Była to ostatnia brygada inżynierska. Jeszcze kilka ruchów ręki profesora i postacie zaczęły powiększać się, przybliżać, aż na ekranie pozostała tylko ogromna, poorana głębokimi zmarszczkami twarz.

„To Moran, główny inżynier miasta” — obwieścił spiker.

„Inżynierze” — rzucił Szmidt pytanie — „czy dobrze mnie pan słyszy?”

Twarz na ekranie rozjaśnił uśmiech.

„Słyszę pana, profesorze.”

„Czy wszystko przygotowane do rozruchu?”

„Tak. Automaty zbadały emitor i poszczególne elementy nadajnika. Stożek wyzwalacza podstawiony do głównego stosu.”

„Dziękuję. Opuszczajcie teren!”

Na ekranie widać było, jak ludzie wsiadają pospiesznie do elektrowozu, który po chwili pomknął w kierunku bramy miasta. Szmidt tymczasem naciskał srebrne włączniki. Pojedynczo zapalały się na tablicach światła kontrolne, drgnęły wskazówki zegarów. Automaty wykresem linii prostej meldowały o swej gotowości. W końcu na stole kierowniczym błysnęło zielone światło. Profesor podniósł głowę i przez chwilę wpatrywał się w obraz miasta atomo-

wego. Jego ręka spoczęła na błękitnej gałce steru rozruchu. Zebrani na sali milczeli.

Ręka Szmidta zaczęła powoli przesuwając rączkę steru. Na ekranie pojawiło się wnętrze małej sali. W jej środku, pod wystającymi ze ścian trzema metalowymi żądłami, stał stożkowato zakończony walec pałający fioletowym światłem.

„Historyczny moment” — powiedział spiker — „za chwilę nastąpi rozruch.”

Z żądł elektrod wystrzeliły ogniste smugi, spotykając się na czubku stożka. W miejscu tym poczęła się formować kula o oślepiająco białym światłem. Powoli wraz z jej wzrostem zmieniała się także barwa blasku, wpadając w lekko fioletowy odcień. W środku ognistej kuli poczęły pulsować pierścienie ciemniejszego koloru, dążące w kierunku wierzchołka stożka. Po kilku sekundach kula pulsowała już rytmicznym, powolnym tętnem.

„Obecnie stopy pracują na biegu jałowym” — objaśniał spiker.

Profesor przycisnął jeden z licznych włączników. Ognista kula zaczęła pulsować szybciej.

„Proszę panów, za chwilę zegar włączy automatycznie nadajnik” — powiedział nie odwracając głowy. — „W tym momencie promienie E przebiegną nad wodami Pacyfiku, dając pierwszą energię zakładom »Kosmonium« w Ameryce Południowej.”

Wskazówka sekundnika pospiesznie zbliżała się do godziny zero zero. Z chwilą przekroczenia punktu północy linie na ekranie pracy stosów zatańczyły, wygięły się dziwnie w łuki i elipsy, by spleść jeden wielki węzeł poprzecinany smugami wyładowań. W ciszę nastawni wdarł się przejmujący, wysoki głos syreny. Równocześnie na stole kierowniczym błysnęło czerwone światło i z suchym trzaskiem wyskoczył bolec bezpieczeństwa.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy patrzeli odrętwiałym z przerażenia wzrokiem w migocący rubinowy sygnał. Na tafli wielkiego ekranu ognista kula pulsowała już zwolnionym rytmem biegu jałowego.

„Katastrofa!” — krzyknął inżynier Atlon, biegnąc do stołu kierowniczego. Na ekranie zamigotał znak końcowy i aparatura wyłączyła się.

Kalir wstał z fotela.

— Za dziesięć minut materiał ten nadamy na centralnej fali prasowej — powiedział. — Czy mają zapowiedzieć twoje nazwisko jako wysłannika „Globu” odpowiedzialnego za dalsze informacje?

— Biorę tę sprawę — odpowiedziałem bez wahania.

Wypadki jednak potoczyły się inaczej, niż przewidywaliśmy. Dlatego nie miejcie do nas pretensji, że wiadomości przekazujemy dopiero teraz. Nigdy chyba nie zapomnę czerwonego sygnału, który zapłonął na telewizofonie w gabinecie Kalira. Na ekranie ukazała się twarz sekretarza Rady Najwyższej, który przekazał nam nadzwyczajny komunikat:

„Na polecenie Przewodniczącego Rady Ludów Ziemi proszę wstrzymać publikację wszelkich materiałów dotyczących załamania się produkcji promieni E. Informacje te zostają objęte klauzulą tajności i ujawnienie ich nastąpić może jedynie po zaakceptowaniu przez Radę Najwyższą.”

— Cóż się stało? — zapytał Kalir.

— Wyszły na jaw nowe okoliczności, zmuszające nas do podjęcia takiego kroku, okoliczności nadzwyczajnej wagi.

— Czy możemy wysłać naszego reportera?

Sekretarz Rady jakby się zawahał.

— Tak. Lecz proszę pamiętać o naszej rozmowie.

Ekran zgasł.

II

BELLONIUM

U schyłku nocy na genewskim raketodromie panował niezwykle ruch. Dziesiątki pospiesznych raket przybywających z różnych zakątków Ziemi lądowały w dokach portu. Nieliczni pasażerowie nie zatrzymywali się w salach dworca, lecz spieszyli do helikopterów, które natychmiast unosiły ich w stronę łuny światła pałającej nad miastem.

Większość podróżnych znałem: widziałem ich na ekranach telewizyjnych lub w salach odczytowych, z niektórymi zetknąłem się osobiście przy okazji przeprowadzania wywiadów dla „Globu”. Wśród mijających mnie uczonych zauważyłem wielu historyków oraz specjalistów z dziedziny chemii jądra atomowego i promieniotwórczości. Nadzwyczajna sesja Rady Naukowej zakończyła niedawno obrady. Ich wynikiem było powołanie specjalnej komisji, mającej opracować wybrane zagadnienia dotyczące promieni E oraz bezpieczeństwa ich przesyłania na dalekie odległości. Uczeni ci zatem byli ekspertami zaproszonymi do współpracy.

Wsiadłem do powietrznej taksówki i po kilku minutach przekroczyłem wejście genewskiego Pałacu Nauki. W obszernym, wyłożonym kremowym marmurem hallu było pusto i przyjemnie chłodno. Plastikowa posadzka tłumiała echo kroków. W głębi pod kryształową kopułą szemrała niewielka fontanna i lśniły w ścianach metalowe drzwiczki szybkobieżnych wind. Skierowałem się w ich stronę i wsiadłem do jednej z kabin, która przeniosła mnie na piętnastą kondygnację zajętą przez kierownictwo Rady Naukowej. Oczekiwał tutaj jeden z asystentów, który poprowadził mnie przez płataninę korytarzy do gabinetu inżyniera Atlona. Zza biurka, znad sterty wykresów podniosła się znajoma postać cybernetyka.

— To po dwóch latach znowu się spotykamy! — zawołał, gniotąc mi dłoń w serdecznym uścisku. — Przedtem wśród lodowców, dzisiaj w cieplejszej, a dla mnie gorącej Genewie.

— Cóż, taka już reporterska dola — westchnąłem. — Ludzie są nadal ciekawi i trzeba dostarczać im wiadomości. Po rozmowie z panem chciałbym się spotkać z profesorem Szmidtem.

— Niestety, Szmidt opuścił już Genewę. Rada Najwyższa powierzyła mu organizację wyprawy w rejon wyładowania promieni E.

Więc spóźniłem się. Nie pozostało mi nic innego, jak zebrać informacje bieżące i przyłączyć się do wyprawy. Zapytałem, czy będzie to możliwe.

— Rada Najwyższa nie ma nic przeciwko pańskiej obecności przy badaniach — oświadczył Atlon.

Poprosiłem go o udzielenie kilku informacji z przebiegu obrad. Uśmiechnął się i skinął głową. Znał dobrze moją ciekawość jeszcze z Grenlandii, gdy jako początkujący reporter przybyłem do uszkodzonej stacji meteorologicznej kierującej pogodą tych obszarów. Wywiadu wówczas nie dokończyłem. W trakcie rozmowy Atlon zasnął tak nagle, że spostrzegłem to dopiero po kilkunastu sekundach. Później dowiedziałem się, że był w stadium zupełnego wyczerpania po dwóch dniach nieprzerwanej pracy. Od tego czasu nawiązała się między nami pewna nić sympatii.

— Już dawno Pałac Nauki nie był areną tak zaciętych dysput jak na ubiegłej sesji — powiedział Atlon. — Salę kongresową wypełnili do ostatniego miejsca uczeni wezwani przez Radę Naukową. Wśród przybyłych energetyków toczyły się dyskusje i spory. Wypadek, który się zdarzył przy przesyłaniu promieni E odświeżył antagonizmy istniejące między zwolennikami wynalazku profesora Szmidta a ich przeciwnikami. Gdzieś spory przeradzały się w otwarte klótnie. Dopiero pojawienie się Prezydium Rady uciszyło zebranych. Zgromadze-

niu przewodniczył doktor Wang-Li z Instytutu Energii Jądra Atomowego w Pekinie. Po wyczerpującym sprawozdaniu z przebiegu wypadku w imieniu komisji kontroli technicznej głos zabrał inżynier Wizow. Wizow stwierdził, że komisja po sprawdzeniu automatami urządzeń miasta atomowego nie znalazła żadnych usterek. Wszystkie aparaty i maszyny pracowały prawidłowo, nie wyłączając poszczególnych stosów, emitora i nadajnika. Zbadano także wykresy aparatury kontrolnej. Urządzenia te w czasie toku produkcji nie zanotowały żadnych odchyień od chwili rozruchu do momentu emisji. Równocześnie specjaliści badający stację odbiorczą w zakładach „Kosmonium” potwierdzili pełną gotowość tych urządzeń do przyjęcia promieni E.

Sprawozdanie Wizowa przyjęto jednomyślnie. Wówczas o głos poprosił szwajcarski fizyk Gardinier, jeden z naszych przeciwników, formułując w ten sposób swoje zarzuty:

— Ponieważ przeprowadzona kontrola nie wykazała usterek w urządzeniach produkujących promienie E, należy szukać innego wytłumaczenia wypadków. Jeżeli pomimo doskonałości aparatury i bezbłędnego toku produkcji promienie nie tylko że nie dotarły do „Kosmonium”, ale w połowie drogi uległy gwałtownemu wyładowaniu — istnieć musi błąd w samej teorii wynalazku. Być może, promienie E działają zupełnie poprawnie w fazie badań laboratoryjnych, natomiast z chwilą zwielokrotnienia ich mocy i ilości uzyskują cechy inne, których dotychczas nie zaobserwowano. Próby przeprowadzone przez profesora Szmida miały dosyć wąską skalę doświadczalną i na większej trasie przesyłowej promienie E napotykały na naturalne przeszkody powodujące ich wyładowanie.

— Zarzut ten był bezprzedmiotowy — rzekł Atlon — ponieważ już rok temu przesłano próbną wiązkę promieni ze statku doświadczalnego „Edison”, znajdującego się w okolicy Antarktydy, do stacji odbiorczej zainstalowanej w Grenlandii. Promienie były tej samej mocy co emisja z miasta atomowego. Poza tym szereg innym doświadczeń przeprowadzonych przez Szmida nie potwierdza wysuniętych zarzutów.

— Dlaczego jednak — zapytałem — promienie energetyczne z miasta atomowego zbudowanego na Saharze przesłano do Ameryki drogą biegnącą ponad Oceanem Indyjskim i Pacyfikiem? Przecież skierowanie ich ponad Afryką na zachód byłoby znacznie bliższe?

Inżynier uśmiechnął się.

— Podobne pytania padały także na sesji ze strony mniej zorientowanych w teorii wynalazku uczonych. Otóż promienie E należy emitować w kierunku zgodnym z ruchem obrotowym naszej planety z uwagi na ziemskie pole elektromagnetyczne i szereg innych czynników — wyjaśnił. — Właściwa jednak dyskusja rozpoczęła się na sesji z chwilą sformułowania pytań przez grupę afrykańską. Jak wiadomo uzyskanie energii elektrycznej z promieni E odbywa się poprzez kryształki nazwane elektritem. Otóż uczeni ci założyli istnienie naturalnych złóż tego kryształu na obszarach Pacyfiku. Zapytywali również, czy istnieją inne środki mogące wpłynąć wyzwalająco na energię zawartą w promieniach E. Rozmowy na ten temat były długie i burzliwe.

Elektrit jest produktem sztucznym, zbudowanym ze związków nie mogących powstać inaczej niż w laboratorium, dlatego też jego występowanie w stanie naturalnym jest absolutnie niemożliwe. Nie istnieją także produkty mogące wywierać podobne działanie, ponieważ każda zmiana układu cząstek powoduje całkowite niereagowanie na promienie E przez takie ciało. Zresztą gdyby nawet istnienie olbrzymich złóż elektritu było możliwe, niemożliwe jest gwałtowne wyzwolenie energii elektrycznej przez samą jego masę bez udziału skomplikowanej aparatury, która zajęłaby miejsce równe połowie powierzchni miasta atomowego. Czy istnieją inne środki? Szmida badając to zagadnienie także przy użyciu największego mózgu elektronowego stwierdził, że nie. Promienie E wykazały całkowitą odporność na tysiące prób laboratoryjnych i dziesiątki tysięcy możliwości teoretycznego znalezienia takiego środka.

— Ale przecież wyzwolenie energii elektrycznej z promieni nastąpiło! — zawołałem. — Środek taki musi zatem istnieć!

— Tak — potwierdził Atlon — środek taki istnieje. Właśnie dlatego wszystkie materiały i informacje objęte zostały klauzulą tajności. Środek ten wskazał nam zainstalowany ostatnio w Berlinie elektronowy mózg wynalazczy.

Spojrzałem pytająco.

— Istnieje możliwość wywołania gwałtownego wyładowania promieni E wskutek działania na nie promieniami powstającymi przy rozpadzie ciężkiej odmiany sztucznego pierwiastka bellonium w pewnych dość skomplikowanych warunkach. Aby je uzyskać, należałoby wybudować spory zakład pełen precyzyjnych urządzeń. Otóż do chwili obecnej taki zakład na Ziemi nie istniał i prawdopodobnie nigdy istnieć nie będzie, gdyż bellonium jest bezwartościowe gospodarczo. Wytworzono je krótko przed Dniem Zjednoczenia jako materiał dla bomb atomowych o nadzwyczajnej sile. Potem jego zapasy zniszczono, ponieważ stanowiły niebezpieczeństwo dla ludzkości. Obecnie drobną ilość bellonium posiada tylko muzeum pierwiastków w Kanadzie, i to w dodatku odmianę lekką, bo ciężkiej nigdy nie wytworzono.

— Czy to ma znaczyć, że promienie te przybyły do nas z zewnątrz, z przestrzeni kosmicznej? — zapytałem zdumiony.

— Nazwaliśmy je promieniami zakłócającymi — odparł inżynier. — A skąd przybyły? — Spojrzał na zegarek. — Za chwilę odbędzie się telewizyta, na której uczeni, badający to zagadnienie, przedstawią wniosek końcowy dochodzeń. Przejdźmy do sąsiedniego gabinetu.

W sali nie było jeszcze nikogo. Zasiadliśmy w fotelach. Półokrągły ekran, zajmujący przeciwległą ścianę, był pusty. Telewizyty to najnowsze osiągnięcie naszych wynalazców. Dotychczas, pomimo trójwymiarowości telewizji, obraz ukazywał się zawsze na ekranie, stanowiącym granicę dzielącą rozmówców. Dzięki udoskonaleniom aparatury usunięto niedawno tę przeszkodę. Obraz telewizytowy pojawia się w przestrzeni między półokrągłym ekranem, dając przez to całkowite złudzenie rzeczywistej obecności osób, z którymi się spotykamy.

Czekaliśmy niedługo. W sali pojawił się nagle siedzący w fotelu mężczyzna. Poznałem go od razu. Był to Rainid, kierownik sztucznego księżyca B-17, kontrolującego liczne stacje kosmiczne patrolujące przestrzeń międzyplanetarną wokół Ziemi. Wymieniliśmy pozdrowienia. Zaraz po nim pojawił się doktor Wang-Li wraz z profesorem Merkosem, przewodniczącym podkomisji historycznej.

— Nasze badania zostały zakończone — powiedział kierownik sztucznego księżyca. — Sprawdziliśmy rejestry wszystkich stacji kosmicznych, lecz wynik jest negatywny. Aparaty nie zanotowały żadnych nowych promieni przybywających z Kosmosu w przybliżeniu chociażby podobnych do podanego nam wzoru.

— Może wiązka przedostała się niezauważenie — zapytał historyk Merkos. — Przecież pomiędzy sondami i stacjami kosmicznymi istnieją wielkie przestrzenie zupełnie puste. Myślę, że po prostu oka naszej sieci zwiadowczej są zbyt duże.

Uczony pokiwał przecząco głową.

— Nie, profesorze. Promienie zakłócające wysłane z jakiegokolwiek ciała niebieskiego, nawet najbliższych układów gwiazdowych, utworzyć by musiały stożek, którego podstawa objęłaby całą tarczę Ziemi. Tymczasem wyładowanie nastąpiło na bardzo małym obszarze. Jest to wskazówką, że źródła zakłóceń należy szukać na naszej planecie.

— Innych możliwości nie ma? — zapytał Wang-Li.

— Nie ma. Pozostaje tylko Ziemia.

Twarz Chińczyka nie zmieniła wyrazu. Wyglądała jak stara rzeźba z kości słoniowej.

— Potwierdzają się nasze obawy — powiedział. — Znana wam jest sytuacja wśród ludzi zamieszkujących Ziemię i pobliskie planety. Ogólnie rzecz ujmując stanowimy zgodne, jednolite społeczeństwo. Jednak człowiek to istota dziwna, w której przez tysiące lat znajdują schronienie rozmaite instynkty. Czasem mogą się one ujawnić w sposób szaleńczy i niszczący. Jak dotychczas ludzie tacy mieli w swoich rękach znikome środki działania, dzisiaj spr-

wa przedstawia się o wiele gorzej. Ktoś jest w posiadaniu materiału rozszczepialnego o nadzwyczajnej sile. Mam na myśli bellonium. Ludzie ci w niewytłumaczony sposób zdołali wytworzyć jego ciężką odmianę i zużyć jej właściwości do wyładowania promieni E nad Pacyfikiem. Rada Najwyższa będzie musiała podjąć trudną decyzję zaprzestania robót przy budowie stacji grawitacyjnych dla sztucznego słońca, jeżeli w najbliższych dniach źródło zakłóceń nie zostanie wykryte. Nie mamy żadnej pewności, czy ludzie ci nie powtórzą swych prób lub nie zużyją siły bellonium do jeszcze bardziej zbrodniczych celów. Zanik pola grawitacyjnego sztucznego słońca wywołałby katastrofę, której skutki z trudem można sobie wyobrazić.

— Myślałem także o tym — powiedział historyk. — Myślałem o instynkcie władzy i chorobliwych ambicjach. Prywatne posiadanie bellonium wskrzesić może pogrzebane widmo, widmo odradzającej się drapieżności naszego gatunku, władzy jednostek nad społeczeństwem i środkami produkcji.

— Czy sądzi pan, profesorze, że dawny ustrój może się odrodzić? — zapytał Atlon.

Merkos milczał.

— Musimy się z tym także liczyć — odpowiedział po chwili — szaleńcy tacy mogą się urodzić, tak jak raz po raz u niektórych osobników zwierzęcych powracają atawistyczne cechy, zanikłe od tysięcy pokoleń. Oczywiście, osobnik taki nie stworzy gatunku i przeważnie szybko ginie. Równie szybko umrzeć by musiała jakakolwiek wsteczna idea, nie znajdując pożywki w społeczeństwie. Natomiast może się odrodzić na krótko instynkt mordu jako typowe zboczenie.

— Czy macie już panowie jakiś ślad wskazujący na miejsce emisji promieni zakłócających? — zapytałem.

— Niestety, nie — odparł doktor Wang-Li — dotychczas nie wiemy, jak wielki miotacz trzeba zastosować, aby promienie zakłócające móc przesłać na dalszą odległość. Poszukiwania źródła emisji przeprowadzamy na wszystkich kontynentach, lecz po tej akcji nie oczekuję żadnych specjalnych rezultatów. Trudno skontrolować dziesiątki tysięcy instytucji pracujących na naszym globie, nie mówiąc już o różnej wielkości laboratoriach amatorskich, których ilość jest po prostu nie znana, a wyposażenie nieraz bardzo bogate.

— Czy nikt nie zgłosił prac dokonywanych w tym czasie nad pierwiastkiem bellonium?

— Nikt, i to jest niepokojące. Pomijając już fakt, że wejście w jego posiadanie jest prawie niemożliwe, a produkować pierwiastek mogłyby tylko nieliczne zakłady na kuli ziemskiej, zatajenie takich prac w chwili, gdy sprawa nabrała olbrzymiego rozgłosu i wagi gospodarczej, jest przestępstwem. Każdy uczciwy eksperymentator zgłosiłby się nawet bez wezwania naszej komisji.

— Każdy uczciwy eksperymentator — powtórzył historyk. — Nie jestem pesymistą, lecz wątpię, czy uczciwy człowiek eksperymentowałby nad bellonium. Przecież pierwiastek ten został wyprodukowany dla celów wojennych i właściwie tylko do nich się nadaje z powodu gwałtowności reakcji jądrowej. Wyobraźcie sobie, że to właśnie tutaj, w Genewie, ktoś dokonuje doświadczeń z bellonium. Jego jeden nieostrożny ruch i miasto wraz z dwoma milionami ludzi zmienia się w słup dymu i ognia.

III

W TAHIMORZE

Od dwóch dni przebywam na dnie Oceanu Spokojnego, w osiedlu podmorskim Tahimorze.

mor. Olbrzymia, przezroczysta kopuła oddziela kilkadziesiąt małych domków, zamieszkałych przez ludność miasteczka, od błękitnych wód Pacyfiku pokrywających nas czterdziestometrową powłoką. Nad powierzchnię morza wynurza się jedynie wierzchołek masztu antenowego ułatwiający tahimorczykom radiowy i telewizyjny kontakt z wszystkimi kontynentami. Za osłoną płyt z przezroczystego plastiku rozciągają się tysiące hektarów podmorskich pól uprawnych, skąpanych w bladym świetle docierających tutaj promieni słonecznych. Rano budzi mnie zgrzyt maszyn wyruszających na zbiór dyń i arbuzów, przed domem szeleści koralowy piasek pod stopami spieszących do pracy ludzi, a potem dzieciarnia biegnie z wrzaskiem do szkolnych zajęć. Życie w Tahimorze jest spokojne i usystematyzowane, można by powiedzieć — idealnie podzielone między zajęcia produkcyjne a rozrywkę. Punktualnie o godzinie dziesiątej przybywa tutaj niewielki statek podwodny „Oceanofraktu”, przywożąc pocztę, towary, nielicznych pasażerów, a zabierając w zamian ładunek owoców, bladozielonego planktonu, ryb i krabów. Po południu mieszkańcy zbierają się w jedynej cukierni, teatrze telewizyjnym, na niewielkim stadionie lub w miniaturowym, świetnie utrzymanym parku. Wprost idealne warunki wypoczynku po intensywnym życiu wielkich miast. Dziwne się wydaje, że dotychczas tak mało znamy naszą planetę. Dawno już zniknęły białe plamy na mapach, od setek lat każdy metr ładu został zdeptany stopą człowieka. Pozostały jednak plamy niebieskie — olbrzymie przestrzenie pokryte wodami, pełne tajemnic i bliżej nie znanego życia. Dopiero przed niecałymi stu laty powstały pierwsze podmorskie osiedla, osiem sztucznych księżyców krążyło już dookoła Ziemi w chwili, gdy człowiek zeszedł pod powierzchnię wód, ażeby porządkować sobie oceany. Rozpoczęła się eksploatacja olbrzymich bogactw nie naruszonych przez ludzkość od początków jej istnienia, poznawanie życia pasjonujących krain o rozmaitym kolorze nieba, na którym nie świecą gwiazdy. Sieć podmorskich osiedli pokryła morza, jednak stale jeszcze wielkie obszary wód są dla nas tajemnicą. Byłem już w kilku miasteczkach tego typu, jednak Tahimor różni się od nich w tym samym stopniu co pobliska Tahiti od wysp brytyjskich.

Zapoznałem się już z wieloma mieszkańcami osiedla, wśród których przeważają rośli Polinezyjczycy o bardzo łagodnym usposobieniu. Są poza tym nadzwyczaj towarzyscy i chętnie oprowadzają mnie po swoim podmorskim gospodarstwie. Chodzę zatem, oglądam i wspólnie z tahimorczykami oczekuję na przybycie okrętu głębinowego „Delfin”.

Kilka dni temu Instytut Oceanograficzny zorganizował wyprawę w okolice Niskich Paumotów i Pitcairnu, mającą dokonać pomiarów dna morskiego i przeprowadzić poszukiwania geologiczne. Wyprawa pod kierunkiem oceanologa Juwara wyruszyła z jednego z indyjskich portów, niezbyt spieszenie podążając w stronę Tahimoru, skąd miano zabrać ekipę nurków oraz sprzęt uzupełniający. W osiedlu przygotowywano się na jej przybycie. Podziw budzą olbrzymie superskafandry do prac głębinowych, kuliste automaty kierowane na odległość, podręczne dźwigi i stopy skrzyń rozmaitej wielkości, czekające na załadunek. „Delfin” ma zawinąć jutro do Tahimoru. Wpadnę znowu w wir wydarzeń, badań i przez kilka dni będę uczestnikiem jednej z najciekawszych wypraw naszego stulecia. Jej celu tahimorczycy nie podejrzewają. Jadący z nami nurkowie są przekonani, że ekspedycja odkrywać będzie jedynie nowe podmorskie tereny, jak to było przewidziane w harmonogramie zajęć. W międzyczasie jednak zaszły wypadki, które spowodowały, że mijając Nową Gwineę okręt przyjął na swój pokład grupę fizyków, z profesorem Szmidem na czele, udającą się na miejsce wyładowania promieni E. Ten drugi cel otoczony jest ścisłą tajemnicą. Gdyby wyprawa profesora Szmida nabrała rozgłosu, szanse wykrycia miotacza i ludzi nim kierujących spadłyby do zera, po prostu zaprzestaliby swojej działalności, żeby ją wznowić w późniejszym okresie. A to mogło spowodować nieobliczalne wprost następstwa, przy których niedawny wypadek byłby jedynie niewinną igraszką. O tych ważnych zmianach wie w Tahimorze tylko dwóch ludzi — ja i kierownik osiedla, Raman, będący równocześnie członkiem wyprawy oceanograficznej.

— Redaktorze! Szukam pana!

Szczupłą jakby rzeźbioną w miedzi twarz Ramana rozjaśnił uśmiech. Ten świetnie zbudowany Polinezyjczyk mógłby służyć niejednemu artyście jako model. Miał około trzydziestu lat, lecz pomimo młodego wieku kierował już pracą całego tahimorskiego zespołu. Był jednym z niewielu specjalistów znających dokładnie życie podwodne, jego trudności i niebezpieczeństwa. Opowiadano mi, że nieraz wyruszał na odległe, samotne wyprawy, zapuszczając się w lekkim skafandrze na znaczne głębokości. Z wycieczek tych przywoził liczne eksponaty, przesyłane następnie do instytutów lub zdobiące niewielkie, lecz ciekawe muzeum w Tahimorze. Obecnie jechał z wyprawą oceanologów jako kierownik działu prac podwodnych.

— Otrzymałem wiadomość z „Delfina” — poinformował mnie — zawiną do nas po północy.

Ucieszyłem się, bo oczekiwaliśmy przybycia wyprawy dopiero rano.

— Mam zamiar zaprosić pana na małą wycieczkę w głąb koralowej dżungli — ciągnął Raman. — Do załadunku wszystko przygotowane, chciałbym zatem odetchnąć przez kilka godzin.

Zgodziłem się chętnie. Należę do ludzi, którzy obracają się przeważnie po suchym lądzie, a wycieczki w okolice Tahimoru różnią się znacznie od zorganizowanej turystyki podwodnej u wybrzeży kontynentów.

Skierowaliśmy się w stronę portu. W magazynie sprzętu wisiały na ścianach rozmaitego rodzaju skafandry, od lekkich, używanych do poruszania się na niewielkich głębokościach, do grubych, pancernych, przypominających kule z wystającymi z nich metalowymi kończynami. Raman po chwili namysłu wybrał dwa półsztywne skafandry i zaczęliśmy się ubierać. Butle tlenowe i pistolety uzupełniły nasz ekwipunek. Z odrzuconymi na plecy kłozami hełmów, mieszczącymi porcję żywności, ociężałym krokiem skierowaliśmy się w stronę śluzy. Kołysała się tu w basenie niewielka motorówka typu sportowego. Opuściliśmy hełmy. Sprawdziłem działanie aparatu tlenowego i radia. Funkcjonowały bez zarzutu. Zajęliśmy miejsce i Raman dał znak obsłudze śluzy. Rozległ się przytłumiony ścianką hełmu syk, poziom wody w basenie zaczął się gwałtownie podnosić, wypychając powietrze poprzez wentyle umieszczone w suficie. Trwało to kilka sekund. Śluza wypełniła się całkowicie wodą, po czym przed dziobem rozchyliły się klapy otworu wyjściowego.

— Jedziemy — usłyszałem w słuchawkach głos Ramana. Włączył motor i łódź powoli wypłynęła z portu.

Kilka metrów pod nami w zielonkawym świetle rozpostarły się pola uprawne. Wśród falujących z lekka wodorostów dojrzywały podłużne melony i żółtawe, kolczaste arbuzy — owoce cieszące się wielką popularnością wśród mieszkańców lądu stałego. Minęliśmy pracującą grupę kombajnów pełznących przez plantacje powoli jak wielkie kraby. Raz po raz przed dziobem łodzi rozpryskiwały się na boki ławice ryb, mieniając się wszystkimi barwami tęczy.

Po chwili krajobraz uległ zmianie. Płaskie pola zastąpiły skały z przyklepionymi do ścian koloniami różowawych skorupiaków. Raman zręcznie lawirował między wykrotami, wymijając przeszkody wyrastające przed samym dziobem motorówki. Wśród brodatych wodorostów po koralowym piasku pęzały pracowicie olbrzymie kraby o potężnych, groźnie wyglądających kleszczach, ławice ryb leniwie przepływały wśród dziwnie rozcapierzonych krzewów koralowych, znikając w wymytych skalnych bramach, fantastycznych portykach, łóżach, niszach. Wjechaliśmy w koralową dżunglę — niezwykle świat baśniowych kolorów i kształtów. Nie sposób opisać wrażenia, jakie wywołuje fauna i flora podzwrotnikowych mórz; przerażające bogactwo form różnorodnych i różnobarwnych tworzy jedną wielką symfonię dla organów wzroku przyzwyczajonego do linii prostych.

Widząc mój zachwyt, Raman zmniejszył szybkość. Płynęliśmy teraz bardzo wolno na głębokości dwudziestu metrów od powierzchni morza. Wokół nas rosły potężne kolonie koralu dochodzące niekiedy do pięciu i więcej metrów wysokości i takiej samej średnicy, wyciągając w naszym kierunku rozcapierzone, poskręcane dziwnymi skurczami gałęzie. Obok tych

olbrzymów kłębiła się zbita płatanina krzewów rozmaitej wielkości i zabarwienia: mieniły się niebieskim, czerwonym, fioletowym blaskiem kolonie, przypominające wyjęte z czaszek mózgi, rozsiadłe szeroko wśród oślepiająco białego piasku, zieleni i brunatności wodorostów. Między tym gąszczem pasły się stada ryb, obgryzając gałęzie koralu, pełzały ślimaki, czaiły się jeżowce i wielkie rozgwiazdy, migotały różnokolorowe kolonie gąbek. W załomach skał, w głębokich, wymytych prądami jaskiniach czekały na łup mątwy i ośmiornice. Podmorska dżungla żyła bujnie i drapieżnie.

Po chwili dno poczęło się obniżać. Zaczęliśmy zjazd wzdłuż zbocza jakiejś kotliny porosłej zbitym gąszczem koralowych kolonii. Jasną, prześwietloną promieniami słońca zielen wód zastąpiła barwa ciemniejsza, nie pozwalająca na rozróżnianie przedmiotów na dużą odległość. Opuszczaliśmy się coraz niżej.

— Pokażę panu coś ciekawego — powiedział Raman, osadzając łódź na dnie kotliny. — Zrobimy mały spacer.

Wysiedliśmy. Widoczność na tej głębokości była słaba i dopiero po kilku minutach zacząłem lepiej rozróżniać otoczenie. Raman w milczeniu szedł przodem, zręcznie wymijając niewielkie skały i krzewy. Za jednym z załomów przystanął. Zbliżyłem się do niego. Przede mną pochylony na lewą burtę, wpółzakopany w białym piasku, leżał kadłub starego okrętu. Widziałem tylko jego część, reszta zlewała się po kilku metrach z barwą otoczenia, tworząc jedynie olbrzymi cień, widoczny na jaśniejszym tle górnych warstw wody. Wodorosty, morskie żyjątka i koralu pokryły go grubym, szczeciniastym kożuchem, potęgującym wrażenie bliskości dawnej tragedii. Na nachylonym w naszym kierunku pokładzie widoczne były wielkie narośla wieżyc pancernych z wyrastającymi długimi lufami dział. Patrzyłem w milczeniu na koszmarny okaz minionej epoki.

— Zatopiono go w ostatniej wojnie światowej — rzekł cicho Raman. — Dostał dwie torpedy. Zginęło w nim wielu ludzi.

Przez kilkanaście minut oglądałem stary wrak. Ileż ci ludzie włożyli pracy w zbudowanie tej maszyny śmierci, pracy, którą można było pożytecznie zużyć.

— Chodźmy stąd — powiedziałem — po co wskrzeszać cienie przeszłości. Niech leżą i rdzewieją te roczniki żelastwa. A swoją drogą to ciekawe, jak długo będą straszyć tego rodzaju zabytki, zanim je przyroda w pył zetrze.

Raman uśmiechnął się lekko.

— Za sto lat pochłonie go koralowy piasek, wciągnie, wessie, tak że śladu nie zostanie. Chyba, że jakiś zabłąkany prąd wymyje go znów po wiekach.

Bez żalu opuściłem ponurą kotlinę. Raman czując, że mój wesoły nastrój uległ gwałtownej zmianie, szybko wyprowadził motorówkę na płytsze miejsce skąpane w blaskach słońca. Płynęliśmy znowu wśród koralowej dżungli i raf, płosząc stada prześlicznych ryb. Oglądałem cuda morza, których nie pozna nigdy zwykły turysta podmorski dążący wytartymi już szlakami u brzegów Florydy lub Madagaskaru.

Po pięciu godzinach włości wśród koralu, błysnęły przed nami światła Tahimoru. Przezroczysty, olbrzymi klosz oddzielający kawałek suchego lądu i jego kilkaset mieszkańców od otaczających go wód Pacyfiku powitałem jak światło domu zagubione w mroku zimowej nocy. Wpłynęliśmy do portu i po chwili szliśmy z Ramanem w stronę kierownictwa osiedla.

W nocy zbudził mnie sygnał wizofonu. Raman zawiadamiał, że za chwilę do Tahimoru przyplynie „Delfin”. Szybko ubrałem się i podążyłem w stronę portu, gdzie zastałem już wielu mieszkańców osiedla oczekujących na wyprawę. Minęło jeszcze kilka minut, zanim wrzcionowaty kadłub statku przyłgął szczelnie do głównej śluzy. Na nabrzeżu ukazali się członkowie ekspedycji, lecz na próżno wypatrywałem wśród nich postaci profesora Szmidta, Atlona lub któregoś ze znajomych fizyków. Widocznie pozostali na okręcie nie chcąc, aby ich

rozpoznano. Natychmiast też rozpoczął się załadunek sprzętu. We wnętrzu statku znikwały sznury ciągników wiozących skrzynie i maszyny z magazynów portu. Po godzinie, stojąc z Atlonem i Ramanem przy oknie galerii spacerowej „Delfina”, spoglądałem na nienawodne w obszarach wód światła Tahimoru. Żał mi było opuszczać ten najspokojniejszy zakątek ziemi, w którym nie ma żadnego atomobilu i helikoptera, a ludzie nigdy się nie spieszą. Statek powoli wynurzał się na powierzchnię oceanu, biorąc kurs na Wyspę Wielkanocną. Pożegnałem moich towarzyszy i wyszedłem na pokład, aby po dwudniowym pobycie pod wodą odechnąć morskim powietrzem, poczuć muśnięcie wiatru na twarzy i spojrzeć w rozgwieżdżone niebo z rozpiętym szeroko Krzyżem Południa.

IV

POSAŃ

Ranek wstał pogodny, wyłożony pierwszymi promieniami słońca, które czerwoną kulą wytoczyło się zza horyzontu. Lekki wiatr wiejący od dalekiej Ameryki marszczył powierzchnię oceanu, formując fale bijące z pluskiem o burty okrętu. „Delfin” — statek głębinowy Instytutu Oceanograficznego — szybko podążał na południowy wschód w kierunku odległych rejonów Pacyfiku, w których ekipa miała podjąć swoje prace. Pomimo wczesnej pory, na pokładzie spotkałem kierownika okrętu, oceanologa Juwara, pobierającego próbki wody.

Doktora Juwara poznałem wcześniej. Zrobił na mnie duże wrażenie swoją niewątpliwie rozległą wiedzą. Większość życia spędził na wszystkich morzach ziemi, szczególną jednak sympatią otaczał Pacyfik, od którego nie mógł się oderwać. Praca w laboratoriach przygarbiła mu plecy, lecz pomimo to do ćwiczeń gimnastycznych odnosił się z niespotykanym lekceważeniem twierdząc, że jedynym godnym człowieka zajęciem jest dbanie o zawartość czaszki a nie mięśnie kończyn górnych lub dolnych.

Głowę miał też potężną, nieproporcjonalnie wielką w stosunku do tułowia, mogącą zapewne budzić zazdrość niejednego antropologa kolekcjonera. Zza grubych szkielek patrzyły oczy beznamietne i chłodne nieokreślonej barwy, kontrastując dziwnie z żywym usposobieniem oceanologa. Wczoraj prosiłem go, żeby zapoznał mnie z budową i urządzeniami statku, na którego pokładzie miałem spędzić może i kilka tygodni. Zgodził się chętnie, dlatego też ucieszyłem się spotykając go.

— Ach, to pan — powiedział z uśmiechem — nie wiedziałem, że jest pan amatorem porannych spacerów.

Skinąłem twierdząco, chociaż w istocie wyciągnęła mnie na pokład nie chęć oglądania słońca, lecz zwykła zawodowa ciekawość. Problemy morza traktowałem dotychczas drugoplanowo. Loty międzyplanetarne pasjonowały mnie bardziej aniżeli rozwój gospodarki podmorskiej lub eksploatacja prądów oceanicznych. Obiecałem sobie zatem, że wykorzystam odpowiednio mój pobyt na „Delfinie”. Przypomniałem Juwarowi o danej wczoraj obietnicy.

Oceanolog zaprosił mnie do kabiny nawigacyjnej, mieszczącej się w jedynej na pokładzie nadbudówce. Był to rodzaj cylindrycznej wieży zakończonej oszkloną kopułą. Wąską drabinką dostaliśmy się do jej wnętrza. Kabina była pusta. Wzdłuż jej ścian ciągnął się półkolisty stół o pochylej płycie, wypełnionej tablicami rozdzielczymi, rzędami ekranów i zegarów. Gdzieś migotały różnokolorowe światła kontrolne. W środku kabiny stał pulpit nawigacyjny, którego centralną część zajmował ekran z telewizyjną mapą tych obszarów Pacyfiku. Niedostrzegalnie poruszający się na niej punkt świetlny określał położenie statku, rysując zarazem linię kursu. Z okien kabiny roztaczał się widok na pokład „Delfina” i bezkre-

sny ocean.

Przez chwilę panowało milczenie. Doktor Juwar pochylony nad stołem nawigacyjnym sprawdzał na zegarach i wykresach pracę maszyn.

— Nasz automatyczny kapitan radzi sobie doskonale z prądem bocznym, nie dając się zepchnąć z kursu — powiedział wskazując ekranik, na którym widniała sylwetka statku oraz linie obrazujące kierunek prądu i jego siłę. — Urządzenie to pozwala nam spać spokojnie i zajmować się ważniejszymi sprawami niż kierowanie okrętem. Raz nastawiony, automatyczny kapitan przeprowadzi statek ściśle według ustalonego kursu, ominie wszelkie napotkane przeszkody, zawinie do oznaczonego portu i zarzuci kotwicę.

Nie było to dla mnie rewelacją. Od wielu lat przecież po wszystkich morzach kursują olbrzymie bezludne statki transportowe, rozwożąc produkty do portów Ziemi. Jedynie specjalny typ jachtów turystycznych, przeznaczony dla amatorów silnych wrażeń, nie jest wyposażony w automat kierujący. Z ciekawością jednak słuchałem oceanologa wskazującego na rozmaite przyrządy i objaśniającego ich działanie. Po godzinie znałem już pobieżnie cały statek.

„Delfin” był rezultatem długiego okresu ewolucji, jakiemu podlegały okręty podwodne. Kształtem obudowy przypominał wrzeciono, lecz jego wnętrze zawierało siedem olbrzymich metalowych kul, połączonych między sobą licznymi korytarzami. Każda z nich stanowiła osobny element, posiadała własne grodzie wodoszczelne, wewnętrzną sieć energetyczną, regeneratory powietrza oraz możliwość odłączenia się i wypłynięcia na powierzchnię morza.

— Nasz „Delfin” to kombinacja dwóch urządzeń służących do badań głębinowych — mówił doktor Juwar, wskazując na schemat okrętu wygrawerowany w płycie stołu nawigacyjnego. — Pierwszym z nich jest batysfera: wydrążona kula stalowa, w której wnętrzu opuszczali się uczeni na dno morza już w pierwszej połowie dwudziestego wieku. Cała niedogodność tego urządzenia polegała na niemożności swobodnego pływania pod wodą oraz na ograniczonym zasięgu działania, nie przekraczającym w dogodnych warunkach tysiąca czterystu metrów. Stalowa lina, łącząca batysferę z okrętem-bazą, podlegała wówczas silnym drganiom, mogącym spowodować jej pęknięcie, a tym samym śmierć załogi. Drugim urządzeniem, które wykorzystaliśmy przy budowie „Delfina”, jest batyscaf wynaleziony w drugiej połowie XX wieku. Konstruktor oparł się na słusznym poglądzie, że woda przypomina atmosferę, a warunki pływania pod nią nie odbiegają od zasad unoszenia się w powietrzu. Batyscaf to jak gdyby balon podwodny złożony z gondoli, którą była kula w rodzaju batysfery oraz pływaka odpowiadającego powłoce, a napełnionego lekką benzyną. Pływak taki uniezależniał aparat od połączenia ze statkiem-bazą przy pomocy liny, dając mu względną swobodę ruchów pod powierzchnią morza. Otóż „Delfin” jest rodzajem znacznie udoskonalonego superbatyscafu, który z małego aparatu o ograniczonych możliwościach ruchu i czasu przebywania pod powierzchnią zmienił się w okręt głębinowy, dla którego górną granicą zanurzenia jest głębokość ośmiu tysięcy metrów, a przebywanie w tej strefie przez szereg tygodni nie przedstawia żadnych trudności.

— O ile mi wiadomo — wtrąciłem — największa głębina wynosi jednak jedenaście kilometrów, tak że dotarcie do niej jest dla okrętu niemożliwe.

— Owszem, lecz i tę trudność zdołaliśmy pokonać — odparł uczony. — Nie wspominałem panu, że „Delfin” jest zarazem statkiem-bazą. Możemy, znajdując się na głębokości ośmiu tysięcy metrów, opuścić z niego batysferę z załogą lub wysłać po prostu automaty czy stację telewizyjną, która przekaże nam żądane wiadomości. Proszę raz jeszcze spojrzeć na schemat „Delfina”. Kule mieszczące się w jego kadłubie to olbrzymie batysfery, a zbudowanie w ten sposób statku nadaje jego konstrukcji dużą odporność na wielkie ciśnienia. Kabina, w której siedzimy, jest też częścią tego układu i przy zanurzeniu statku zostaje automatycznie wciągnięta do jego wnętrza. Miejsce wolne między siedmioma batysferami zajmuje w górnych partiach plastik lżejszy od wody, a grający tutaj rolę pływaka. Niższe części statku prze-

znaczone są na komory balastowe, przy pomocy których „Delfin” się zanurza.

Pochylony nad planem statku z uwagą śledziłem poszczególne fragmenty jego konstrukcji. W pewnym momencie zainteresowały mnie dwa dziwne, przypominające śmigła, urządzenia umieszczone pod pokładem części dziobowej i na rufie. Zaintrygowany zapytałem o ich przeznaczenie.

— Są to turbiny pionowe — objaśnił doktor Juwar — działające jak wirnik w helikopterze. Użyteczność ich polega na tym, że możemy zmieniać wysokość podwodnego kursu bez naruszenia balastu, co jest dla nas zagadnieniem dużej wagi.

— To znaczy, że możecie, tak jak helikopter na ziemi, osiadać i wznosić się pionowo z dna oceanu?

Juwar skinął potakująco głową.

— Nie zdziwię się zatem, jeżeli za chwilę pan stwierdzi, że „Delfin” może latać w powietrzu — odparłem ze śmiechem.

— Nie myli się pan zbyt — odpowiedział uczony. — Wprawdzie „Delfin” tego jeszcze nie potrafi, ale w chwili obecnej trwają już prace nad budową statku, który łączyłby cechy okrętu podwodnego, rakiety i helikopteru.

Juwar włączył telewizję wewnętrzną. Na ekranie przesuwać się zaczęły obrazy głównych pomieszczeń i urządzeń. Ujrzałem kabinę nawigacji podwodnej mieszczącą się w dziobie statku, generatory fal ultradźwiękowych i aparaturę „podmorskiego oka” pozwalającą na oglądanie dna morskiego na każdej głębokości. Spojrzałem do wnętrza obszernych hal portu z rzędami motorówek podwodnych stojących przy wylotach śluz, do sal magazynów, klubu i do wnętrza stosu atomowego mieszczącego się w części rufowej, za ekranem pochłaniającym promienie. W tyle statku, w ostatniej kuli-batysferze pracowały maszyny napędowe. Potężne turbiny tłoczyły w głąb kanałów masy wodne, wybiegające z wielką prędkością dyszami na rufie. Juwar przycisnął wyłącznik i ekran zgasł.

— Jak pan widzi — powiedział wstając z fotela — „Delfin” jest okrętem o dużych zaletach. Wnętrze jego kryje jeszcze szereg ciekawych urządzeń, z którymi zapozna się pan w czasie trwania wyprawy. Zresztą mamy tutaj prawie wszystko, z wyjątkiem rakiety międzyplanetarnej. Doskonale wyposażone pracownie mogą zadowolić najwybredniejszego badacza, a podręczny mózg elektronowy uniezależnia nas od korzystania z usług Centrali Mechanicznego Myślenia.

Skierowaliśmy się w stronę wyjścia. Na pokładzie uczony wziął pozostawione tam próbki wody.

— Do analizy? — zapytałem.

— Tak. Znajdujemy się, co prawda, w dość znacznej odległości od celu wyprawy, lecz chciałbym sprawdzić, czy w wodzie i planktonie wyładowanie promieni E nie pozostawiło jakichś śladów.

Juwar zniknął pod pokładem, a ja zeszedłem do klubu. Wiadomości o pracach komisji genewskiej były skąpe. Uczni zbierali się nadal w swoich sekcjach, wiodąc spory nie posuwające sprawy naprzód, bowiem grono opracowujące technikę emisji promieni zakłócających dotychczas nie mogło się zgodzić co do wielkości anteny-miotacza i jego kształtów. Sądy były tak podzielone, że doszło do ostrej wymiany zdań między profesorem Bartem, twierdzącym, że powierzchnia miotacza wynosi najwyżej trzy metry kwadratowe, a Chipsonem, który obliczył ją na około dwa kilometry. Gazeta sugerowała, że uczeni starają się rozwiązać problem jedynie na drodze teoretycznej, ukrywając zgodnie z planem wyjazd ekipy w rejon wypadku. Jediną ciekawą wiadomością był projekt uruchomienia próbnej linii przesyłowej promieni E, mającej na celu sprawdzenie, czy w innych okolicach Ziemi wystąpią także tajemnicze wyładowania. A więc nie zaprzestają myśleć o eksploatacji miasta atomowego pomimo pierwszych niepowodzeń. Fakt ten niewątpliwie obrazował atmosferę panującą w Genewie, świadcząc o klęsce grupy naukowców-konserwatystów, przeciwnych dalszemu

kontynuowaniu produkcji promieni E. Oznaczało to równocześnie, że komisja badająca teoretyczne założenia wynalazku nie znalazła w jego opracowaniu żadnego błędu. Moje rozważania przerwało wejście Ramana.

— Mam nowinę — powiedział nurek, wyciągając rękę na powitanie. — W południe zboczmy nieco z kursu, żeby dokonać badań głębinowych.

— Czy to konieczne? — zapytałem. Osobiście byłem zdania, że profesor Szmidt winien znaleźć się jak najwcześniej w rejonie Wyspy Wielkanocnej i podjąć pracę. Przyłączenie nas do wyprawy oceanologów, podyktowane względami ostrożności, uważałem za posunięcie błędne, stawiało ono bowiem ekipę komisji genewskiej w roli uciążliwych gości, posiadających więcej praw niż gospodarze. Nawet przy najlepszej współpracy uczeni będą sobie wzajemnie przeszkadzać, a próby kompromisu zawsze jednej stronie wyjdą na niekorzyść. Wprawdzie doktor Juwar ustosunkował się do nas bardzo przyjaźnie, jednak przypuszczałem, że pogodził się z naszym pobylem jako z przykrą w gruncie rzeczy koniecznością.

— Niech się pan nie obawia, nie zajmie to nam wiele czasu — powiedział Raman, jakby zgadując moje myśli. — Chodzi po prostu o ustawienie w kilku punktach dna aparatów notujących wstrząsy tektoniczne.

Okazało się, że „Delfin” wpłynął w rejon czynnych wulkanów powodujących obniżanie się dna morskiego. Według przypuszczeń uczonych, w okolicach tych znajdowały się kiedyś liczne wyspy, które wchłonął ocean. Jeszcze w XVII wieku pierwsi europejscy żeglarze wspominali w zapiskach o archipelagach, których następne wyprawy już nigdy nie ujrzaly. Olbrzymia wodna przestrzeń od Paumotów po wybrzeża Ameryki stała się pustkowiem, w którego środku leżą samotne dwie wyspy: Wyspa Wielkanocna ze swymi posągami na stokach tajemniczego wulkanu Rano-Raraku i mała, skalista Sala y Gomez. Okręg ten od dwóch wieków przyciągał uczonych jak magnes opiłki żelaza. Odkopano wszystko, co było do odkopania na Wyspie Wielkanocnej, zbadano Paumoty wzdłuż i wszerz, lecz klucz do tajemnic państwa wyspiarzy pochłonął ocean. Jak się dowiedziałem, jednym z zadań oceanologów było zbadanie procesów sejsmicznych oraz wykonanie szczegółowych map dna morskiego, które następnie miały posłużyć dla prac poszukiwawczych katedrze historii ludzkości Instytutu Wszecznauk. Zapytałem, czy mógłbym wziąć udział w wycieczce na dno oceanu.

— Proszę bardzo — odparł Raman — w naszej motorówce będzie jedno miejsce wolne.

Z klubu głównym korytarzem, biegnącym wzdłuż osi statku, przeszliśmy do dużej hali, zwanej portem. Przy ścianach mieszczących śluzy wylotowe stały podwodne motorówki różnej wielkości i kształtu, automaty podmorskie i liczna aparatura. W dużych szafach za przezroczystymi taflami wisiały skafandry i hełmy. Pod kopulastym sklepieniem hali przesuwiał się pająk dźwigu, niosąc w swych kleszczach motorówkę w stronę śluzy. W blasku reflektorów kręciło się tutaj kilku ludzi dozorujących automaty, które przygotowywały aparaty do dzisiejszej wyprawy. Po pewnym czasie zjawił się w porcie inżynier Atlon. Przez kilka godzin, oprowadzani przez Ramana, oglądaliśmy wyposażenie „Delfina”. Szczególnie interesowały nas posiadane przez oceanologów automaty do prac głębinowych. Sprzęt był rozliczny. Znajdowały się tutaj dźwigi, spychacze, rozkruszkarki oraz roboty zwiadowcze, zaopatrzone w podwodne oko pozwalające załodze okrętu na obserwowanie okolic, w których przebywał wysłany automat.

W południe dźwięk syreny oznajmił o zanurzeniu się „Delfina” i nad wszystkimi przejściami zapłonęły zielone światła kontrolne. Znajdowaliśmy się w nastawni śluz wylotowych. Na podręcznym ekranie, połączonym z kabiną nawigacji i centralnym okiem podwodnym, ukazały się słabe, zamglone odległością zarysy dna. Wskazówka głębokościomierza rozpoczęła szybką wędrówkę po skali. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, sto metrów... W miarę zanurzenia obraz na ekranie stawał się wyraźniejszy, aż przybrał wygląd podobny do widoku z helikoptera. Plastycznie wystąpiła rzeźba dna, jasne zbocza górskie i wijące się ciemniejsze doliny. Niekiedy obraz przesłaniał rój drobnych plam. Były to ławice ryb znajdujące się w

zasięgu podmorskiego oka. „Delfin”, zanurzony się na głębokość stu dwudziestu metrów, płynął w niewielkiej odległości od dna oceanu. Przeszliśmy do portu. W dokach śluz stały cztery motorówki głębinowe o uchylonych klapach sufitowych. Mały dźwig opuszczał już w ich wnętrze nurków ubranych w srebrzyste skafandry. Skierowaliśmy się w stronę czwartej śluz, w której stała nasza motorówka. Doktor Juwar kończył właśnie nakładanie skafandra.

— Pospieszcie się — zawołał w naszym kierunku.

Ubieranie trwało niedługo. Znalazłem się we wnętrzu metalowego korpusu, który opiął moje tułowie aż po szyję. Automaty pomocnicze zamocowały mi na płycie plecowej niewielki motor wodno-odrzutowy. Obok ubierał się Raman. Po chwili nałożono mi przezroczysty hełm. Włączyłem aparat tlenowy i zrobiłem kilka kroków w kierunku motorówki. Wbrew oczekiwaniu skafander nie był taki ciężki, jak początkowo myślałem, jednak poruszanie się w nim nie było łatwe. Dźwig przeniósł mnie do wnętrza motorówki, gdzie już siedział doktor Juwar z Ramanem. Widziałem ich twarze o szybko otwierających się ustach — widocznie rozmawiali. Włączyłem radio. W słuchawkach usłyszałem ich głosy jakby z wielkiej odległości. Przekręciłem znajdujący się na pancerzu regulator.

— Przyrządy zakopujemy na głębokości jednego metra — mówił Juwar. — Zobaczmy, co nam powiedzą za rok.

— Ale w jaki sposób odnajdziecie aparaturę — wtrąciłem się do rozmowy — jeżeli przez ten czas zmieni się ukształtowanie dna?

— To bardzo łatwo — powiedział Juwar. — Po pierwsze w czasie trwania podróży robimy stale przy pomocy sond mapy dna, a po drugie za rok aparatura nadawać będzie sygnały ultradźwiękowe, które wskażą nam jej miejsce. Zresztą nie sądzę, aby rzeźba terenu mogła się w tym czasie zasadniczo zmienić.

W tym momencie górne klapy zawarły się i z nastawni dano znać, że „Delfin” osiadł już na dnie. Ściany śluz opadły, odcinając nas od hali portu. Z głuchym szumem do wnętrza komory wdarła się woda, wypełniając motorówkę. Ruchy moje stały się swobodniejsze. Rozwarły się drzwi wylotowe śluz. Raman włączył motor i wypłynęliśmy na zewnątrz. Płynęliśmy wzdłuż burt okrętu, mijając nie przysłonięte pancerzem oświetlone okna.

Nurek zwiększył szybkość. Dwadzieścia metrów pod nami znajdowało się usiane głazami dno. Obok przezroczystych ścian kabiny przemykały fosforyzujące punkty jakichś ryb. Niekiedy w pas światła przedniego reflektora wpływały nieznane mi stworzenia o przedziwnych, fantastycznych kształtach. Powoli dno zaczęło się fałdować, z boku wyrosły postrzępione skały, piętrząc się coraz wyżej. Wpłynęliśmy w dolinę pełną gwałtownych zakrętów i nawisłych bram skalnych. Po kilkunastu minutach jazdy motorówka osiadła na małej łączce, zamkniętej dookoła stromymi zboczami. Gdy opuściłemabinę, ogarnął mnie mrok. Juwar z Ramanem wybierali miejsce na umieszczenie przywiezionej aparatury, całkowicie pochłonięci swoją pracą. Ich długie cienie drgały w pasie światła rzucanym przez reflektor, ginąc raz po raz w otaczającej nas czerni.

Zdając sobie sprawę z mojej nieprzydatności w tej pracy, postanowiłem odbyć krótki spacer po łące. Zapaliwszy reflektor na hełmie, poszedłem wzdłuż zbocza. Wśród wodorostów porastających skały pełzały kraby lub drzemały nieruchome, leniwe ryby-potworki. Po pewnym czasie dno zaczęło się podnosić. Światła motorówki zniknęły w otaczającym mnie mroku, a w słuchawkach odzywało się jedynie ciche brzęczenie. Doznałem niemiłego uczucia wielkiej samotności wśród tego obcego dla mnie świata wypełnionego ciemnością. Postanowiłem wrócić. Włączyłem motor i odbiwszy się od dna, popłynąłem z powrotem. Jednak po chwili uświadomiłem sobie, że zmyliłem kierunek. Stok stale się podnosił i znalazłem na nim głazy, których poprzednio nie napotkałem. Po przepłynięciu około stu metrów zbocze urwało się gwałtownie i zawisłem nad czarną otchłanią o wystrzępionych krawędziach. Zawróciłem i osiadłem na gładkim zboczu wśród gmatwaniny wodorostów. Zdałem sobie sprawę, że zabłądziłem. Zanurzyłem rękę w obszerną kieszeń skafandra. Nóż, piła, ręczny reflektor, pistolet

elektryczny.

W słuchawkach wciąż to samo ciche, denerwujące brzęczenie. Wstałem i ruszyłem wzdłuż stoku w przypuszczalnym kierunku motorówki. Po chwili przystanąłem. To wszystko nie miało najmniejszego sensu — mogłem zejść w jakiś zakątek, w którym mnie towarzysze nigdy nie odnajdą. Sięgnąłem do kieszeni po pistolet, załadowałem rakietę i wzmocniwszy światło reflektora, spojrzałem jeszcze raz dookoła. Zbocze pokrywała gęstwina wodorostów, wśród których jak obeliski sterczały głazy. Nagle wydało mi się, że z najbliższej pochylonej w moim kierunku iglicy skalnej spogląda na mnie olbrzymia, upiorna twarz, skrzywiona w dziwnym grymasie. Halucynacja? Zamknąłem oczy. Czułem, jak trzymane wysiłkiem woli nerwy zaczynają odmawiać posłuszeństwa, powodując drzenie rąk. Opanowałem się i spojrzałem raz jeszcze. Spod wodorostów obrastających skalę spoglądała na mnie twarz jakiejś monstrialnej rzeźby. Podeszedłem bliżej i przyjrzałem się pochylonej nade mną maszkarze. Był to wielki posąg podobny do tych, jakie znajdują się na zboczach Wyspy Wielkanocnej. Płaskie oblicze bóstwa drgało nade mną w świetle reflektora, krzywiąc się w urągliwym uśmiechu. I nagle twarz ta zaczęła się do mnie błyskawicznie przybliżać, olbrzymieć... Jakaś ogromna siła pchnęła mnie, zbiła z nóg rzucając na dno. Padając uderzyłem mocno głową o szybę hełmu, przed oczyma zaczęły mi gwałtownie wirować duże, tęczowe kręgi... Ostatkiem woli nacisnąłem spust pistoletu.

V

OSTATNIE DNI UACO

Ody otworzyłem oczy, słońce zapadało w morze, rzucając ostatnie promienie w głąb kajuty. Przez chwilę nie mogłem zebrać myśli. Podmorska wyprawa, moja samotna wycieczka i olbrzymia, zbliżająca się do mnie twarz kamiennego bożka — wszystko to mieszało się w pamięci, występując fragmentarycznie i urywkowo. Dopiero po kilku minutach chaos ustąpił i począłem rozglądać się dookoła. Bez wątplenia była to moja kajuta — jestem zatem na pokładzie „Delfina”, który płynie na powierzchni, o czym świadczy zachodzące słońce i bryzgi wody na szybach. Lecz jak dostałem się tutaj?

Przypomniałem sobie, że padając pociągnąłem za spust pistoletu. A więc towarzysze mnie znaleźli. Z niepokojem poruszyłem się, a stwierdziwszy, że wszystkie kończyny są w najlepszym porządku i czuję się świetnie, wyskoczyłem z łóżka. Stojąc przed lustrem spostrzegłem, że mam na czole sporych rozmiarów siniec, a mój zarost jakoś dziwnie podrośł.

— Jak się pan czuje? — dobiegł mnie z telewizora głos inżyniera Atlona. — Zostałem otwarty aparat, aby móc panu jako pierwszy pogratulować odkrycia, no i dobrego snu.

Podeszedłem do telewizora.

— Ile godzin właściwie przespałem? — zapytałem pocierając brodę.

— Równe trzydzieści — odpowiedział inżynier, uśmiechając się na widok mojej zdziwionej miny — o resztę proszę nie pytać, oczekujemy pana w klubie.

W klubie zastałem grono moich znajomych. Po serdecznym powitaniu dowiedziałem się o dalszym biegu wypadków, w których odegrałem niechcący główną rolę.

— Po ulokowaniu aparatury na dnie kotliny spostrzegliśmy pana nieobecność — mówił Juwar. — Oczywiście nikt z nas nie sądził, że sprawy przybiorą tak poważny obrót, jednak zaniepokoiło nas pańskie długie milczenie. Gdy nie można było nawiązać łączności, Raman zaczął poszukiwania przy pomocy podwodnego oka znajdującego się w motorówce. Jednak

na ekranie nie mogliśmy nigdzie zauważyć pańskiej sylwetki. Czekaliśmy jeszcze chwilę, nadając bezskutecznie sygnały, wreszcie poczęliśmy przeszukiwać najbliższą okolicę. I wówczas między skałami przemknęła świetlistą smugą rakietą. Nie ulegało już wątpliwości, że spotkało pana jakieś nieszczęście. Kierując się wzdłuż gasnącej fluorescencji, z trudem odszukaliśmy pana wśród wodorostów, przywalonego olbrzymim głazem.

— Miał pan jednak dużo szczęścia — wtrącił Raman — gdyby nie piaszczyste dno i wymyte przez jakieś prądy zagłębienie, bardzo wątpię, czy skafander by wytrzymał takie uderzenie.

Skrzywiłem się lekko — lepiej nie roztrząsać tej przykrew historii. Najważniejsze, że jestem cały i zdrowy.

— Wydobycie pana nie sprawiało kłopotu — ciągnął dalej Juwar — wymyliśmy dookoła piasek i reszta poszła już łatwo. Jakie jednak było nasze zdziwienie, gdy spostrzegliśmy, że głaz nosi wyraźne ślady ręki ludzkiej, a stojące w pobliżu kamienie to galeria starożytnych posągów. Wprost druga Wyspa Wielkanocna.

Oceanograf pochylił się w moim kierunku.

— Proszę przyjąć serdeczne gratulacje. Przypadkowo dokonał pan odkrycia potwierdzającego przypuszczenia o istnieniu w przeszłości zamieszkałych lądów na tych obszarach Pacyfiku. Ta galeria posągów to poważny krok w naszych pracach.

Juwar wyjął z kieszeni kilka fotografii. Oglądałem je z zaciekawieniem. Te same podłużne twarze, ostro ciosane kamiennym dłutem, patrzyły w głębię oceanu i w błękit nieba Wyspy Wielkanocnej.

Nic ulegało wątpliwości, że są pozostałością po kulturze zaginionego narodu wyspiarzy. Trzymając w ręce fotografie, Juwar uśmiechnął się ironicznie.

— Sytuacja wręcz humorystyczna — powiedział z goryczą. — Ekipa naukowa zabawia się kopaniem dziury w piasku, a w tym czasie o trzysta metrów dalej wysłannik prasy dokonuje ważnego odkrycia.

Wieczór upłynął na rozmowie. O północy część towarzystwa udała się na spoczynek. W klubie pozostał tylko profesor Szmidt, Juwar i ja. Siedzieliśmy, gwarząc o zbliżających się pracach.

— Od godziny płyniemy już w rejonie wyładowania — mówił oceanolog, bawiąc się dziwną muszlą. — Rano znajdziemy się w punkcie, w którym wystąpiły promienie zakłócające, i zacznie się pańska praca, profesorze. Czy komisja genewska przesłała nowe informacje?

Szmidt ocknął się z zamyślenia.

— Rozmawiałem z nimi w południe — powiedział bez entuzjazmu. — Fizycy opracowali teorię produkcji promieni zakłócających. Otóż potrzebna jest do tego skomplikowana aparatura, wyposażona w szereg wielkich maszyn. Jedną z bardzo istotnych i największych części składowych jest antena-miotacz, której powierzchnię uzależnia odległość, na jaką chce się przesyłać promienie. Skierowano ponowne zapytania do wszystkich instytutów, czy nie przeprowadzają doświadczeń nad bellonium, lecz odpowiedzi są negatywne. Minimalne jego ilości znajdują się jedynie w Muzeum Chemii Jądrowej w Kanadzie. Poza tym stwierdzono, że ciężka odmiana tego pierwiastka nie była nigdy wytworzona na kuli ziemskiej z uwagi na całkowite zaniechanie jego produkcji po Dniu Zjednoczenia.

— Jednym słowem, nadal tkwimy w tym samym miejscu — powiedziałem.

Profesor skinął potakująco.

— Niestety. Jedyną wskazówkę stanowi pojawienie się promieni na tych obszarach.

— Czyżby dopuszczał pan istnienie innych przyczyn powodujących wyładowania? — zapytał Juwar.

Profesor Szmidt przez chwilę milczał.

— Stoimy u progu zagadki — powiedział — i sam już nie wiem, co o tym sądzić. Z po-

czątku wydawało się, że wyładowanie promieni E jest niemożliwe bez elektrytu, co potwierdzały przeprowadzone badania. Jednak rzeczywistość sprawiła nam niemiłą niespodziankę. Z drugiej strony, na Ziemi nie istnieje nawet materiał służący do produkcji promieni zakłócających, a cóż dopiero mówić o stacji, która mogłaby je wytworzyć i wysłać. Być może, istnieją jeszcze jakieś inne czynniki, których mózg wynalazczy nie mógł nam podać z powodu swych ograniczonych możliwości. Jest to przecież tylko maszyna, w dodatku po raz pierwszy w naszej historii zbudowana raczej w celach doświadczalnych niż praktycznych. Biorąc jednak pod uwagę otrzymane rozwiązanie musimy przyjąć jako podstawę rozważań rzeczywiste istnienie ciężkiej odmiany pierwiastka bellonium.

— Lecz któż może być jego posiadaczem? — zapytałem.

— Jeżeli nie instytuty badawcze, to może któryś z wynalazców-amatorów doszedł w niewytłumaczony sposób do posiadania bellonium i przeprowadza w jakimś ustronnym zakątku tajemnicze eksperymenty. Cóż, na razie gubimy się w domysłach.

Szmidt powoli wstał z fotela.

— Za kilka godzin rozpoczniemy poszukiwania, muszę więc nieco odpocząć — powiedział i ciężkim krokiem ruszył w kierunku drzwi.

W nocy nie mogłem zasnąć. Wstałem więc z łóżka i począłem krążyć po kajucie, rozmyślając nad ostatnimi słowami profesora Szmidta. Czyżby wynalazca-amator wyrzucał promienie zakłócające? Przypuszczenie było bardzo prawdopodobne, wzięwszy pod uwagę olbrzymią ilość ludzi zajmujących się badaniami i posiadających własne laboratoria. O ile komisja genewska się nie myli, badacz taki musiałby posiadać wielką i skomplikowaną aparaturę, której ukrycie nastęrczałoby znaczne trudności. Lecz skąd mógłby otrzymać bellonium? Nie mogłem uwierzyć, aby potrafił sam wyprodukować ten sztuczny pierwiastek. Potrzebne są do tego superakceleratorzy i cała bateria ultratronów, synchrotronów, bewatronów. Nie, niewątpliwie nasz przeciwnik musiał inną drogą wejść w jego posiadanie.

Nie znajdując odpowiedzi na gnębiące mnie myśli, poszedłem do biblioteki. W szklanych gablotach stały tutaj dziesiątki tysięcy mikrofilmów, na których utrwalono najcenniejsze prace naukowe i beletrystyczne. Niezdecydowany wertowałem olbrzymi katalog w poszukiwaniu jakiegoś dzieła, omawiającego okres Zjednoczenia Narodów. Duża ilość opracowań nastęrcza zawsze pewne trudności, w końcu jednak wybrałem na wpół zbeletryzowane wspomnienia Brandtona: *Na ziemskim terminatorze*. Usiadłszy przy libronie przycisnąłem na tarczy numer żądanego dzieła. Po chwili ekran aparatu rozjaśnił się i rozpocząłem przeglądanie książki. Pierwsze rozdziały omawiające sytuację ekonomiczną i polityczną nie były interesujące — przewertowałem też je bardzo szybko. Zatrzymałem się dopiero na opisie wypadków, jakie miały miejsce w zakładach „United Atom Company” nad Zatoką Kalifornijską, krótko przed Dniem Zjednoczenia. Włączyłem libron na dźwięk i usiadłem wygodniej. Matowy głos rozpoczął opowieść o ostatnich walkach między ludźmi.

„...Gdy dotarła do San Francisco wiadomość o opanowaniu przez zrewoltowaną załogę sztucznego księżycy „Power”, którego dowódca, generał Butler, groził zbombardowaniem miasta w razie opanowania UACO, wysłaliśmy do kierownictwa zakładów ultimatum. Równocześnie pancernik »Prezydent Lincoln« na czele floty rozpoczął blokadę od strony morza, odcinając tym samym załodze kombinatu jedyną drogę ucieczki. O godzinie jedenastej trzydzięści nadeszła drogą radiową odpowiedź generała Mortona, dowódcy UACO:

„Jesteśmy realistami i trzeźwo oceniamy sytuację” — mówił Morton. — „Nie mamy wyjścia, lecz w naszych rękach pozostają olbrzymie środki wystarczające na zniszczenie całej prowincji. Jedno przesunięcie dźwigni na moim biurku spowodować może nieobliczalne w skutkach następstwa. Takie same następstwa mógłby wywołać każdy nieostrożny strzał z broni atomowej w stronę zakładów. Szczerze mówiąc, chętnie przesunąłbym tę dźwignię, abyście wyginęli co do jednego, cenię jednak wysoko moje życie i życie moich przyjaciół. Dlatego też na wasze propozycje odpowiadam: Oddamy wam UACO w stanie pełnej gotowo-

ści produkcyjnej z jego urządzeniami i magazynami, jeżeli zagwarantujecie nam życie i wolność. Wolność ta w przeciagu pierwszych trzech lat musi być z konieczności ograniczona, aby nie zdarzył się nam jakiś wypadek ze strony podnieconego tłumu. Miejsce odosobnienia jest nam obojętne, lecz winno się odznaczać klimatem umiarkowanym oraz urządzeniami gwarantującymi kulturalne życie. — Morton.”

„Odpowiedź tę przekazano natychmiast do Białego Domu, ponieważ sztab nie był upoważniony do podjęcia takiej decyzji. Groźba zawarta w radiogramie mogła być w każdej chwili wykonana przez tego szaleńca, który ani chwili nie zawaha się przed wysadzeniem w powietrze zapasów bellonium. Oznaczałoby to śmierć milionów ludzi. O godzinie dwunastej piętnaście Biały Dom przekazał odpowiedź:

„Generale Morton! Cały glob ziemski jest w przededniu święta przyjaźni i braterstwa. Kończy się trudny okres waśni, swarów i bratobójczych walk. Gwarantujemy wam i waszym towarzyszom życie i wolność. Jako miejsce tymczasowego pobytu wyznaczamy wyspę Mauna Kea na Archipelagu Hawajskim. Niech krater, w miejscu gdzie wznoszą się mury UACO, nie stanie się tragicznym finałem poprzedzającym zjednoczenie mieszkańców Ziemi.”

„W pół godziny później pierwsze oddziały lotnicze wylądowały na terenie zakładów. Jako delegat Białego Domu wraz z profesorem Sandt z Instytutu Chemii Jądra Atomowego towarzyszyłem grupie ekspertów przejmujących UACO. Morton przyjął nas w swoim gabinecie mieszczącym się w schronie przeciwoatomowym, zbudowanym siedemdziesiąt metrów pod ziemią. Po krótkiej rozmowie udaliśmy się koleją podziemną do magazynów środków rozszczepialnych, mieszczących się w odległości kilku kilometrów od jego kwatery. Przez całą drogę generał milczał, siedząc sztywno w fotelu wagonu. Przy wejściu do magazynów dołączyło się do nas dwóch ekspertów spośród pracowników zakładów — doktor Williams i docent Hurst. Ubraliśmy się w skafandry ochronne i rozpoczęliśmy przegląd. Przekraczając pancerny właz, Morton powiedział:

„— Jest to dla mnie najprzykrzejszy moment w życiu. Oddaję środki, które mogłyby nam przywrócić władzę nie tylko w Ameryce, lecz na całej kuli ziemskiej. Zabrakło jednak czasu na dokończenie doświadczeń z bellonium.

„— Jest pan niepoprawnym optymistą, generale — odpowiedział na to profesor Sandt. — Znana jest nam olbrzymia, niszczycielska siła bellonium, jednak rozum ludzki przeszkodziłby temu szaleństwu. Bellonium zniszczyłoby nie świat, lecz was.

„Morton roześmiał się szyderczo. „— Nic by was nie uratowało, gdybyśmy mieli jeszcze miesiąc lub dwa czasu!

„Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. W końcu profesor Sandt odrzekł:

„— Pańscy najbardziej zaufani ludzie by do tego nie dopuścili. Obecni tutaj doktorzy Williams i Hurst, o czym zapewne pan nie wie, już przed kilku miesiącami zadeklarowali się przeszkodzić tym zamierzeniom, wstrząśnięci myślą o szykującej się zbrodni.”

Morton drgnął gwałtownie.

„— Williams! Hurst! Czy to prawda?”

„— Własnymi rękami bym wysadził zakłady w powietrze — odparł spokojnie doktor Williams — gdyby sprawy zaszyły tak daleko. Na szczęście nie było to konieczne.”

Błada twarz generała stała się purpurowa. Jego sztywna postać dziwnie się skurczyła jakby pod jakimś ciężarem.

„— Chodźmy — powiedział bezbarwnym głosem.”

„Za betonowymi ścianami w komorach wyłożonych ołowiem leżały wielkie ilości pierwiastków promieniotwórczych i ich izotopów. Wzdłuż sufitu korytarza lśniły ciemne oprawy liczników Geigera, suchym trzaskiem oznajmiające o przelocie cząstek. Przy każdej komorze znajdowała się tablica usiana zegarami, notującymi procesy zachodzące za ochronnym murem. Członkowie komisji wraz z pracownikami UACO sprawdzali stan i jakość pierwiastków.

Morton w milczeniu przyglądał się ich pracy. W końcu znaleźliśmy się przed pancernymi drzwiami oznaczonymi symbolem Bell. Generał przystanął i nacisnął włącznik. Drzwi z głuchym łaskotem rozsunęły się. Po kilkunastu krokach byliśmy na miejscu. Przed nami pancerna ściana zamykała dostęp do komory, w której znajdował się potworny materiał zagłady. Niewielki właz pokrywały nienaruszone pieczęcie. Uczeni przez długą chwilę spisywali dane z aparatów pokrywających boczną ścianę korytarza.

„— Generale Morton — odezwał się nagle doktor Williams. — Pierwiastek bellonium został przez nas wyprodukowany w ilości pięciuset kilogramów, z czego dwa zostały zużyte w laboratoriach. W komorze znajduje się tylko 398 kilogramów. Gdzie jest reszta zapasów bellonium?”

„— Została zużyta do specjalnych doświadczeń — odpowiedział chłodno...”

Zerwałem się z fotela i stanąłem nad libronem. A więc w tajemniczy sposób zużyto sto kilogramów bellonium! Szybko począłem przeglądać dalsze rozdziały książki w poszukiwaniu wyjaśnienia charakteru tych doświadczeń. Morton jednak odmówił odpowiedzi na pytania komisji. Autor książki, co prawda, wspominał o wybuchach atomowych zanotowanych na Pacyfiku na kilka tygodni przed opanowaniem UACO i łączył je ze zniknięciem pierwiastka z magazynów zakładu, lecz informacje te nie były przekonywujące. Morton nadal milczał, a po kilku tygodniach pobytu na wyspie Mauna Kea zniknął nagle wraz z kilkoma towarzyszami i wszelki ślad po nim zaginął. Resztę zapasów pierwiastka zniszczono na Antarktydzie, pozostawiając tylko niewielką ilość Kanadyjskiemu Muzeum Chemii Jądra Atomowego.

Chodziłem po pustej bibliotece, gubiąc się w domysłach. Czy całą ilość bellonium zabraną z UACO zużyto na zbrodnicze doświadczenia? Może część ukryto i teraz po prawie dwóch wiekach ktoś przypadkowo znalazł schowek i eksperymentuje na własną rękę? W takim razie tajemniczy wynalazca, znając efekt swoich doświadczeń, winien powiadomić o tym miasto atomowe lub komisję w Genewie. Chyba że nie chce, może świadomie działa w ukryciu, powodowany dziwnymi pobudkami. A może to naprawdę szaleniec?! Wzdrygnąłem się cały na to przypuszczenie. Przypomniałem sobie historię pewnego maniaka, który przed dziesięciu laty chciał przy pomocy nitrogliceryny wysadzić w powietrze Gibraltarskie Elektrownie Wodne. Może w tej chwili w odległej, zamaskowanej stacji inny szaleniec kieruje miotacz w stronę Wyspy Wielkanocnej, by przy pomocy wyładowania promieni E zniszczyć jej ludność. A może chce przeszkodzić budowie Helios II wyobrażając sobie, że dwa słońca nie mogą świecić nad Ziemią?

VI

PROMIENIE ZAKŁÓCAJĄCE

Za grubymi szybami iluminatorów niebo poszarzało. Dopiero głośnie „dzień dobry” przerwało moją nerwową wędrówkę po bibliotece. W drzwiach stali Szmidt i Juwar.

— Cóż to? Poranny spacer wśród książek — zapytał profesor.

Podzieliłem się z nimi moimi przypuszczeniami. Szmidt nie okazał zdziwienia.

— Na te okoliczności zwrócili także uwagę historycy. Po badaniach materiałów z tego wieku stwierdzono niezbicie, że wybuchy były spowodowane bombami Bell. Niestety, nie udało się ustalić, jaka ilość pierwiastka została w ten sposób zniszczona i dlatego być może w chwili obecnej ktoś jest w posiadaniu reszty.

— Ile kilogramów potrzeba do wytworzenia promieni zakłócających?

— Zdania są podzielone. Prawdopodobnie około 60 kilogramów ciężkiej odmiany.

Poszliśmy na pokład. Gwiazdy już zbladły wchłaniane przez srebrnoniebieską kopułę nieba. Wiał wschodni, rzeźwy wiatr, przynosząc od strony dziobu wodny pył. „Delfin” zmniejszał szybkość. Po kilkunastu minutach zniknął fosforyzujący szlak za rufą i statek zaczął kołysać się lekko wśród niezmierzonej przestrzeni oceanu zlewającego się z niebem. Tylko na wschodzie stale jaśniejąca linia horyzontu zapowiadała szybkie wzejście słońca.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Juwar.

Nikt z nas nie kwapił się do rozmowy: oparci o balustradę górnego pomostu spoglądaliśmy w spokojne niebo, rozwierające się nad nami coraz szerzej warstwami błękitniejszego granatu.

Na pokładzie pojawili się ludzie i automaty. Ze zgrzytem odskoczyła pokrywa luku i nad ciemnym otworem pochyliło się ramię dźwigu. Wydobywano z magazynu helikopter i całą eskadrę dyskolotów, aparatów zdalnie kierowanych przypominających olbrzymie, płaskie talerze z wmontowanym zamiast dna wirnikiem. Miały one posłużyć jako sieć zwiadowcza: zawieszane na wysokości od dwóch do czterech tysięcy metrów nad poziomem morza będą patrolowały niebo w poszukiwaniu tajemniczych promieni. Na razie wmontowywano w nie płaskie skrzynki wykrywaczy zaopatrzone w niewielkie paraboliczne anteny.

O godzinie ósmej poszukiwania były już w pełnym toku. Bezchmurne niebo przecięły dwie linie dyskolotów, podobne z oddali do sznura pereł. Wśród nich uwijał się helikopter, jego brzęczenie raz po raz docierało na pokład, mącąc poranną ciszę. Wraz z asystentem profesora siedziałem przy aparacie kontrolnym, oczekując pojawienia się promieni. Powoli mijały godziny. W południe ekipa oceanografów wyruszyła na badanie dna echosondą i pokład zupełnie opustoszał. Uczni zamknęli się w swych gabinetach, a czerwone światła nad drzwiami nie zachęcały do złożenia im wizyty. W końcu zeszedłem do klubu, który stał się dla mnie ulubionym miejscem pobytu. Jednak i tam nie wysiedziałem długo. Znudzony rozpocząłem spacer po korytarzach, zaglądając ciekawie do wszystkich zakamarków. Mijając jakieś wpółuchylone drzwi, usłyszałem nagle głęboki głos Juwara.

— Uwaga! Znowu nadchodzi... tym razem chyba silniejszy...

Zaintrygowany wszedłem do środka — znajdujący się tam ludzie nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi. Juwar w gronie asystentów siedział pochylony nad niewielkim ekranem. Zbliżyłem się do nich. Na zielonkawej tafli przeskakiwały szybko jasne smugi, płacząc się w węzły, by natychmiast rozbiec się na wszystkie strony. Był to jakby taniec linii, w którym pozostało coś z rytmu, obecnie już zmaconego i przypadkowego. Trwało to ułamek sekundy i linie nagle opadły, układając się w szereg prostych. W pracowni słychać było tylko szmer działającej nadal aparatury.

— Promienie zakłócające? — zapytałem pochylonego nad ekranem Juwara.

Odwrocił głowę i uśmiechnął się ironicznie.

— Nie, redaktorze, było to po prostu niewielkie trzęsienie ziemi.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Udałem jednak zainteresowanie zjawiskiem i zapytałem, na jakim kontynencie miało miejsce.

— Bezpośrednio pod nami, redaktorze. Jesteśmy przecież na terenach wulkanicznych, na których drobne wstrząsy nie są rzadkością. Dobrze, że nasi nurkowie nie wybrali się na wycieczkę głębinową. To mogłoby być dla nich niebezpieczne.

Wyobraziłem sobie podwodne góry, z których poczynają spadać głazy, obsuwają się stoki, rysują szczeliny... A wszystko odbywa się bez najmniejszego dźwięku, w ciemnościach głębin.

— Coś mnie jednak w tym zjawisku zastanawia — mówił Juwar, oglądając wykres. — Hm... to wygląda, jakby się chciał obudzić jakiś wulkan.

Uczony pochylił się znowu nad aparatami, przywołując skinięciem ręki asystentów.

Następne dni były do siebie podobne jak helikoptery jednego typu. Pogoda nadal była

piękna i tylko czasem powierzchnię morza marszczyły słabe fale. Dyskoloty unoszą się na tle błękitnego nieba, helikopter brzęczy i nic się nie dzieje. Codziennie około południa naukowcy przesuwały zaporę dalej na wschód, lecz widocznie tajemniczy przeciwnik nie ma zamiaru wysłać w tym kierunku następnej wiązki promieni, bo aparaty milczą uparcie. Szmidt rzadko ukazuje się na pokładzie: spotkać go można przeważnie wieczorem w bibliotece, gdy wertuje katalog w poszukiwaniu jakiegoś dzieła. Z Juwarem i Ramanem widuję się częściej — rano wyruszają na codzienną wyprawę motorówką, a po południu, po opracowaniu nowego kawałka mapy dna morskiego, przychodzą do klubu. O tej porze zjawia się także Atlon i gwarzy do północy.

Wczoraj rozmawiałem z redakcją „Globu”, ale i tam nic nie wiedzą. Miasto atomowe pracuje bez zarzutu i przesyła już promienie E do San Francisco. Uruchomienie tej linii było wielkim wydarzeniem w świecie, na „Delfinie” jednak przeszło prawie niepostrzeżenie. Oceanologowie zajęci badaniami ryb i glonów zaskorupieli w swojej pracy, natomiast Szmidt przyjął otwarcie linii prawie obojętnie, jako rzecz zupełnie zrozumiałą. Zdziwiła mnie natomiast pasja, z jaką od początku zabrał się do wyjaśnienia zagadkowego wypadku. On i jego współpracownicy nie opuszczali prawie pomieszczeń zajętych przez mózg elektronowy, wzywając bardzo często do pomocy Paryż, Warszawę i Leningrad. W Genewie nadal się głowią nad sprawą bellonium, lecz poszukiwania stanęły na martwym punkcie. Wszyscy oczekują na rezultat naszych badań, które też pozornie nie ruszają z miejsca. Rosną tylko w pracowniach stosy wykresów, tablic i notatek.

Ostatecznie nasz przeciwnik musiałby być naprawdę nienormalny, gdyby nadal wysyłał promienie w ten rejon. Co prawda ekspedycja wyjechała dyskretnie, lecz zdrowy rozsądek nakazuje każdemu mieszkańcowi Ziemi przypuszczać, że uczeni nie przejdą do porządku dziennego nad wylądowaniem promieni. Każdy dzień potwierdza moje przypuszczenia i właściwie powinienem zaproponować redakcji odwołanie mnie z „Delfina”. Sam nie wiem, dlaczego dotychczas tego nie uczyniłem.

Szmidt i Atlon wierzą w powodzenie badań. Ich argumentem jest przede wszystkim zachowanie spokoju i cierpliwości jako podstawowego warunku uzyskania wyników. Musiałem się z nimi zgodzić chociaż lubię szybki tok wypadków i jestem zdecydowanym wrogiem powolności. To powoduje moją nerwowość i zły humor, którego nie zabijają spacerunki po pokładzie lub wycieczki po świeże ryby.

Jak codziennie siedziałem na pokładzie przy aparacie kontrolnym i wpatrywałem się w nieruchome tarcze zegarów. Żeby chociaż jedna wskazówka drgnęła! Ale nic nie mąciło spokoju mechanizmów. „Delfin” kołysał się powoli, statecznie, jakby tym ruchem podkreślał jeszcze lenistwo sieci dyskolotów wiszących w błękicie. Po południu na pokładzie pojawił się Juwar; poszedł na część dziobową okrętu i długo rozglądał się po niebie. W drodze powrotnej przystanął na chwilę przy moim fotelu i spojrzał na aparat.

— Nic, redaktorze? — zapytał zdawkowo.

— Nic — westchnąłem.

Pokiwał głową i nerwowym ruchem poprawił okulary. Wyczułem, że oceanolog z niecierpliwością oczekuje zakończenia misji profesora Szmidta, która hamuje prace naukowe jego ekipy. Jednak nigdy nie dał tego poznać po sobie.

— Za godzinę rozpocznie się zwijanie sieci dyskolotów — powiedział sucho.

— Znaleziono już rozwiązanie?!

— Nie! Stacje meteorologiczne przesłały nam ostrzeżenie o zbliżającym się cyklonie. Profesor Szmidt przerywa badania, nie chcąc się narazić na stratę aparatów.

— Lecz jeżeli właśnie w tym czasie zostaną wysłane promienie zakłócające?

Juwar wzruszył ramionami na znak, że będzie się trzeba z tym pogodzić. Zresztą sam nie bardzo wierzyłem w pochwylenie promieni. Tajemniczy eksperymentator zaprzestał zapewne swoich doświadczeń zaniepokojony ich rezultatami. Jednak na twarzy doktora Juwara

wyczytałem wahanie, gdy z troską spoglądał w stronę powietrznej zapory. Pozostawienie dyskolotów w czasie cyklonu jest niemożliwe, gwałtowne uderzenia wichru zepchnęłyby je niewątpliwie w morze, z drugiej zaś strony przerwanie obserwacji na przeciąg kilku godzin może spowodować przeoczenie promieni, które właśnie w tym czasie mogły się pojawić. Pomimo zniechęcenia uległem jednak także pasji badawczej, temu uporowi z jakim naukowcy w laboratoriach powtarzają tysiącrotnie tę samą próbę.

— Czy Instytut Pogody nie może zmienić trasy cyklonu?

Juwar zaprzeczył. Okazało się, że najbliższa stacja na Paumotach ma awarię, a urządzenia pomocnicze są zbyt słabe, aby zepchnąć cyklon z jego toru.

— Można by zostawić kilka dyskolotów — powiedziałem niepewnie.

Oceanolog skinął głową.

— Właśnie o tym wspominał Atlon — odrzekł. — Trzeba im będzie dać dodatkowe stery — włożywszy ręce w kieszenie płaszcza, uczony zniknął w drzwiach pokładu.

Nic jeszcze nie wróżyło zbliżania się cyklonu, panowała cisza nie maćona najłżejszym tchnieniem wiatru. Tylko promienie słońca jakby żółkły i „Delfin” kołysał się mocniej na falach. Na pokładzie zjawiał się asystent z robotem, który przeniósł aparat kontrolny do biblioteki. Sztorm miał „Delfin” przeczekać w zanurzeniu, utrzymując łączność z powierzchnią przy pomocy pływającej anteny. Gdy po półgodzinie wróciłem na pokład, jedną trzecią nieba pokrywały już zwarte, ciemne chmury, rwane po brzegach górnymi prądami powietrza. Ocean falował coraz niespokojniej, chociaż wiatr się jeszcze nie zerwał. Było duszno. Dyskoloty wracały na pokład, zawisały na chwilę w powietrzu, by brzęcząc donośnie opaść pionowo w rozwarte wnętrze środkowego luku. Tylko dwa z nich zaopatrzone w dodatkowe urządzenia opuściły ponownie okręt, by patrolować ciemniejące niebo.

Fala stale wzrastała. Było coś niezwykłego w coraz gwałtowniejszym podnoszeniu się i opadaniu wód w bezwietrzne, gorące popołudnie. Słońce rzuciwszy krwawy blask zniknęło nagle za nadbiegającą barierą chmur i znaleźliśmy się w półcieniu. Motorówki jedna po drugiej zniknęły w otworach śluz portowych, na tylnym pokładzie osiadł helikopter. Zerwał się wiatr. Było to po prostu lekkie tchnienie, ciepłe i łagodne, które musnęło twarz i przepadło. Znowu nastała cisza. Z daleka wśród ołowianych fal spostrzegłem zbliżający się szybko jasny punkt. To wracała ostatnia motorówka wioząca oceanografów z odległej wyprawy. Mały stateczek zręcznie przebijał się przez wzburzone fale, idąc pełną szybkością w stronę „Delfina”. Wiatr znowu się zerwał, nieco silniejszy i przepadł nagle w czarnej przestrzeni horyzontu. Motorówka już dobijała do okrętu, przez moment manewrowała, czekając odpowiedniej chwili, wreszcie lekko wpłynęła w otwór śluzy, wessana polem elektromagnetycznym.

— Późno wrócili — powiedział jakiś głos.

Obróciłem się. Obok mnie stał Atlon w swoim płaszczu laboratoryjnym. Wiatr spostrzegliśmy szybciej niż do nas dotarł. W pewnym momencie dyskoloty poczęły się gwałtownie cofać po niebie zmieniawszy kąt nachylenia. Minęło kilka sekund, zanim znowu zawisły nieruchomo, wibrując od drgań. Zaledwie zdołałem ten widok utrwalić w pamięci, gdy ściana wichru dotarła do „Delfina” i cisnęła mną o pokład. Miałem wrażenie, że znalazłem się w tunelu aerodynamicznym i że ciało moje dąży do przybrania kształtu kropli. Uszy nappełnił świst przypominający wysoki dźwięk syreny. Poczulem szarpnięcie za ramię i otworzyłem oczy. Obok pełznął Atlon, z wysiłkiem ciągnąc mnie za bluzę. Gdy zauważył, że oprzytomniałem, zaczął coś krzyczeć, pokazując ręką przed siebie. Widziałem jego otwierające się usta, z których nie dochodził do mnie żaden dźwięk. Zacząłem szybko pełznąć w stronę włazu, nad którym migotało światło sygnałowe. Zrozumiałem zniecierpliwienie inżyniera — „Delfin” gotował się do zanurzenia. Nadbiegająca od dziobu fala pchnęła mnie w stronę włazu. Chwyliłem poręcz i na uginających się nogach począłem schodzić w głąb statku. Za mną szedł Atlon. Usłyszałem zgrzyt zamykającej się automatycznie kłapy i natychmiast zapalił się w ścianie zielony punkt. „Delfin” schodził w głąbiny oceanu.

Zmieniwszy przemoczone ubranie poszedłem do biblioteki. Zastałem tam Szmidta i Ramana zatopionych w ożywionej rozmowie.

— Cóż, że potrafimy spowodować deszcz i zmienić klimat — dowodził gorąco nurek. — Przecież to już nasi przodkowie znali, nic w tym nadzwyczajnego. Czas najwyższy, żeby nam jakieś cyklony nie przeszkadzały w pracach.

— Powoli i to opanujemy — odpowiedział spokojnie profesor Szmidt. — Chciałby pan przeskoczyć epokę, a to, niestety, się nie uda. Musimy wpieryw uporządkować naszą planetę, a następnie dopiero przejdziemy do generalnego ataku na pogodę.

— Wydaje mi się, że zbyt długo trwają wyczekiwania w tej dziedzinie — westchnął Raman. — Od kilku lat panuje kompletny zastój.

Po zmęczonej twarzy Szmidta przewinął się uśmiech.

— To tylko pozory — odparł. — W istocie ich instytuty nie mogą podołać nawałowi pracy. Sto pięćdziesiąt lat temu nawodniliśmy pustynie, przecięliśmy je pasami leśnymi, stworzyliśmy nowe rzeki i zbiorniki wodne, a stale jeszcze przebiegają na tych terenach procesy zmian klimatycznych. A ostatnie roboty nad regulacją dorzecza Amazonki? Czyż głównej pracy nie wykonali klimatolodzy? Ich zakres działania stale rośnie. W chwili obecnej mają swoje stacje doświadczalne na Wenus i Marsie. Chcą wraz z chemikami przystosować atmosferę i klimat tych planet do potrzeb ludzkich. A budowa sztucznego słońca nad Antarktydą? Jaka to olbrzymia praca dla klimatologa! Ponad czternaście milionów kilometrów kwadratowych pokrytych wiecznymi lodami, spod których zaledwie wystają szczyty wysokich gór. Lody wpływające na klimat całej kuli ziemskiej zaczną tajeć. Obliczyć, opracować naukowo te wszystkie procesy, włączyć część nowych wód do bilansu opadów naszej planety, zastanowić się wspólnie z przedstawicielami różnych gałęzi nauk, co zrobić z resztą tej mieszaniny tlenu i wodoru... Nie, nie sędzę, aby klimatolodzy się nudzili. Raczej strasznie się spieszą i po prostu nie mają czasu, aby się zająć kilkoma cyklonami, które czasem powstaną poza zasięgiem stacji pogody.

— Zresztą po stopieniu lodów Antarktydy może nie będzie się trzeba nad tym zastanawiać — wtrąciłem do rozmowy.

Odpowiedzi jednak nie otrzymałem, ponieważ profesor pochylił się gwałtownie nad przyniesionym tu z pokładu aparatem kontrolnym. Na jego płycie podzielonej na dwadzieścia pól paliły się dwa punkty świetlne oznaczające pozostawione w powietrzu dyskoloty. Teraz jeden z punktów zaczął gwałtownie mrugać i nagle zgasł. Szmidt wyprostował się w fotelu.

— Straciliśmy jeden aparat — powiedział.

Przez chwilę jeszcze rozmawialiśmy o budowie stacji elektromagnetycznych dla kierowania sztucznym słońcem. Profesor począł wyjaśniać znaczenie promieni E w procesie stworzenia pola grawitacyjnego dla Helios II. Najwyższe Kolegium Naukowe wiązało z miastem atomowym plan przeobrażenia Antarktydy — jedno z największych przedsięwzięć ludzkości. Stacje grawitacyjne musiały mieć zapewniony stały dopływ olbrzymiej ilości energii elektrycznej, aby utrzymać kulę rozżarzonych gazów na odpowiedniej wysokości ponad powierzchnią globu. Przywiązywano zatem wielką wagę do wykrycia źródła promieni zakłócających, zakłócenia bowiem w polu grawitacyjnym lub jego chwilowy zanik spowodować by musiały nieobliczalną w skutkach katastrofę. Helios II spadłby na ziemię, wtapiając się w nią natychmiast, część jednak gazów podlegająca gwałtownym przemianom jądrowym rozpełzłaby się po powierzchni Antarktydy, zamieniając ją w martwą pustynię podobną do krajobrazu księżycowego. Uruchomienie zatem sztucznego słońca uzależniono od wykrycia źródła zakłóceń.

Rozmowę, przerwał nam sygnał telewizofonu. Szmidt przekreślił gałkę i na ekranie ukazała się twarz Juwara.

— Przepraszam, że przerywam rozmowę — powiedział — ale mam tutaj ciekawy przypadek, który panów niewątpliwie zainteresuje. Czy mogę prosić do mojego gabinetu?

Profesor Szmidt przekazał swojemu laboratorium kontrolowanie pracy ostatniego

dyskolotu, po czym przeszliśmy do części statku zajętej przez oceanologów.

Juwar powitał nas skinięciem głowy, wskazując w milczeniu leżący przed nim arkusz. Była to duża mapa dna morskiego, składająca się z wielu kwadratowych odcinków. Mielśmy przed sobą rezultat codziennych wycieczek oceanografów. Pochyliłem się nad mapą i spojrzałem na miejsce wskazane przez Juwara. Ciągnęły się tutaj dwa pasma górskie zamknięte kotliną o urwistych ścianach. Mapa, wykonana bardzo ostro i dokładnie, była w tym miejscu przyciemniona, kontury zboczy zatarły się, tworząc chaos linii i plam. Nic z tego nie rozumiejąc spojrzałem pytająco na moich towarzyszy. Profesor zaledwie rzucił okiem na mapę, lecz twarz Ramana zdradzała podniecenie.

— Ciekawe — powiedział cicho nurek, prostując swoją postać.

Szmidt spytał, czy aparaty nie uległy uszkodzeniu.

— Nie. Urządzenia były w najlepszym porządku — odparł oceanograf.

— Ciekawe, ciekawe... — zamruczał Raman, pochylając się ponownie nad mapą.

— Ale co to właściwie jest? — zapytałem Juwara.

— Sam jeszcze nie wiem. Otóż sonda, przy pomocy której wykonujemy nasze mapy w tym miejscu, zaczęła zachowywać się bardzo dziwnie. Wysłane impulsy z niewiadomych przyczyn odbiły się kilkakrotnie od dna, tworząc widoczne na mapie plamy.

— Mogą to być pola wodorostów zagnane w kotlinę — powiedział niepewnie Raman.

— Jest to teren wulkaniczny i być może istnieją tam jakieś nadzwyczajne warunki dla tak masowej roślinności, chociaż... wydaje mi się, że inaczej to powinno wypaść na mapie. Chyba — dodał po namyśle — że są to te szczególne rośliny...

Juwar skinął potakująco. Twarz miał bladą, tylko oczy błyszczały mu gorączkowo. Spojrzałem zdziwiony — nigdy nie widziałem oceanologa tak podnieconego.

— Czy to daleko stąd? — zapytał sucho Szmidt.

— Prawie dzień jazdy „Delfinem” w kierunku północnym — powiedział doktor Juwar.

Uczeni w milczeniu patrzeli przez chwilę na siebie. Wreszcie Szmidt zrobił przeczący ruch głową.

— Nie mogę... Nie możemy się stąd oddalać.

Twarz Juwara stała się trupioblada, przygryzł wargi. Zapadło ciężkie, nieprzyjemne milczenie. Przerwał je nagły sygnał telewizora. Juwar niechętnie wyciągnął rękę i przekreślił gałkę. Ukazała się twarz Atlona.

— Dyskolot uchwycił słabe odbicie promieni zakłócających — dobiegł nas jego głos.

— Już idę — krzyknął Szmidt i rzucił się ku drzwiom. Wyszedłem za nim. Biały płaszcz profesora mignął mi na zakręcie korytarza, widocznie uczony biegł do swojej pracowni.

Po chwili znalazłem się w jego laboratorium. Szmidt z Atlonem w gronie asystentów stali przed aparatem kontrolnym, wpatrując się w nieruchome wskazówki zegarów. Punkt świetlny drgał ostrzegawczo, dając znać o ciężkich warunkach, w jakich znajdował się dyskolot. Pięćdziesiąt metrów ponad nami ryczał rozszalały ocean, pędziły chmury rozdzielane wirami powietrznymi, miotał się pozostawiony aparat i gdzieś niedaleko przeszły przed chwilą tak długo poszukiwane promienie.

— Czy złapane odbicie wystarczy do obliczeń? — zapytał Szmidt.

— Wątpię, było to jedynie drgnięcie i trwało ułamek sekundy — odparł Atlon, nie spuszczać wzroku z zegarów. — Sądzę, że promienie przebiegły bardzo blisko i dyskolot wychylając się pod wpływem wiatru, przyłapał ślad przejścia jakiejś skrajnej wiązki.

Profesor Szmidt oddychał ciężko.

— Musimy się wynurzyć i wysłać następne aparaty — powiedział chrapliwie. — Wszystkie wypuszczę, wszystkie! Może jeszcze złapią te przekłete promienie!

Światelko na ekranie aparatu kontrolnego zamrugało ostrzegawczo, błysnęło silniej i zgasło. Ostatni dyskolot został zepchnięty w morze.

— W tych warunkach start jest niemożliwy — powiedział Atlon — fale natychmiast zaleją otwór luku.

— Zobaczymy, co zdołały zanotować automaty — rzekł Szmidt cicho, odmykając płytę aparatu.

Opuściłem pracownię. Czekając na wyniki badań, siedziałem w klubie i układałem treść komunikatu dla redakcji „Globu”. Krótco przed północą przyszedł inżynier Atlon. Jego zachowanie wskazywało, że przynosi ciekawe wiadomości. Zerwałem się z fotela.

— No i co?

— Szmidt zdołał ustalić przypuszczalny kierunek, z którego dokonano emisji. Zmuszeni będziemy rozpocząć poszukiwania wzdłuż linii przebiegu, lecz to nie potrwa długo.

— Można więc sprawę traktować jako rozwiązana?

— Tak. Pas przebiegu wchodzi na kilkaset kilometrów w głąb ładu i nie jest specjalnie szeroki. Lot kontrolny nad tym obszarem musi wskazać obiekt, który nie jest przecież główką szpilki. Jutro tajemnica promieni zakłócających będzie już wyjaśniona.

VII

INSTYTUT W KORDYLIERACH

Przez całą noc trapiły mnie dziwaczne wizje. W pokładach uspionej świadomości tworzyły się obrazy ukrytej wśród gór stacji obsługiwanej przez ludzi bez twarzy. Wyteżalem wszystkie siły, żeby im spojrzeć w oczy. Jednak pomimo wysiłków głowy były jakby zamknięte w mlecznobiałych kulach, a może były samymi kulami o powierzchniach matowych, nie odbijających blasku. W ruchach tych istot wyczuwałem miękką drapieżność, sposób w jaki chodziły wśród urządzeń wypełniających olbrzymią halę przypominał stąpanie dużych kotów, ostrożne i niepokojące. Czulem do nich wstęć i nie wiadomo dlaczego miałem wrażenie, że nie myślą, chociaż rozwiązywały zawile zadania przy pomocy mózgow ele-
ktronowych. W końcu jedna z tych istot zaczęła się do mnie zbliżać, z każdym krokiem kula osadzona na walcowatej szyi rosła, rozdymała się potwornie, pochłaniając coraz to dalsze części korpusu, aż ujrzałem przed sobą samą oślepiająco białą masę, która zaczęła się mi wsączać oczami do mózgu. Krzyknąłem i obudziłem się.

Przez okno kabiny wpadały pierwsze promienie słońca, ślizgając się po moim pośłaniu. Otrząsając z pamięci opary koszmarnego snu, począłem się ubierać. Pomimo wczesnej pory na korytarzach statku panował ożywiony ruch. To pracownicy ekipy profesora Szmidta rozpoczęli przygotowania do opuszczenia statku, który za kilka godzin, uwolniony od naszej obecności, wyruszy na właściwe badania oceanograficzne. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że są to i dla mnie ostatnie godziny bytności na „Delfinie”. Sprawę promieni E przestała otaczać mgła tajemniczości — ustalono miejsce stacji zakłócającej i mój reporterski obowiązek wzywał mnie do przychwycenia na gorąco epilogu tej dziwnej historii. Czasu pozostało niewiele — o dziewiątej miałem się udać samolotem wraz z profesorem, inżynierem Atlonem i kilkoma asystentami do Ekwadoru, by wziąć udział w ostatecznym zlokalizowaniu stacji. Reszta członków ekspedycji pozostawała jeszcze na statku, by do końca śledzić pracę sieci dyskolotów, a następnie przeprowadzić ewakuację sprzętu i materiałów naukowych.

Punktualnie o godzinie dziewiątej przybył oczekiwany odrzutowiec. Od kilku minut z teczką w ręku stałem na pokładzie w niewielkiej grupie odjeżdżających, żegnając się z członkami załogi „Delfina”. Kilka dni spędzonych wśród stałego napięcia nie pozwoliły mi na zawarcie zbyt wielu znajomości, żegnaliśmy się jednak jak przyjaciele, których zbliżyła do

siebie wspólna sprawa. Długo ścisnąłem dłoń Juwara i Ramana, mówiąc zwykle w takich wypadkach zdania, których wartość istotna tkwi jedynie w intonacji głosu. Profesor Szmidt i Atlon pożegnali się z oceanologami chłodno, wymieniając sztywne ukłony. Dwaj uczeni podali sobie ręce, mówiąc jakieś słowa podziękowań lub przeproszeń, lecz można było wyczuć, że nadal żywią do siebie głęboką urazę. Wsiadliśmy do motorówki i popłynęliśmy do kołyszącego się na falach odrzutowca stratosferycznego.

Start nastąpił w kilka minut później. Niewielka maszyna o kształcie iglicy pchnięta potężnym strumieniem atomowym nakreśliła na falach spienioną bruzdę i oderwawszy się od powierzchni, wykonała nad statkiem pożegnalne okrążenie. Z wygodnego fotela obserwowałem, jak za szybami kabiny maleje sylwetka „Delfina”, zapadając się coraz niżej, aż wreszcie przybrała wygląd szpilki leżącej daleko w tyle na dnie niebieskiej czaszy morza. Odrzutowiec wznosił się w coraz wyższe warstwy atmosfery, nabierając szybkości. Pomimo zabezpieczenia stosów i dyszy pochłaniaczami dźwięku, wyraźnie słychać było jednostajną pracę silnika atomowego, przypominającą odległy łoskot wodospadu. Widoczne przez okna skrzydła samolotu zaczęły zmniejszać powierzchnię: ich segmenty wciągane automatycznie do płatów podstawowych przystosowały się do lotu w szybkościach ponaddźwiękowych. Tysiące kilometrów dzielących „Delfina” od wybrzeży Ekwadoru mieliśmy przebyć w niecałe 20 minut. W kabinie zapłonęło światło i równocześnie opadły na oknach płyty pancerne. Łoskot silnika przybrał na mocy. Odrzutowiec jak pocisk dążył do odległych wybrzeży kontynentu południowoamerykańskiego. Siedzący naprzeciwko mnie Szmidt obliczał coś na kieszonkowym analizatorze równań różniczkowych, marszcząc z niezadowolenia czoło — widocznie zadanie przekraczało zakres możliwości przyrządu przeznaczonego do prostszych działań. W końcu profesor ruchem pełnym rezygnacji schował aparat do kieszeni.

— Cóż, zbliżamy się do ostatecznego rozwiązania sprawy — zagadnął wpołżąc na elastycznych poduszkach. — Przyznam się panu, że sam epilog znacznie mniej mnie ciekawi niż cała żmudna praca przeprowadzona na „Delfinie”. Trochę mi nawet żal atmosfery poszukiwań, które doprowadzą może za godzinę lub dwie do odkrycia jakiegoś zwariowanego eksperymentatora, osiadłego w dzikiej ustroni Kordylierów.

Moim zdaniem najciekawsza część zadania była jeszcze przed nami. Stacja, pomimo że określono w przybliżeniu miejsce, w którym się znajdowała, nie straciła na tajemniczości. Właściwie nic o niej nie wiedzieliśmy. Ani o ludziach kierujących jej działalnością, ani o celu, w jakim wyrzucali promienie zakłócające. Było przecież coś bzdurnego i wyraźnie sprzecznego z ludzkim rozumem w chęci powstrzymania pracy miasta atomowego. W istocie, myśl taka powstać mogłaby jedynie w głowie maniaka, lecz do obsługi stacji potrzebnych było co najmniej kilku ludzi. Czyżby więc można zakładać, że działa tam grupa osób nienormalnych?

Byliśmy dopiero u progu zagadki. Szmidt wzruszył ramionami.

— Kwestia zainteresowań, redaktorze. My, naukowcy, znajdujemy przyjemność nie w momencie realizacji projektu, lecz w chwili jego powstania i poszukiwań najlepszych rozwiązań. Późniejsze obleczenie ich w plastik, metal lub beton jest jedynie sprawdzeniem tego, co w całości istnieje w naszych myślach. Jest to zatem akt wtórny, a tym samym drugorzędny.

Widząc, że chcę zaprotestować, profesor położył mi rękę na ramieniu.

— Wiem, co chce pan powiedzieć, redaktorze, że jeden oddany do użytkowania zakład produkcyjny więcej znaczy niż dziesięć nie zrealizowanych projektów i że dopiero taki zakład wpływa na nasz rozwój. Jest w tym sporo słuszności. Obawiam się jednak, że praktyczność nie pozwala panu wnikać w stronę intelektualno-emocjonalną twórczości i zobaczyć w niej istotny moment rozwoju. Jest to pozostałość minionych epok, w których każdy zakład musiał przynosić natychmiastową widoczną korzyść. Dotychczas jeszcze, niestety, spotykamy się stale z ludźmi, którzy za przydzielonymi środkami na cele naukowe chcą zaraz widzieć artykuły spożywcze lub nowe maszyny. Niech mi pan wierzy, że zanim powstał zarys pomysłu

promieni E, wykonałem tysiące doświadczeń zupełnie nie związanych z tym zagadnieniem, a więc — w myśl niektórych ekonomistów — bezcelowych.

Czując, że zanosi się na długą dyskusję, skierowałem rozmowę na szczegóły dzisiejszej wyprawy. W prowincji Ekwador na lotnisku miasta Nowe Quito oczekiwać nas miała eskadra helikopterów przygotowanych do podjęcia poszukiwań. Ustalony wczoraj przez profesora pas przebiegu promieni przecinał Ocean Spokojny od „Delfina” po wybrzeże amerykańskie, kończąc się w głębi lądu na stokach Kordylierów. Na tym właśnie ostatnim odcinku o niewielkiej szerokości musiała się znajdować stacja promieni zakłócających. Teren w tych okolicach był rzadko zaludniony, górzysty, pokryty przeważnie puszczą tropikalną, wśród której gdzieś tylko znajdowały się samotne wille lub domy rozmaitych instytutów badawczych. One to właśnie wzbudzały w profesorze podejrzenia. Posiadając własne stopy atomowe, reaktory i niekiedy spore zabudowania, mogły eksperymentować nad pierwiastkiem bellonium. W Nowym Quito przygotowano już rejestr tych instytucji dla członków kierownictwa ekspedycji. Przyjmując obliczenia dokonane przez Atlona i innych uczonych, określające wielkość anteny miotacza na około ćwierć kilometra kwadratowej powierzchni, odszukanie takiego obiektu nie mogło nastroczać poważniejszych trudności. Dlatego też profesor swój udział w wyprawie traktował raczej turystycznie, nie oczekując żadnych dodatkowych sensacji.

— Można by ostatecznie pozostać na „Delfinie” i spokojnie przy telewizorze oczekiwać na wiadomości — powiedział. — Chciałem nawet tak postąpić i uporządkować notatki lecz ostatnie nieporozumienie z doktorem Juwarem zmieniło moją decyzję.

Rozmowę przerwał nam dobywający się z megafonu głos pilota zawiadamiającego o lądowaniu. Odrzutowiec stratosferyczny szybko tracił wysokość, huk silnika przycichł, ustępując świstowi wydawanemu przez urządzenia hamujące. W pewnym momencie osłony na szybach podniosły się i zobaczyłem w dole długą wstęgę morskiego brzegu, nad którym rozłożyło się szeroko białe miasto. Po kilku sekundach można już było rozpoznać bulwary i ulice zatłoczone pojazdami, nad płaskimi dachami wieżowców unosiły się stada helikopterów, podobne z dala do rojów różnobarwnych owadów tańczących leniwie nad wodą. W dużym porcie wzdłuż doków leżały nieruchomo wrzecionowate sylwetki okrętów pasażerskich i transportowych. Samolot zataczał nad miastem krąg. Kątem oka dostrzegłem nagły błysk na leżącym z boku raketodromie — to rakieta opuściła tor wyrzutni, dążąc na drugą półkulę lub do osiedli księżycowych. Odrzutowiec zbliżał się szybko do powierzchni morza, masyw budowli spotężniał, spiętrzył się nagle w wysmukłe ściany błyszczące szkłem i plastikiem. Z boku przemknęły dźwigi, magazyny, doki i po chwili maszyna kołysząc się, lekko osiadła na wodzie basenu. Na brzegu czekało na nas tylko kilku ludzi, z satysfakcją stwierdziłem, że nie widzę żadnego z moich dziennikarskich kolegów trzymających w ręku kamery telewizyjne i dyktafony. Widocznie przybycie Szmida otoczone było zrozumiałą ze względu na cel wyprawy tajemnicą, z drugiej jednak strony nabrałem złego wyobrażenia o reporterach z Nowego Quito, przesypiających tak sensacyjną sprawę. Siedząc z Atlonem w atomobilu spojrzałem raz jeszcze na prawie pusty plac przed dworcem morskim. A jednak jest — pomyślałem, dostrzegłszy sylwetkę młodego człowieka w ekscentrycznej koszuli, biegnącego z kamerą w stronę wsiadającego do jednej z maszyn profesora. Smidt machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę, i atomobile ruszyły. Widziałem jeszcze, jak młody człowiek rzucił się rozpaczliwie w stronę stojących opodal atomobilów i wpadliśmy w strumień pojazdów pędzących ulicami Nowego Quito. Lotnisko, z którego miała wyruszyć wyprawa, znajdowało się na uboczu we wschodniej części miasta, żeby dotrzeć do niego, trzeba było przebyć kilka kilometrów arterii niesamowicie zatłoczonych na każdej kondygnacji. Atomobil nie sprzyja oszczędności czasu — jest to w zasadzie przestarzały środek lokomocji, używany raczej z przyzwyczajenia lub przyjemności niż z rzeczywistej potrzeby szybkiego przebywania odległości. Czasu mieliśmy jednak sporo, a znalezienie się wśród tętniącego ruchem miasta było po spokojnym życiu na „Delfinie” przyjemną zmianą. Wplecieni w rzekę pojazdów jechali-

śmy najwyższą, trzecią kondygnacją jednej z głównych arterii miasta. Z boków biegły taśmy ruchomych chodników, wypełnionych różnobarwnym tłumem tłoczącym się przy wylotach tuneli zejściowych i bocznych drogach łączących ulice z pobliskimi gmachami. Ponad tym mrowiem ludzi i maszyn brzęcząc lekko przelatowały taksówki powietrzne, opadając na tarasy domowych lotnisk. Niżej, między dolnymi kondygnacjami ulicy, w przezroczystych tunelach kolei okrężnych migały co kilka sekund rozpędzone wagony. Miasto pulsowało swoim codziennym życiem. Z przyjemnością pomyślałem, że etap morski z siecią dyskoltów został już poza mną.

Rozmyślania te przerwał mi Atlon. Inżynier też widocznie czuł się lepiej w atomobilu niż w kabinie „Delfina” — oczy błyszczały mu żywiej i opuściła go pewna sztywność i mrucliwość, które zauważyłem na Pacyfiku.

— Nieraz zastanawiam się — powiedział, spoglądając przez szyby — jak dziwnie żyli ludzie przed Dniem Zjednoczenia Narodów. Gdybyśmy w tej chwili postawili w środku jakiegokolwiek większego miasta człowieka z XX wieku, prawdopodobnie nie wiedziałby, jak się poruszać i to, co nam wydaje się piękne, jemu wydałoby się straszne.

Przyznałem mu rację. Człowiekowi takim z pewnością byłoby bardzo trudno czuć się dobrze czy to na ulicy, czy też w mieszkaniu. Na temat życia w XX wieku czytałem kilka książek, widziałem szereg widowisk w telewizji, lecz wydawały mi się mało przekonujące i pełne sprzeczności. Po prostu denerwowały. Zawsze podejrzewam, że to raczej autorzy niedokładnie przestudiowali dokumenty historyczne i dlatego ich twórczość fałszywie odtwarza obraz owych czasów.

Inżynier nie miał w tym wypadku skonkretyzowanego zdania.

— I ja widziałem jedno z takich widowisk w Sztokholmie — powiedział. — Sala telekina była wówczas tak przepełniona, że z trudnością udało mi się uzyskać miejsce. Pokazywano jakąś historię z połowy XX wieku, rzecz działa się w jednym ze zburzonych przez którąś z wojen miast środkowej Europy, odbudowanym wielkimi nakładami środków. Zakładano nowe ulice, zadziwiająco wąskie, tak ciasne, że z ledwością mogły się na nich wyminąć trzy pojazdy zwane samochodami. Nad arteriami centralnymi rozpinano, zdumienie pana ogarnie, rozpinano przewody elektryczne dla takich metalowych potworków-tramwajów, zupełnie nie biorąc pod uwagę, w jaki sposób będą osiadać i startować helikoptery. To samo było z domami. Nie dosyć, że budowano je w sposób szalenie prymitywny, bo z glinianych cegieł, lecz robiono dachy spiczaste, a na nich, niech pan zgadnie, kominy! Okna w tych domach wielkości chyba metra kwadratowego ukazywały wnętrza mieszkań wprost mikroskopijnych. Wiele tam jeszcze oglądałem bzdur, lecz ostatnia scena była wprost groteskowa, przedstawiała gabinet jakiegoś architekta, gdzie składano sobie gratulacje z powodu szybkiej budowy „nowoczesnego miasta” i rozdawano odznaczenia! Autorem widowiska był profesor historii, który w dodatku twierdził, że przy opracowywaniu korzystał z autentycznych dokumentów, wygrzebanych w jakimś archiwum filmowym.

Tymczasem atomobil zjechał na niższą kondygnację ulicy, której odgałęzienie prowadziło do widocznej z dala nowej dzielnicy miasta. Nad całym tym obszarem wznosiły się smukłe ramiona dźwigów wieżowych, przenoszących na budowę pokoje przyszłych mieszkań. Wyglądało to jak układanie warstwami pudełek, przezroczystych z jednej strony, które tworzyły piętra rosnącego z każdą minutą gmachu. Gdzieś w dole na niewidocznych placach montażowych zespoły automatów składały je z poszczególnych elementów, wprawiały wytłoczone matrycą ściany, podłogi, łazienki, by powstały w ciągu kilku minut pokój podstawic pod uchwyt transportera. Minęliśmy szybko plac budowy i atomobile skręciły w boczną ulicę kończącą się lotniskiem. Stały tam już trzy rzędy helikopterów i kręcili się ludzie z obsługi naziemnej.

Start poprzedziła odprawa w gmachu administracji lotniska. W dużej, amfiteatralnej sali zebrały się załogi wszystkich maszyn, studiując trasy lotu. Dostałem przydział do helikoptera

nr 46, którego działalność przypadała na północną granicę pasa penetracji. Załoga składała się z dwóch ludzi — pilota i obserwatora.

Mill, bardzo młody człowiek o niebieskich, prawie dziecięcych oczach, uczęszczał zapewne do szkoły pilotów raketowych; kilka zdań, jakie zamieniliśmy przy powitaniu, zawierało treść małego słownika astronautyki. Zrobił na mnie dobre wrażenie pomimo sztucznej powagi i głosu, któremu bezskutecznie starał się nadać głębokie brzmienie. Obserwator Dawon przekroczył już czterdziestkę, niewysoki, z widoczną skłonnością do tycia, był uosobieniem dobrego humoru i pełnego zadowolenia z siebie. Wyprawą się mało przejmował, niezbyt wierząc w jej powodzenie. W Nowym Quito mieszkał od dwudziestu lat i jak twierdził, znał dobrze okolice.

— Stacja promieni zakłócających? — mówił, śmiejąc się dobroduszenie. — W tym okręgu? Pan wybaczy, ale jako pracownik tutejszego Instytutu Chemii Jądra Atomowego nie mogę poważnie traktować podobnego przypuszczenia. Mamy w Nowym Quito bardzo czułe aparaty, lecz jak dotychczas nie zanotowały przebiegu takich promieni w tych okolicach. Zresztą czy nie sądzi pan, że istnieje na Ziemi więcej miejsc bardziej nadających się do tego celu? No, ale pojedziemy. Zobaczymy...

Rozmowę przerwało ukazanie się profesora, który wszedł na podium w otoczeniu kilku osób z kierownictwa wyprawy. Wielki ekran, wmontowany w ścianę nad mównicą, zapłonął i ukazała się na nim plastyczna mapa kraju z nielicznymi czerwonymi punktami oznaczającymi większe skupiska ludzkie. Przecinały ją brązowe smugi górskich łańcuchów otoczone wielką, zieloną plamą podzwrotnikowej dżungli. Przez ekran biegł wykropkowany pas, wzdłuż którego miały być przeprowadzone poszukiwania. Szmidt omawiał poszczególne etapy badań, zwrócił uwagę na stoki górskie mogące kryć stację, polecił dokładnie obejrzeć każdy obiekt napotkany po drodze. Kończąc objaśnienia powiedział:

— Zadanie, jakie stoi przed nami, nie jest trudne, lecz wymaga uwagi. Mamy wszelkie środki ku temu, żeby na tak wąskim pasie odnaleźć niewątpliwie dużą stację promieni zakłócających, dysponującą wielkim stosem atomowym lub innym źródłem energii. Na tym obszarze znajduje się kilka instytutów badawczych — warto zwrócić na nie uwagę. Przede wszystkim jednak szukajcie anteny miotacza. Jej kształt nie jest nam dokładnie znany, lecz wiemy, że aby mogła działać na taką odległość, musi mieć kilka tysięcy metrów kwadratowych powierzchni nachylonej w kierunku zachodnim. Taką antenę trudno ukryć, można ją jednak zamaskować lub przy pomocy maszyn położyć na ziemi. Może się także znajdować na stoku górskim. W razie odkrycia stacji lub czegoś podejrzanego proszę natychmiast powiadomić helikopter kierownictwa.

Leciliśmy w kierunku szczytów Kordylierów zamykających błękitną ścianę horyzontu. Mill, siedzący przy sterach, nucił pod nosem jakąś bulwarową melodię urozmaicającą monotonne brzęczenie silnika. Wraz z Dawonem w milczeniu obserwowałem przesuwaną pod nami krajobraz. Szachownica pól uprawnych z pełzającymi maszynami rolniczymi skończyła się już dawno, jej miejsce zajęła dżungla okrywająca pierwsze górskie stoki płataniną zieleni. Według mapy, na trasie lotu mieliśmy napotkać tylko zabudowania jakiegoś instytutu, poza tym pustkę. Jednak mapy rozmieszczenia osiedli ludzkich szybko przestają być aktualne. Wystarczy przecież, żeby grupa osób urządziła dłuższą wycieczkę, a już powstać może osiedle, które zniknie po paru tygodniach. Składany domek mieści się wspinalnie w helikopterze, a przewiezienie drogą powietrzną kilku gotowych pokoiów i złożenie willi nie sprawia żadnych kłopotów. Baterie atomowe lub dach z półprzewodników gwarantują wszelkie wygody i łączność ze światem amatorom samotności. Oczywiście, wzniesienie zakładu i urządzenie go bez wiedzy administracji terenu jest mało prawdopodobne, niemniej teoretycznie zupełnie możliwe. Dlatego też nie odrywaliśmy oczu od wierzchołków drzew i wykrywaczy źródeł elektryczności. Jednak nic nie wskazywało, aby pod nami mieściła się poszukiwana stacja.

Spokojnie dolecieliśmy do pierwszej skalnej bariery i zaczęło się nieco uciążliwe patrolowanie zboczy i dolin.

— H-46! H-46! — odezwał się nagle głos w radio pokładowym — słyszycie nas?

— Jestem H-46, jestem — odpowiedział Mill, włączając telewizor. Na ekranie pojawił się inżynier Atlon na tle wnętrza jednej z kabin helikoptera wiozącego kierownictwo wyprawy.

— Zauważyliście coś ciekawego? — spytał.

— Na razie nic.

— Zbliżacie się do instytutu, przypatrzcie się mu dokładnie. A redaktor jak się czuje?

Pochyliłem się nad ekranem zapewniając, że świetnie, aczkolwiek coraz bardziej tracę nadzieję na odnalezienie stacji. Atlon uśmiechnął się i życzył nam powodzenia.

Po kilku minutach jazdy spostrzegłem instytut. Były to trzy pawilony stojące na zboczu i jakby przyklepione do zieleni otaczającej je ze wszystkich stron dżungli. Zbliżaliśmy się szybko. Wtem Dawon gwałtownie szarpnął mnie za rękę.

— Spójrz, redaktorze! O tam, ten kawał dżungli — wskazał palcem — Mill, widzisz!?

Poniżej pawilonów, tuż nad wierzchołkami drzew, rozpięta była wielka sieć. Jej oka, chyba z metalu, tworzyły kratownicę okrywającą sporą połąć dżungli kwadratową płaszczyzną. Spojrzałem na wykrywacz elektryczności — strzałka na tarczy wskazywała, że kratownica jest pod prądem.

— Mill, lądujemy — powiedział Dawon. Na jego twarzy dostrzegłem rumieńce podniecenia. Pilot okazał jednak niespodziewanie zimną krew. Włączył radio i suchym głosem zawiadomił kierownictwo wyprawy, że lądujemy przy instytucie. Wygłupia się smarkacz — pomyślałem.

— Siadam na łące — mruknął Mill.

Helikopter opadł pionowo w dół. Odpiąłem pas przy fotelu i pochylony obserwowałem budynki, chcąc dostrzec w nich jakikolwiek ruch. Jednak okna i drzwi były zamknięte i nic nie wskazywało, że w tym zagubionym wśród dżungli instytucie zamieszkują ludzie. To, co nastąpiło w chwilę później, było tak szybkie, że przez kilka minut byłem całkowicie zdezorientowany. Gwałtowny wstrząs rzucił mnie w kąt kabiny, a równocześnie helikopter przechylił się niebezpiecznie w bok. Usłyszałem głośny trzask pękającego podwozia i coś zaskrzypiało nad głową. Instynktownie zamknąłem oczy i zacisnąłem dłonie na metalowej nodze fotela.

Gdy po chwili oprzytomniałem, pierwszym wrażeniem była nienaturalność pozycji helikoptera. Obok mnie, mrużąc gniewnie, usiłował powstać Dawon. Mill siedział nieruchomo w fotelu, trzymając w kurczowo zaciśniętych dłoniach drążek sterowy.

— Co się stało? — zapytałem wstając. Nogi miałem jak z gumy, uginały się pode mną niepokojąco, a nadwerężone w nagłym zetknięciu ze ścianą kabiny ramię piekło dotkliwie. Pilot w milczeniu odpiął pas bezpieczeństwa i otworzywszy drzwiczki, wyskoczył z kabiny. Wraz z pojękującym Dawonem opuściliśmy helikopter. Leżeliśmy na polanie przed instytutem. Maszyna miała pękniętą lewą część podwozia i złamany człon wirnika, który wbił się z całej siły w piasek. Sprawcą katastrofy okazał się zwykły kabel łączący budynki z leżącą poniżej na stoku kratownicą anteny. Mill z zakłopotaniem oglądał wygięte podwozie.

— Coś poważnego? — zagadnąłem. Na pierwszy rzut oka nie mogłem dostrzec nic groźnego, wystarczyło wymienić kilka segmentów i wmontować zapasowe śmigło, żeby usunąć całkowicie ślady awarii. Motor przy takim wstrząsie musiał być cały. Mill zarumienił się aż po białka oczu.

— Musimy otrzymać pomoc — powiedział, nie patrząc na nas — może w tym instytucie mają jakiś warsztat.

— Dlaczego? — zapytałem zdziwiony — przecież nic łatwiejszego...

— Całkiem po prostu — mruknął niechętnie, patrząc z nienawiścią na rozpięty ponad

naszymi głowami kabel — nie zabrałem zapasowego śmigła.

Dawon szybko wrócił do kabiny, skąd po chwili dobiegł jego głos oznajmiający, że radio nie działa. Sięgnąłem do bluzy, aby wydobyć kieszonkowy radiotelefon, lecz przypomniałem sobie, że zostawiłem go w ubraniu na lotnisku. Również Mill i Dawon nie zabrali ze sobą tego podręcznego aparatu. Byliśmy skazani na kilkugodzinne czekanie, aż zaczną nas szukać zaniepokojeni towarzysze. I to właśnie zdarzyć się musiało w momencie, gdy znajdujemy się na terenie stacji zakłócającej — rozmyślałem, ponuro spoglądając w kierunku kraty okrywającej dżunglę. Szmidt nawet nie wie, że znaleźliśmy miotacz. Sprawa była jasna — należało rozpocząć badania na własną rękę.

Po krótkim namyśle schowałem do kieszeni pistolet elektryczny i wraz z Dawonem ruszyliśmy w stronę miotacza. Mill uparł się i pozostał przy maszynie, próbując naprawić radio. W milczeniu zbliżyliśmy się do miotacza. Konstrukcję miał bardzo prostą i byliśmy nią zaskoczeni.

Była to dość gęsta krata metalowa opinająca szczelnie część dżungli, zmontowana na podbudowie z izolatorów. Stojące co kilkadziesiąt metrów szafy z pancernego plastiku zawierały zapewne transformatory oraz inne urządzenia umożliwiające emisję promieni. Wewnątrz miotacza kłębiły się gęszcze podzwrotnikowego lasu, uniemożliwiając dostrzeżenie czegokolwiek. Po dosyć pospiesznych oględzinach skierowaliśmy się w stronę pawilonów. Stały milczące, jakby opuszczone, odbijając blask słońca szybami nielicznych okien. Wszystkie budynki łączył napowietrzny korytarz. Zdziwiła mnie przede wszystkim mała liczba okien, w czasach kiedy każdy dom i gmach posiada całe ściany z przezroczystych elementów. Tych kilka szklanych tafli robiło wrażenie, jakby mieszkańcy dla nieznanych powodów unikali światła dziennego. Dookoła budynków rosły bujne trawy, chwasty, a nawet małe drzewka, przewyciężywszy widocznie siłę środków chemicznych, które zniszczyły dżunglę, stwarzając tę polanę. Drzwi domu mieszkalnego były zamknięte. Staliśmy przez długą chwilę, oczekując, aż w końcu ktoś otworzy, lecz mijały minuty, a z wnętrza nie dochodził żaden szmer. Panowała tam cisza, jakby mieszkańcy opuścili osiedle, zostawiając je na łasce losu. Rozglądając się dokoła, zauważyłem metalowe schodki wiodące na dach następnego pawilonu, przypominającego wyglądem fabryczną halę. Poszliśmy szybko w ich stronę. Po chwili staliśmy na płaskim dachu przeznaczonym na lądowisko dla helikopterów. Taras był niewielki, wyłożony żółtym anty tropikalnym plastikiem, z boku widniały drzwi wiodące w głąb budynku. Dach hali pokrywały baterie półprzewodników, dostarczające energii elektrycznej. Zastanowiła mnie ich ogromna ilość — zużycie prądu w osiedlu musiało być bardzo duże.

Nasze przybycie pozostało nadal nie zauważone, bo nikt nie wyszedł na spotkanie ani żaden ze stojących tu megafonów się nie odezwał. Dookoła panowała głucha cisza, nie mącona nawet szumem drzew parującej w południowym skwarze dżungli. Po minucie oczekiwania Dawon zwinął dłonie w trąbkę i krzyknął donośnie. Głos przetoczył się nad polaną i przepadł między płataniną lian, nie budząc echa.

Staliśmy niezdecydowani nasłuchując, jednak dookoła panowała cisza, jakby życie zamarło pod ulewą słonecznych promieni. Wtem w megafonie nad hangarem coś zabulgotało przeraźliwie, jakby ktoś się dusił, krztusząc z siebie chrapliwe wyrazy. Po chwili głos się załamał w przerywanym, rozpaczliwym jęku i ucichł nagle. Ton tego krzyku był tak przejmujący, że mimo woli drgnęliśmy i spojrzeliśmy na siebie.

— Co to ma znaczyć? — zapytałem, zniżając głos. — Rozumie pan coś z tego?

Rumiana twarz Dawona wyrażała zdumienie, kąciki ust drżały mu lekko.

— Nie wiem — odpowiedział, ocierając pot z czoła — zdaje mi się, że słyszałem jakieś wyrazy... chociaż... Nie, to nie był głos ludzki. A może... może to głos człowieka duszonego przez jakieś zwierzę?

W megafonie rozbrzmiał znowu krzyk potworny, rozpaczliwy, zakończony urywanymi jękami i chrapaniem. Najwyraźniej usłyszałem w nim strzępy wyrazów przemieszane z

nieartykułowanymi dźwiękami, których nie mogło wydać gardło ludzkie.

— Tam stało się coś okropnego! — krzyknął Dawon.

Wyszarpnąłem z kieszeni pistolet elektryczny i popędziłem za nim w stronę drzwi. Czułem, że serce poczyna mi bić gwałtownie, a czoło pokrywa się gęstymi kroplami zimnego potu. Drzwi otwały się przed nami automatycznie i znaleźliśmy się w słabo oświetlonym korytarzu, wiodącym stromo w dół. Tempo biegu trzeba było teraz zwolnić. W miarę schodzenia bowiem światło było coraz słabsze, tak, że z trudem mogliśmy cokolwiek dostrzec. Szliśmy ostrożnie, starając się przebić wzrokiem gęstniejący mrok. Po kilku minutach marszu korytarz zakończył się balkonem zbudowanym chyba w połowie wysokości olbrzymiej, tonącej w ciemnościach hali. Prowadziły z niego w dół wąskie żelazne schodki.

Przestrzeń pod nami wypełniał gęsty półmrok, nie pozwalający na rozpoznanie urządzeń widocznych jak plamy o dziwacznych kształtach. Ostrożnie poczęliśmy schodzić. Naliczyłem dwadzieścia pięć stopni, zanim stanąłem na gładkich płytach posadzki. Nieliczne czerwone lampki słabo rozpraszały ciemności, a stojące w pobliżu nich przedmioty rzucały upiorne cienie. Dopiero po dłuższej chwili zdołałem rozróżnić niektóre znajdujące się koło mnie sprzęty. Były to wielkie słoje i banie, stojące rzędami lub wtłoczone w kleszcze trzymadeł, oraz szafy różnej wielkości połączone gmatwaniną przewodów i rur. Gdzieś w ciemności bielały kafle baseny wypełnione jakimiś cieczami lub długie stoły z wmontowanymi tablicami rozdzielczymi. Powietrze ciepłe i duszne przesyciła mdląca, słodkawa woń, obrzydliwa, a zarazem dziwnie podniecająca. Staliśmy w środku sali, przez którą biegł szeroki chodnik ginący w mroku. Zrazu wydawało się, że panuje tutaj niczym nie zmacona cisza, jednak po chwili pochwyciłem ledwie dosłyszalne szmery dochodzące ze wszystkich stron. Chociaż nic nie mogłem dostrzec poza zamazanymi konturami, czułem prawie fizycznie jakiś ruch powolny i nieustający, jakby dookoła mnie po ścianach pełzały mrówki. Mimo woli zacisnąłem palce na rękojeści pistoletu elektrycznego. Mój towarzysz też odczuwał niepokój, bo rozglądał się dookoła skulony, jakby lada chwila oczekiwał jakiegoś niespodziewanego ataku. Nagle chwycił mnie za ramię.

— Tam ktoś jest — szepnął mi do ucha, wskazując na ścianę, pod którą stała szklana szafa. — Widzisz?

Wyteżyłem wzrok aż do bólu. W istocie, za przezroczystymi szybami coś się poruszyło, lecz ruch ten był tak powolny, że nie byłem pewien, czy nie jest tylko złudzeniem.

— Chodźmy — powiedziałem, starając się opanować drżenie głosu.

Posuwaliśmy się ostrożnie, omijając z daleka szklane retorty, jednak co chwila potykaaliśmy się o leżące na podłodze rury i przewody.

— Nie ma pan czasem latarki? — szepnąłem. Przypomniałem sobie, że na lotnisku chował ją do kieszeni.

— Jest! — usłyszałem jego głos i zaraz potem smuga światła padła w kąt sali. Ledwo zdołałem powstrzymać okrzyk.

Za szklaną ścianą leżało coś, co chyba było wielką bryłą mięsa. Dokładnie widziałem ścięgna, żyły pulsujące krwią oraz śluz spływający po przezroczystym naskórku. I nagle masa zaczęła się gwałtownie kurczyć, rozdymać, falować niespokojnie, napierając z całych sił na niewysoką ścianę basenu. Staliśmy, nie mogąc oderwać wzroku od miotającego się przed nami mięsa, które widocznie chciało przebyć dzielącą je od nas zaporę, ustawicznie powtarzając próby przedostania się na zewnątrz.

Odwróciłem się z obrzydzeniem, czując, że mnie mdli.

— Chodź — krzyknąłem na Dawona. Musieliśmy się przecież spieszyć, gdzieś w tych salach znajdował się człowiek potrzebujący pomocy. Jego rozpaczliwy krzyk dźwięczał mi jeszcze w uszach.

— Widziałeś, jak chciało się do nas przedostać, jak się prężyło i nadymało? — mówił Dawon, idąc za mną. — Drapieżne mięso. Czy ono nas widziało, czy jakoś inaczej czuło?

Wzruszyłem ramionami. Szliśmy szybko korytarzem wśród baterii szklanych balonów i tygli, w których fermentowały plazmy, drgały monstrualne wątroby, serca, trzewia, destylowały różnobarwne płyny. W upiornej ciszy, przerywanej płynącymi ze wszystkich stron szmerami, słychać było tylko echo naszych kroków, błakające się pod wysokim, mrocznym sklepieniem.

Pobieżne przeszukanie pierwszej sali nie dało żadnych wyników, nigdzie nie napotkaliśmy najmniejszego śladu człowieka lub stoczzonej niedawno z nim walki. Pchnąłem następne drzwi. Sala była chyba znacznie większa i oddychało się lżej, pomimo że i tutaj panował ten dziwny zaduch. Kieszonkowa lampka niewiele mogła nam pomóc. W ten sposób mogliśmy przeszukiwać olbrzymią halę nawet przez kilka godzin — z nikłą perspektywą odnalezienia wołającego o pomoc. Niezdecydowani, stanęliśmy na progu naradzając się, co zrobić, gdy gdzieś z głębi sali doszło nas głuchoe sapnięcie. Spojrzałem na mojego towarzysza. Był już całkiem opanowany, lampka nie drżała mu w dłoni. Sapnięcie powtórzyło się głębsze, groźniejsze i jakby znacznie bliższe. W ciemności poza zasięgiem światła latarki coś przewalało się ociężale, mlaskając i wzdychając. Nagle dostrzegłem w oddali gorejące zielonkawe oczy wpatrzone we mnie.

— Dawon! — krzyknąłem, ściskając kurczowo pistolet. — Przecież tutaj muszą być jakieś lampy!

Z głębi sali doszły znowu szelesty, coś się tam ruszało i zaraz potem spojrzała na mnie druga para zielonkawych oczu, wielkich i nieruchomych. Czuję, że jeśli za chwilę nie zapłoną światła, to strzelę między te żarzące się ślepie. Słyszałem, jak poza mną Dawon gorączkowo szuka wyłączników. Minęła chyba minuta lub dwie, ale wówczas wydawało mi się, że upłynęły godziny, zanim usłyszałem jego cichy okrzyk i zapaliły się silne reflektory umieszczone gdzieś pod sufitem. Mrużąc oczy spojrzałem dokoła. Wzdłuż chodnika, otoczone słojami i kolbami, stały wielkie, przezroczyste wanny, w których spoczywały kilkumetrowej długości organizmy przypominające ośmiornice lub potwornej wielkości ostrygi. Ich śliskie, w półgalaretowate cielska, zanurzone prawie do połowy w mętnych cieczach, wzdymały się rytmicznie, okropne elipsoidalne głowy wyszczerzały w naszym kierunku paszcze błyskające rzędami zębów. Ze wszystkich stron zaczęły dochodzić gniewne sapania i bulgoty, gdzieś z basenów wznosiły się długie macki zakończone ssawkami lub resztkami pazurów.

Przez chwilę staliśmy prawie zahipnotyzowani tym widokiem. Ruchy cielsk w basenach stawały się coraz gwałtowniejsze, niektóre z nich rosły, olbrzymiały, pęczniały z sekundy na sekundę, przerastając dzielące je od chodnika ściany. Z trwogą pomyślałem, że aby dotrzeć do następnych drzwi, trzeba przebiec między tymi wijącymi się bestiami.

— Biegiem! — krzyknął do mnie Dawon. — One za chwilę wypełzną!

Pognałem za nim wzdłuż chodnika. Był już najwyższy czas. Dookoła przeciekały z basenów pierwsze galaretowate ciała, wyciągały się powoli w naszym kierunku grube jak ręka macki, patrzyły zimnym wzrokiem wylupiaste ślepie. Byle przebiec, byle przebiec — tłukła mi się po głowie sparaliżowana myśl. Zdyszani, złani potem dopadliśmy drzwi i zatrzasnęliśmy je za sobą. Przez szklane tafle widać było, jak potwory przeciekają z basenów, sczepiają się w walce, pożerają wzajemnie lub rozpełzają po sali. Przed oczyma zaczęły mi latać czerwone płatki. Oparłem głowę o chłodną szybę i na chwilę przymknąłem powieki. Przez huczące w skroniach tętno słyszałem chrapliwy oddech stojącego obok mnie Dawona i dziwne głosy walczących na sali potworów. Myśl, że mogliśmy wpaść w ich łapy, była tak ohydna, że wstrząsnął mną zimny dreszcz i czułem się bliski torsji — musiałem przygryzać wargi, żeby nie wybuchnąć niepohamowanym, histerycznym śmiechem. Dopiero słony smak krwi uspokoił mnie nieco. Nagle usłyszałem zdławiony okrzyk. Odwróciłem się gwałtownie i zamarłem, nie zdolny do jakiegokolwiek ruchu. Dostrzegłem opadającą grubą mackę zakończoną chwytnymi palcami, która błyskawicznie wykręciła mi rękę z pistoletem, oraz Dawona

przyduszonego drugą łapą do tafli podłogi. Przede mną w przyćmionym świetle leżało plazmatyczne cielsko opływające śluzem dobywającym się z nabrzmiąłych gruczołów. Głowa potwora nieproporcjonalnie mała, napuchnięta, z wylupiastymi oczyma, patrzyła szyderczo, szczerząc do mnie niewielki otwór gębowy, w którym coś bulgotało w półludzko, w półzwierzęco. Czulem, że siły mnie opuszczają, że ciało moje zaczyna ważyć setki, tysiące kilogramów, jakby każdą komórkę wypełnił ołów, mózg zmienił się w cyklotron, w którym wirowały oszalałe myśli. Nie wiem, czy wtedy krzyknąłem, lecz coś się wówczas ze mną stało, coś, co pozwoliło zebrać mi siły. Nagłym ruchem wpiłem zęby w mackę krepującą mi rękę, aż usta napęlił obrzydliwy śluz, i czując że uchwyt zelżał, szarpnąłem się całym ciałem w tył. Byłem wolny! Błyskawicznie podniosłem pistolet, wymierzyłem między ślepia.

— Stój! To człowiek! — usłyszałem gdzieś w górze krzyk tak straszny, że odruchowo drgnęła mi ręka. Błękitna błyskawica runęła z lufy w głąb sali i przebiegłszy tuż nad głową potwora, rozprysła się tysiącem iskier na przeciwległej ścianie.

Pociemniało mi w oczach, nogi ugięły się pode mną i opadłem na podłogę. Jak przez sen słyszałem tupot nóg, jakieś głosy, ktoś mówił do mnie uspokajająco, czulem, że mnie podnoszą. Wówczas po raz pierwszy zemdlałem.

Gdy otworzyłem oczy, pochylały się nade mną twarze Milla i Dawona. Równocześnie poczułem, że usta i nos okrywa mi maska tłocząca do płuc jakiś ożywczy gaz, dziwnie odświeżający. Leżałem w dużej sali lśniącej białą plastiką, niklem uchwytów, trzymadeł i różnorodnych narzędzi chirurgicznych. Czulem się dobrze i przez kilka sekund starałem się odtworzyć ubiegłe wypadki. Powoli pamięć przywiodła obraz sali, ogromnej macki wyciągającej się w moim kierunku... Zerwałem maskę z twarzy i usiadłem gwałtownie na posłaniu, którym okazała się kanapka z rodzaju tych, jakie można spotkać w każdym szpitalu.

— Gdzie ja jestem?

— Jesteśmy w instytucie — odparł ponuro Dawon, wycierając chustką czoło.

— Tak, w instytucie, jesteście w instytucie! — zaskrzeczał ktoś piskliwie za moimi plecami. Obróciłem się i wówczas dostrzegłem krążącego bezszelestnie po sali zasuszonego, starszego człowieka w białym, przydługim kitlu. — Szkoda, że nie uprzytomniliście sobie tego wcześniej — mówił gniewnie starzec, zatrzymawszy się nagle przede mną — zanim wasza barbarzyńska stopa przekroczyła próg tego gmachu. Co za dzikość obyczajów!

Popatrzył na nas surowo, nieledwie z pogardą i ujął mnie za przegub, żeby zmierzyć puls. Byłem tak zdumiony, że nie mogłem wykrztusić z siebie ani jednego słowa.

— W porządku — mruknął pod nosem, puściwszy moją rękę jak kawał drewna. — A teraz proszę o natychmiastowe opuszczenie terenu instytutu. Wasz helikopter jest już wyremontowany i gotowy do drogi. A przy okazji — zwrócił się do mnie — niech pan zabierze swoją pukawkę elektryczną. Leży na stoliku przy drzwiach.

Oburzony chciałem zaprotestować przeciw takiemu traktowaniu, jednak zanim zdołałem otworzyć usta, postać starca zniknęła już w bocznym korytarzu.

— Cóż to właściwie znaczy?! — zawołałem, przyglądając się zakłopotanym twarzom moich towarzyszy.

Szczegółów dowiedziałem się dopiero w kabinie helikoptera, gdy polana z zabudowaniami została daleko w tyle. Wylądowaliśmy w instytucie doświadczalnym Akademii Nauk, gdzie przeprowadzano badania nad sztucznym rozwojem tkanek i organizmów.

Próby te, prowadzone w różnych punktach kuli ziemskiej, były pierwszymi krokami do wytworzenia nowych okazów fauny, lepiej przystosowanych do potrzeb człowieka niż zwierzęta dotychczas hodowane w celach gospodarczych. Już od dwóch lat słyszałem o tych doświadczeniach, oglądałem nawet w telewizji projekt gatunku krowy. Było to jak gdyby wielkie wymię zaopatrzone w łeb i organ trawienia. Twór ten miał się poruszać przy pomocy trzech par pająkowatych nóg, umożliwiających raczej pełzanie niż chodzenie.

Z wyjaśnień moich towarzyszy dowiedziałem się, że trafiliśmy właśnie do placówki

zajmującej się tymi zagadnieniami.

— Rozumie pan zatem zdenerwowanie tego uczonego — mówił Dawon, patrząc z zainteresowaniem na strzałkę wysokościomierza. — Przez naszą wizytę stracili dwa eksponaty ze swojego plazmatycznego zwierzyńca, nad którym pracowali dwa lata.

Stała mi przed oczyma walka potworów w hali i poczułem nieprzyjemny dreszcz. Przypomniałem sobie okropny krzyk, który się rozległ, gdy wymierzyłem z pistoletu.

— A to, co nas napadło? Co to było?

— To był kierownik instytutu, doktor Simpton — odparł Dawon. — Od ośmiu miesięcy przeprowadza na sobie doświadczenia i obecnie wygląda jak jedna z tych plazm.

Więc o mało nie zabiłem człowieka?! Czuję, że w kabinie robi się nagle strasznie duszno. Drżącą ręką włączyłem wentylator na najszybsze obroty. Zimne powietrze smagało mnie po twarzy, przynosząc ulgę.

— A kto tak potwornie krzyczał? — zapytałem.

— To był jego głos. Nudziło mu się, więc śpiewał.

— A miotacz w dżungli?

Dawon machnął z rezygnacją ręką. Była to po prostu wielka klatka, w której naukowcy obserwowali wpływ pól elektromagnetycznych na system nerwowy zwierząt.

W gmachu administracji lotniska natknąłem się na profesora Szmidta. Był tak roztargniony, że dopiero po pewnej chwili mnie poznał. Bez słowa wskazał ekran telewizora. Podawano właśnie ostatnie wiadomości dziennika lokalnego. Ujrzałem plac przed dworcem morskim i naszą grupę wsiadającą do atomobilów. Matowy głos spikera informował mieszkańców Nowego Quito:

„...W dniu dzisiejszym przybył do Nowego Quito profesor Szmidt, wraz z towarzyszącymi mu osobami, celem przeprowadzenia badań związanych z promieniami E. Jak się dowiadujemy, badania te w formie ekspedycji lotniczej nie przyniosły żadnych rezultatów. Instytut Biologiczny Akademii Nauk wniósł ostry protest przeciwko zachowaniu się załogi helikoptera 46, która spowodowała poważne szkody...”

Przygryzłem wargi. Przygnębieni, po dwóch godzinach opuściliśmy kontynent amerykański, udając się z powrotem na pokład „Delfina”.

VIII

KOTLINA

Narada u profesora Szmidta nie trwała długo. Po zaniechaniu poszukiwań na terenie Ameryki Południowej pozostała jedna możliwość — skierowanie badań wzdłuż całej trasy przebiegu promieni. Równało się to założeniu, że na tej linii, przecinającej puste obszary Pacyfiku, działa nie znany statek-baza, będący źródłem zakłóceń. Pobieżne obliczenia dokonane przez Atlona wskazywały, że statek taki, przyjmując dla niego wielkość średniego okrętu, musiałby się znajdować w niewielkiej odległości od „Delfina”. Ponieważ jednak w czasie cyklonu, do chwili zanurzenia, stacja radarowa nie wykryła w pobliżu żadnej jednostki pływającej, dlatego budowanie uzasadnień na tej hipotezie nie miało większego sensu. Również Urzędy Morskie szóstej i siódmej strefy Pacyfiku zgodnie stwierdziły, że jedynie automatyczny statek F-43, wiozący owoce i warzywa do Valparaiso, przeciął wytyczoną przez profesora trasę u brzegów amerykańskich na piętnaście minut przed wypadkiem. Byliśmy wprost bezsilni. Tajemniczy przeciwnik pozostał nadal nieuchwytny i nieznan. Z niechęcią pomy-

ślałem, że czekają mnie jeszcze długie dni, a może i tygodnie nudnych oczekiwań na przychwycenie nowej wiązki promieni.

Po pierwszych, gorączkowych rozważaniach nad obecną sytuacją rozmowy się rwały i coraz częściej zapadało głucho milczenie. Każdy był już zmęczony poszukiwaniami: na twarzach uczonych zmarszczki pogłębiły się, tworząc szerokie bruzdy, a cienie świadczyły o długim nocnym przebywaniu w pracowniach. Siedzący obok mnie Atlon nerwowo przygryzał dolną wargę utkwivszy wzrok w rozłożonej na stole mapie, na której czerwoną linią wyznaczono przebieg promieni. W ciągu kilku dni schudł, twarz mu szerniała, stał się milczący i zaczął nałogowo palić. Ponury nastrój tego zebrania zaczął się i mnie udzielać. Zagłębiając się w fotelu starałem się uciec myślami daleko od „Delfina” i sprawy miasta atomowego, lecz niestety, bezskutecznie. Promienie E powracały natarczywie na pierwszy plan, nie dając się zastąpić żadnym innym obrazem. Czuję się jak człowiek prześladowany przez natrętą melodię posłyszana przypadkowo w metro lub na bulwarze. Zebrani w niewesołych nastrojach opuszczali gabinet. Po chwili została w kajucie niewielka grupa uczonych. Milczenie przerwał Atlon.

— Statek, statek, ale go nie ma — mówił półgłosem, wodząc palcem wzdłuż czerwonej linii. — Nie ma także ani jednej wyspy, ani raf, nic, tylko wodne pustkowia. A jednak... — przerwał na chwilę swój monolog. — Mam pewną myśl — powiedział z wahaniem — chociaż nie, to chyba niemożliwe.

— Cóż takiego? — zapytał Juwar, przecierając okulary. Profesor Szmidt zagłębiając się w fotelu nawet nie podniósł głowy, można było przypuszczać, że zatopiony w swoich myślach nie słyszy rozmowy.

— Nie, to niemożliwe — uśmiechnął się z przymusem inżynier — po prostu zaczynam stawać się fantazją. To zapewne pochodzi z przemęczenia. Czuję, że dla higieny mózgu będę musiał oderwać się na jeden lub dwa dni od tych zagadnień.

— Ale o co właściwie chodzi? — wtrąciłem się do rozmowy.

Atlon wzruszył ramionami.

— Przyszło mi na myśl, że mógłby to być okręt podwodny. Zupełny absurd, ale wówczas zrozumiałe jest, że działałby poza kontrolą Urzędów Morskich i naszego radaru powierzchniowego. Musiałaby to być duża jednostka, specjalnie zbudowana do tego celu, jeżeli uwzględnimy konieczną do wysłania promieni antenę kierunkową.

— Natomiast łatwo można by ją wykryć nawet przy pomocy najprostszej echosondy.

— Niezupełnie, redaktorze — Juwar przecząco kiwał głową. — Wykryć by ją można jedynie w chwili podpływania pod powierzchnię oceanu lub natrafiwszy na nią w momencie zbierania zdjęć dna morskiego. Są to rozważania czysto teoretyczne, bo tak wielkich statków podwodnych mamy niewiele, a trudno tutaj brać pod uwagę całe plejady drobnych okrętów towarowych lub łódek turystycznych, od których roją się brzegi wszystkich kontynentów. Przypuśćmy jednak, że w naszym rejonie Pacyfiku znalazł się jakimś sposobem tajemniczy okręt podwodny. Przeciwnik wiedząc, że jest poszukiwany, podpływa pod powierzchnię oceanu, wystawia antenę, a następnie kryje się za jakimś łańcuchem podwodnych gór, których nie brak. Oczywiście poszukiwania nie miałyby w takim wypadku szans powodzenia.

Musiałem przyznać mu rację, jednak nakreślona wizja statku podwodnego pozostać mogła jedynie w sferze baśni lub podań z odległych czasów. Dalsze rozważania tego typu mogły doprowadzić do stwierdzenia inwazji ze strony istot z innego układu słonecznego.

— Warto jednak wrócić do rzeczywistości — stwierdziłem przypomniawszy sobie, że za kilka godzin będę musiał przesłać komunikat dla „Globu”. — Cóż będziemy zatem robić? Dalej szukać nowej wiązki promieni?

Profesor Szmidt ocknął się z zamyślenia i przez chwilę tarł czoło, przypatrując się mapie.

— Tak... owszem, oczywiście, trzeba szukać dalej — powiedział zdawkowo, jakby

odpędzając natrętne pytanie przerywające mu tok rozważań. — Mówił pan coś o okręcie podwodnym — zwrócił się nagle do Atlona. — Hm, to może nie jest tak fantastyczne, jak się w pierwszym momencie wydaje. Okręt podwodny... zastanawiał się przez kilka sekund, po czym wstał nagle i przeprosiwszy nas, wyszedł szybko z gabinetu. Czyżby profesor poważnie traktował sprawę okrętu? — myślałem zdumiony, spoglądając na drzwi, za którymi zniknął Szmidt. — Przecież to oczywisty absurd. Jedno było niewątpliwe: profesor wpadł na nowy ślad, którego nie opuści, dopóki nie zbada wszystkich możliwych rozwiązań.

Po namyśle zacząłem się wahać. Szmidt był zbyt trzeźwym realistą, lubiącym nade wszystko wymowę cyfr i faktów, żeby mógł podążyć za tak niewiarygodnym śladem. Odrzuciłem więc ostatecznie to przypuszczenie. Cóż wobec tego mogło zainteresować profesora do tego stopnia, że wybiegł z gabinetu? Pomimo odtworzenia w myśli przebiegu rozmowy, nie mogłem wpaść na żaden nowy pomysł. Najprawdopodobniej zawierała element, który wtrącony niespodziewanie w tok jego rozważań, dał pewne skojarzenie, być może nawet bardzo odległe od łodzi podwodnej. Rozmyślania te przerwał Atlon, proponując zajęcie się siecią dyskolotów, którą należało przesunąć dalej ku wschodowi. W milczeniu opuściliśmy gabinet uczonego, kierując się na pokład. Przechodząc przez korytarz zauważyłem, że nad drzwiami pracowni Szmidta pali się czerwone światło. Dochodziło stamtąd ciche brzęczenie charakterystyczne dla pracy mózgu elektronowego.

Pogoda była piękna. Na bezchmurnym niebie widniały jedynie nieruchome punkty dyskolotów, tworzące symetryczną siatkę zawieszoną nad ziemią, zdawałoby się wbrew prawom grawitacji. Drobne fale lekko szemrały, uderzając o potężne burty „Delfina”, od których biło gorąco wystawionych na działanie słońca pancernych blach. O tej porze pokład przypominał małą plażę. Znajdowało się tutaj sporo osób wykorzystujących czas wolny od zajęć na opalanie i kąpiel. Pod rozpiętymi na górnym pokładzie białymi daszkami skupili się amatorzy cienia — dochodził stamtąd gwar rozmów i głośnie wybuchy śmiechu.

Po przesunięciu zapory postanowiliśmy za namową Juwara spędzić nieco czasu na pływaniu i łowieniu ryb. Po chwili z płetwami na stopach, niosąc przykrępowane do pleców aparaty tlenowe, znaleźliśmy się w wodzie. Nasunąłem maskę na oczy i dałem głębokiego nurka. Trzymając w pogotowiu harpun, popłynąłem wzdłuż burty w kierunku rufy „Delfina”. Było to miejsce spokojne, nie uczęszczane przez amatorów kąpieli, skupiających się przede wszystkim w okolicy środkowej części pokładu, obok ustawionej tam skoczni. Spodziewałem się zatem większej ilości ryb w tej stronie. Woda była przejrzysta i przyjemnie chłodziła rozgrzane na słońcu ciało. Atlon i Juwar popłynęli próbować szczęścia w innych rejonach: umówiliśmy się za kwadrans na rufie statku, miałem zatem nieco czasu na wyszukanie jakiejś lepszej zdobyczy. Zawsze lubiłem ten sport liczący sobie obecnie ponad dwa wieki i posiadający na Ziemi miliony entuzjastów. Już we wczesnej młodości w gronie rówieśników godzinami baraszkowałem pośród szuwarów porastających dno leżącego w pobliżu rodzicielskiego domu jeziora. Woda w naszych stronach nie jest taka czysta, a przede wszystkim jest znacznie zimniejsza — nauczyłem się zatem szybko cenić piaszczyste łachy denne w pobliżu trzcin, gdzie często można było napotkać wygrzewającego się szczupaka i masy rybiego drobiazgu. Pamiętam, jak nieraz płataliśmy figle wędkarzom przesiadującym samotnie na pomoście przystani żeglarskiej. Ich wędziska były ulubionym celem naszych wypraw: niełatwo było niepostrzeżenie rozładować nabój elektryczny ukryty w przynęcie bez zwrócenia uwagi zapatrzonego w mały ekran rybaka. Obserwowaliśmy potem, wylegując się w ciepłym piasku plaży, jak amator wędki denerwował się, że ryba nie bierze, lub oglądał ze zdumieniem pusty haczyk. Sam lubiłem jedynie łowy z harpunem i po pewnym czasie doszedłem w tym sporcie do niemałej wprawy. Płynąc wzdłuż burt „Delfina” miałem nadzieję, że również w wodach Pacyfiku dopisze mi oko i szczęście. Jednak przy rufie kręciły się jedynie stadka drobnych rybek mieniących się wszystkimi barwami tęczy w prześwietlonej słońcem wodzie. Nie płoszone, przyglądały się ciekawie, podpływając niekiedy aż do samej szybki maseczki.

Zawiedziony skierowałem się głębiej, dopóki przykry ucisk w uszach nie zwrócił mojej uwagi, że zabrnąłem zbyt daleko. „Delfin” pozostał kilkaset metrów za mną, niewielki zapas powietrza kończył się szybko i trzeba było zacząć myśleć o powrocie. Rozejrzałem się dookoła. Łagodna zieleń otaczających mnie wód była pusta, wzrok swobodnie zagłębiał się w jej niższe warstwy, nie napotykając żadnego żywego stworzenia. Chciałem już zawrócić, gdy nagle z boku przesunął się cień jakiejś większej ryby. Znieruchomiałem czekając, aż podpły- nie bliżej. Miała około dwóch metrów długości, jej kształt tworzył podłużną, zamazaną plamę, a duża odległość uniemożliwiała dokładniejszą obserwację. Ostrożnie począłem płynąć z wycelowanym harpunem, jednak ryba powoli oddalała się ode mnie. Nie mogłem dłużej zwlekać. Rzykując chybieniem pociągnąłem za spust. Poczułem lekkie drgnięcie wyrzutni, którą opuścił grot ciągnący żyłkę i w oczekiwaniu na rezultat zacisnąłem dłoń na rękojeści. Trwało to chyba z trzy sekundy. Gwałtowne szarpnięcie o mało nie wydarło mi z rąk harpuna, czułem, że żyłka zaplątała się w bębenku i że jakaś ogromna siła wciąga mnie niezwykle szybko w głąb oceanu. Opadałem jak kamień: w skroniach zaczęła nieznacznie pulsować krew, waląc od wewnątrz w czaszkę rytmem, który mącił myśli, równocześnie jakaś ciasna obręcz poczęła ścisnąć mi żebra, dławiąc oddech i wypierając powietrze z płuc. Czułem, że się duszę. Nagle w zasięgu wzroku pojawiła się brunatna masa, której krawędź szybko zbliżała się, lekko falując. Pływające wodorosty! Uwięźnięcie w nich oznaczało śmierć lub niebez- bezpieczne poparzenia. Zrobiło mi się nagle bardzo gorąco, nie czułem już ciśnienia wody gniotącej mi wszystkie członki. Niespodziewane szarpnięcie wydarło mi z rąk harpun, który błyskawicznie pomknął gdzieś w dół. Przebierając gwałtownie nogami zacząłem wypływać ku powierzchni. Powoli bolesne tętno w skroniach ustało i mogłem bez trudu złapać oddech. Czas już był najwyższy. Zapasy tlenu wyczerpywały się gwałtownie i strzałka manometru zbliżała się do zera. Gdy w końcu wynurzyłem się z morza i odrzuciwszy maskę wciągałem łapczywie głębokie hausty świeżego powietrza, zasobnik tlenowy był całkowicie pusty. Po kilku minutach dotarłem do „Delfina”, jednak na rufie nie znalazłem moich towarzyszy. Siedział tam jeden z nurków tahimorskich, od którego dowiedziałem się, że Juwar i Atlon zaraz po powrocie na statek zostali zaproszeni do pracowni Szmida. Kilka drobnych rybek leżących w pobliżu świadczyło, że łowy nie bardzo im się powiodły. Zmęczony położyłem się na pokładzie, wystawiając palący mnie lekko tors na działanie słońca. Na pytanie nurka, gdzie zgubiłem harpun, opowiedziałem mu przebieg spotkania z rybą. Słuchał uważnie, kiwając z lekka głową. Nazywał się Parloo i od dziesięciu lat mieszkał w Tahimorze. Pochodził z wysp Niskiego Paumotu i z morzem był związany od najwcześniejszego dzieciństwa, tak zresztą jak wszyscy jego przodkowie. Bezpośrednie obcowanie z wodą stało się dla niego koniecznością, bez której nie wyobrażał sobie po prostu szczęśliwego życia. Studiował nawet przez pewien czas w Instytucie Morskim w Londynie, lecz nie wytrzymał tam długo. Koraliowy piasek, grzmot fal przyboju na rafach i ciche laguny atolów kazały mu rzucić mglistą wyspę na rok przed dyplomem. Przybył wprost do Tahimoru i tam już pozostał, pracując jako wysoko kwalifikowany nurek na podmorskich plantacjach. Jego pasją stało się poznawanie życia morza. Na swoim czólnie podwodnym przedsiębrał dalekie wyprawy w nie zbadane jeszcze obszary Pacyfiku, przywożąc z nich setki okazów fauny i flory głębinowej. Współpracując z Instytutem Badań Morskich, zetknął się kiedyś z Juwarem i od tego czasu doktor często zabierał go ze sobą w rozmaite strefy Oceanu Spokojnego. Gdy wspomniałem o napotkanych wodorostach, przez twarz jego przebiegł ledwie dostrzegalny cień i nasza rozmowa na chwilę się urwała. Parloo wsparł ręką podbródek i melancholijnie powiódł wzrokiem po falach. Wówczas to przypadkowo dowiedziałem się o okolicznościach, w jakich zetknął się z Juwarem, i znalazłem istotny powód kłótni, jaka miała miejsce między naukowcami.

— Dobrze pan zrobił — zaczął mówić Parloo, mrużąc oczy od blasku słońca. — To, co pan spotkał, było zapewne małą ławicą, jakie dość często występują w pobliżu powierzchni morza. Dla nurka, nawet doświadczonego, jest to spotkanie niebezpieczne i lepiej go unikać.

Lecz to jeszcze nic. Tam na dole, setki metrów poniżej powierzchni, zdarzają się wielkie doliny wypełnione grubym na kilkadziesiąt metrów pokładem wodorostów przypominających raczej jakąś włóknistą plazmę, tak tam jest wszystko pogmatwane i zrośnięte. Podobno występują w wielu gatunkach, z których każdy odznacza się specjalnymi, nieraz wprost zaskakującymi właściwościami. Mówił mi pewien stary nurek z Gwinei, że pracując samotnie gdzieś wśród wysp Melanezji spotkał pole wodorostów wytwarzających elektryczność, co spowodowało silne porażenie jego ciała. Przy zachodnich Karolinach zauważono przed pięćdziesięciu laty masową ucieczkę ryb. Pobieżne badania nie stwierdziły żadnych przyczyn, dla których w kilku godzinach opustoszały doszczętnie najbogatsze łowiska. Jednak dotychczas jeszcze wśród ludzi z niektórych wysp krążą opowieści, jakoby w tej okolicy przesunęło się w tym czasie olbrzymie pole wodorostów płynące gdzieś w stronę środkowego Pacyfiku. Trudno jednak spotkać taką ławicę i przeprowadzić badania w naturalnych warunkach, oddzielone bowiem części tych roślin zmieniają nawet swój skład chemiczny. W Instytucie mamy zaledwie pięć okazów tych form.

— A na własne oczy widział już pan takie pole? — zapytałem z niedowierzaniem. Ostatnio zbyt dużo rzeczy tajemniczych działo się wkoło mnie, w świecie przecież dobrze znanym, przemierzonym, obliczonym, rozłożonym w laboratoriach na pierwiastki i drobne elementy atomu. Obsesja tajemniczości, czy co — rozmyślałem, leżąc na elastycznej płycie pokładu. Słyszałem gdzieś, że mieszkańcy tych okolic lubują się w dziwnych opowieściach, którymi raczą łatwowiernych turystów. Podejrzywałem zatem, że w usłyszanych przed chwilą historiach mieści się sporo fantazji mojego przypadkowego towarzysza. Na szczęście Parloo nie wyczuł nuty nieufności w moim głosie. — Trzech tahimorczyków widziało — odparł zadumany. — Jeden z eksponatów znajdujących się w naszym Instytucie przywiozłem z Aresem i ofiarowałem Juwarowi.

— Jak to było — zapytałem zaciekawiony.

— Pojechałem na jedną z wypraw w obszar zupełnie nie znany, na północ od Wysp Towarzyskich. Wraz ze mną płynęli na swoich łódkach podwodnych Ares i młody Ralf, syn Juwara, piszący pracę dyplomową w Tahimorze. Po trzech dniach podróży znaleźliśmy się na miejscu i niezwłocznie rozpoczęliśmy pomiary, połów fauny, badanie dna... Czas płynął szybko. Ani się spostrzegłem, jak minął tydzień i trzeba było wracać. Rzeźba dna jest tam bardzo urozmaicona. Od dużego płaskowyżu, leżącego kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią, pełnego skałek i szczelin, opadają w niższe partie oceanu dzikie wąwozy otoczone łańcuchami gór. Prace nasze koncentrowały się na płaskowyżu, przydatnym pod uprawę pewnego gatunku trawy morskiej, poszukiwanego przez medycynę. Dopiero na zakończenie wyprawy obiecywaliśmy sobie głębszy wypad w najbliższą okolicę, traktując go czysto turystycznie. Wybór nasz padł na najszerzy z wąwozów o dosyć silnym prądzie biegnącym z głębin ku cieplejszym, wyższym partiom wód. Jechaliśmy szeregiem, schodząc pod dość ostrym kątem w dół. W kabinie stawało się coraz ciemniej, woda za iluminatorami przybrała kolor granatu, tak, że przeszliśmy na podmorskie oko i kazałem zmniejszyć szybkość. Ściany wąwozu zwężyły się stale, przechodząc w głęboki jar; jego pionowe zbocza pokryte były kożuchem wodorostów zwisających pękami w dół jak brodate liany w puszczech Amazonki. Gdy minęliśmy skalne przewężenie, przed nami rozpostarł się niezapomniany widok. Dolinę, w tym miejscu szerszą, wypełniały wodorosty. Były wszędzie: leżały o kilka metrów pod naszymi łodziami warstwą równą i gładką, przypominającą rozścielony szarorudy materiał. Echosondy nie mogły się przebić przez ich sploty drgające powolnym, kołyszącym rytmem. Na ekranie oka wznosiły się kolumny i ściany z tych roślin, wysokie na kilkanaście metrów, lekkie i zwiewne, pełne dziur i wnęk, uroczych zakątków, jakich sobie nigdy nie wyobrazi najbardziej ekscentryczny fantasta.

Nakazałem ostrożność i powoli posuwaliśmy się w głąb tej dziwnej doliny. W pewnym momencie zauważyłem w czerni iluminatorów jakieś jarzenie. To otaczające nas wodorosty

fluoryzowały rudym blaskiem, którego intensywność szybko wzrastała, aż w kabinie stało się prawie szkarłatnie, jakbym znalazł się wewnątrz stygnącego pieca. Przez szyby widziałem wyraźnie płynące obok mnie łodzie Aresa i Ralfa, równocześnie w megafonie usłyszałem lekkie trzaski podobne do odgłosu, jaki wydaje drobny deszcz padający na szybę. Kazałem wyłączyć motory. Stanęliśmy. Ponad nami przepływały olbrzymie płyty roślin jak chmury po niebie, łączyły się, to znowu dzieliły na mniejsze ławice, odpływające gdzieś na boki, ciągnące za sobą długie welony rudziejącej zieleni. Jarzenie bladło, jego czerwień coraz bardziej brunatniała... Wtedy właśnie Ralf włączył motor i popłynął naprzód. To stało się przyczyną jego zguby, a nam z Aressem tylko zbieg okoliczności pozwolił na ucieczkę z tej włóknistej matni. Wodorosty natychmiast rozjarzyły się — w ich upiornym świetle zobaczyłem, jak na łódź Ralfa opadła lekko i szybko olbrzymia chmura, pokrywając ją kilkumetrową warstwą. Stojące z boków ściany wodorostów wydeły się, spęczniały potwornie i powoli zaczęły się zamykać, zwierać jak stara księga. Widziałem, jak ich macki łączyły się i skręcały, tworząc zwartą, gęstą masę, pod którą gdzieś w dole ugrzęzła łódź Ralfa, i widziałem, jak łączą się coraz bliżej nas leżące partie. Z góry i z boków nadpływały płyty wodorostów, przywieraly miękko do drgającej masy, tworząc wzgórze lśniące rubinowo.

W mikrofonie poprzez narastające zakłócenia słyszałem głos Aresa starającego się nawiązać kontakt z Ralfem. Jednak student nie odpowiadał — widocznie jego i nasze fale odbijały się od zwartej masy wodorostów, nie mogąc pokonać tej przeszkody. To było okropne. Patrzyłem, jak coraz bliżej zwierają się szkarłatne, skudłone ściany roślin i nie mogłem podjąć decyzji opuszczenia tego miejsca.

Parloo westchnął i ściszone głosem kończył swą opowieść:

— Wydostaliśmy się stamtąd w ostatniej chwili, niewiele brakowało, a utknęlibyśmy w nadpływających wodorostach. Wezwaliśmy natychmiast pomoc. Przybyła po kilku godzinach, bo miała po drodze awarię. Potem samolotem przyleciał Juwar, lecz wszystko na próżno. Ralfa i jego łodzi nie odnaleźliśmy.

— Dlaczego? — zapytałem. — Nie mogliście się do niego dostać?

Nurek siedział nieruchomo, utkwivszy wzrok na granicy wody i nieba. Odpowiedział dopiero po chwili.

— Nie, ale gdy opuściliśmy się do wąwozu, wodorostów już nie było, nawet nic nie wskazywało, że kiedykolwiek tam się znajdowały. Po kilku godzinach zastaliśmy skały puste i gładkie, jakby oszlifowane precyzyjnym automatem, bez najdrobniejszego zielonego włókna. Jako jedyny dowód, że nie ulegliśmy halucynacji, pozostały nam kępki tych roślin omotane przy każdym występie naszych łodzi oraz kilka niewyraźnych zdjęć.

I jakby wyprzedzając moje pytanie, dodał:

— Z Juwarem przeszukaliśmy całą okolicę w promieniu wielu kilometrów, jednak bez rezultatu. Zniknęły gdzieś w głębinach oceanu wraz z łódką. Od tego czasu poszukujemy pól wodorostów, a odkrycie ich tajemnic stało się namiętnością doktora. Jednak dotychczas nie udało się nam znaleźć ani jednej takiej kolonii.

W tym momencie przypomniałem sobie scenę w pracowni oceanograficznej i wyraz twarzy Juwara, gdy nam pokazywał dziwne miejsce na mapie. To były zapewne poszukiwane przez niego od lat wodorosty. Parloo pokiwał twierdząco głową.

— Wiem już o tym — odparł. — Pojedziemy tam niezwłocznie, z chwilą gdy będziemy mogli dysponować „Delfinem”. Na razie jednak promienie zakłócające są ważniejsze — dodał z goryczą — więc musimy czekać.

Parloo wstał i skinąwszy ręką na pożegnanie, oddalił się w stronę śródokrećcia. Pozostałem sam, rozmyślając nad zagadkami, które zazdrośnie kryje ocean. Siedziałem tak może z godzinę, do chwili gdy sygnał radiowy oznajmił znajdującym się na pokładzie, że „Delfin” wyrusza w drogę. Ubrałem się i zszedłem pod pokład, chcąc poznać przyczynę tej nagłej wyprawy. Jednak nad pracowniami uczonych paliły się nadal czerwone światła. Udałem się

zatem do mojej kabiny, aby rozpocząć pisanie dziennego komunikatu dla redakcji „Globu”. Zaledwie rozpocząłem pracę, gdy w telewizorze zabrzmiał sygnał. Nacisnąłem włącznik — na ekranie ukazała się podniecona twarz Atlona.

— Profesor ponownie ustalił źródło emisji promieni!

— Gdzie się znajduje — krzyknąłem, pochylając się nad aparatem.

— Niech pan sobie wyobrazi, że w morzu, w głębinach oceanu!

Nie mogłem opanować zdziwienia i rozczarowania. To była wiadomość zbyt sensacyjna, żebym miał ją przyjąć poważnie.

— Więc jednak okręt podwodny? — zapytałem, nie ukrywając swoich wątpliwości. — To nieprawdopodobne!

Byłem pewien, że nastąpiła tutaj ponowna pomyłka, o którą nietrudno, gdy się posiada niewystarczający i bardzo przypadkowy materiał badawczy. A takim materiałem były niewątpliwie przychwycone przez dyskolot ślady promieni.

— Przyznam się — odparł inżynier — że też nie jestem przekonany, chociaż nie chodzi prawdopodobnie o żaden okręt. Obliczenie Szmidta wskazuje, że źródło promieni tkwi w podmorskiej kotlinie, pokrywa się z miejscem, które niedawno pokazywał nam Juwar. Chciałem również pana uprzedzić, że za dwie minuty zanurzymy się.

Ekran zgasł. Stałem przez długą chwilę, rozmyślając nad otrzymaną wiadomością. Jeśli źródłem zakłóceń nie jest okręt podwodny, to co? Przypomniałem sobie opowiadanie Parloo o dziwnych właściwościach niektórych gatunków wodorostów. A więc to one są przyczyną naszych kłopotów? Zbita, skłębiona masa roślin zalegających jakąś podmorską dolinę wysyła promienie przerywające linię przesyłową Kair-Kosmonium? Wobec tego twierdzenie, jakoby tylko przy pomocy ciężkiej odmiany pierwiastka bellonium można takie promienie wyprodukować, jest fałszywe! Porzuciłem myśl o napisaniu komunikatu dla redakcji. Czułem, że jeszcze kilka takich rewelacyjnych wiadomości, a przestanę całkowicie rozumieć, gdzie kończy się rzeczywistość, a zaczyna absurd. Ze złością spojrzałem na migocące nad drzwiami kabiny światło — „Delfin” zanurzał się w głąb oceanu.

W parę minut później pchnąłem drzwi do kabiny podwodnej nawigacji. Znajdowało się tam kilku ludzi obserwujących aparaty kontrolne: w głębi dostrzegłem Juwara i Atlona pochylonych nad stołem kierowniczym. Na ekranie ściennym przesuwiał się powoli obraz dna morskiego, pofałdowany i wystrzępiony łańcuchami górskich szczytów. Był to widok podobny surowością form skalnych i martwością krajobrazu do powierzchni księżyca, różniący się jedynie brakiem olbrzymich cyrków, tak charakterystycznych dla naszego satelity. W pewnej chwili, gdy mijaliśmy krater wygasłego wulkanu, wrażenie podróży raketowej było tak silne, że mimo woli zrobiłem uwagę o tym podobieństwie.

Juwar podniósł głowę znad aparatów.

— Ma pan rację, to prawie księżyc. Obszary równie dzikie, a poza tym znacznie mniej znane niż towarzysz Ziemi. Prawdziwa *terra incognita*. Woda, z której życie przeniosło się na ląd, jest jeszcze dla nas białą plamą, zazdrośnie strzegącą swoich tajemnic. To prawie śmiesznie, lecz właściwie nie znamy kolebki, z której wyszły miliony organizmów ożywiających naszą planetę.

Juwar zamyślił się, patrząc niewidzącym wzrokiem w ekran. Po chwili drgnął.

— Dla was, ludzi z suchej ziemi — powiedział, zwracając się do mnie i Atlona — morza i oceany są jakby częścią lądu, tyle, że bardziej miękką, nie wytrzymującą nacisku stopy. Dla mnie jest to atmosfera, ostatnia, najcieńsza jej warstwa oblekająca większą część skorupy ziemskiej. W tej mieszaninie tlenu i wodoru lecą nasze okręty jak rakiety lub odrzutowce w powietrzu. Nie mogę zgodzić się z twierdzeniem, że era wielkich wypraw odkrywczych na Ziemi zakończyła się przed wiekami. Większa część naszej planety czeka jeszcze na swoich Amundsenów, tak jak czeka na nich reszta układu planetarnego.

Doktor urwał spojrzawszy w ekran.

— Zbliżamy się — powiedział sucho, pochylając się nad tablicami rozdzielczymi.

„Delfin” płynął teraz ponad szeroką doliną wijącą się wzdłuż pasma górskiego. Widoczne po obu stronach szczyty na kształt dwóch wielkich pił wrzynały się klinem w mroczny horyzont wód. Po kilku minutach jazdy zbocza odsunęły się nagle na boki, tworząc obszerny amfiteatr, zamknięty dookoła prostopadłymi ścianami skalnymi. Ogromne zerwy i płyty o ostrych jak nóż krawędziach opadały w dół, tworząc kocioł otwarty od strony doliny. W połowie kotła dno podnosiło się nagłym progiem, tworzącym jak gdyby stromo biegnący taras przysypany na bokach lawinami piargów. Dzikość tego zakątka sprawiała przykre wrażenie. Wyłączono maszyny i „Delfin” zawisł nad kotliną. Do kabiny wszedł profesor Szmidt.

Uczeni stanęli przed ekranem, uważnie oglądając obraz. Po chwili Juwar odwrócił się z niechęcią i zdjawszy okulary, począł je nerwowo przecierać skrajem płaszcza.

— Właściwie nie widać w tej kotlinie nic interesującego — powiedział cichym głosem Szmidt. — Kamienna pustka. Czy mógłby pan, doktorze, powiększyć jeszcze obraz?

Juwar w milczeniu przekręcił gałkę regulatora. Obraz przybliżył się, wyraźniej wystąpiły załomy skał i rumowiska usiane olbrzymimi głazami. Doktor powoli kierował podmorskie oko na coraz to nowe partie dna. Próg skalny przecinający kocioł wyszczerzył swoje brzegi symetryczną siatką bazaltowych kolumn, przesunęła się łąka pokryta rzadkimi kępami trawy. Nigdzie nie było oczekiwanych tutaj wodorostów, Juwar również był zaskoczony tym pustkowiem — uważnie oglądał wszystkie przełęcz, którymi mogłyby odpłynąć.

— Ciekawe — powiedział po chwili opanowanym już głosem — nie pozostawiły znowu ani śladu. Spóźnił się.

Szmidt wpatrywał się w ekran.

— Tak, doktorze, plamy tutaj wystąpiły i moje obliczenia również wskazują na to miejsce. Można sądzić, że przyczyny tego zjawiska były, lecz równie być może, że nadal istnieją. Proponuję raz jeszcze powtórzyć fotografię dna przy pomocy sondy.

Juwar wydał polecenie dla swojego laboratorium. W oczekiwaniu na wynik usiedlił dookoła stołu kierowniczego. Profesor Szmidt zapełniał szeregami cyfr kartki notesu, wyjąwszy następnie kieszonkowy analizator, ustawił na nim równanie i przycisnął dźwignię. Znałem już na tyle profesora, żeby odgadnąć z jego pozornie nieruchomej twarzy głębokie niezadowolenie. Energiczny ruch, jakim skasował wynik, potwierdził moje domysły.

Wszystkim nam się zdawało, że jesteśmy na właściwym tropie promieni zakłócających, zbieżność między obliczeniami drogi ich przebiegu, a niewytłumaczoną plamą na mapie oceanografów była argumentem silnym, pozwalającym na pewne nadzieje szybkiego rozwiązania zagadki. Lecz rzeczywistość po raz drugi rozwiała złudzenia, ślad znowu okazał się fałszywy. W perspektywie pozostawało nudne przestawianie zapory powietrznej i oczekiwanie na nową wiązkę promieni, która nie wiadomo kiedy nadejdzie. W myślach układałem już burzliwą rozmowę, jaką przeprowadzę jutro z redakcją „Globu”. Byłem zrezygnowany i właściwie miałem wszystkiego dość. Niech dla tej specjalnie interesującej sprawy wyszukają innego reportera, takiego, który łowi ryby na wędkę — wolę się uganiać po świecie za drobiazgiem, niż tygodniami popijać lemoniadę na pokładzie „Delfina” i uprawiać nieróbstwo. Zapadłem w ponure rozmyślenia, patrząc na obraz beznadziejnie pustej doliny. Szmidt wstał z fotela i z założonymi w tył rękami zaczął przechadzać się pod ekranem.

— Nie mogę się pogodzić z myślą — mówił cicho — że obliczenie jest błędne. Ostatecznie mógłbym przyjąć pewną poprawkę, wówczas teren, z którego promienie zostały wysłane, powiększyłby się o mniej więcej trzy kilometry kwadratowe w stronę północną. Ale tak czy owak będziemy musieli szczegółowo przeszukać te skały.

W chwili gdy profesor zaczął przedstawiać plan poszukiwań, przy okienku poczty wewnętrznej rozległo się brzęczenie. Juwar uchylił szklaną taflę i na stół kierowniczy wyjął cylindryczne pudełko. Szybkim ruchem uczony zdjął wieko i wydobyl rulon papieru.

Pochyliłiśmy się nad stołem — przed nami leżała fotografia dużych rozmiarów. Rzuciwszy na nią okiem z trudem opanowałem okrzyk zdziwienia. Była to fotografia kotliny, lecz jakże inna od obrazu, który drżał lekko na ekranie ściennym. Połowa powierzchni kotła, do skalnego progu nie uległa żadnym zmianom, lecz cały pochyły taras zniknął w gmatwaninie plam rozmaitych wielkości i odcieni, łączących się ze sobą jakby korzeniami. Dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się dostrzegłem pewną symetrię w ich układzie, naruszoną w niektórych miejscach głębokimi, nieregularnymi liniami, stwarzającymi w pierwszym momencie wrażenie chaosu. Był to rodzaj jakiejś wynaturzonej pajęczyny, zgrubiałej w miejscach złączeń, a wrażenie to potęgowała ciemniejsza plama o zatartych konturach, usytuowana centralnie.

— Skąd te różnice w obrazach tej samej kotliny? — spytałem Atlona.

Inżynier podniósł głowę znad fotografii.

— To proste. Podmorskie oko i sonda pracują na dwóch różnych zasadach. Pierwsza aparatura odbiera tylko obraz powierzchni, fala wraca natychmiast po zetknięciu się z przeszkodą, wywołując na ekranie obraz podobny do tworzącego się w naszym oku. Wysyłane przez nas ultradźwięki można jednak wyposażyć w pewną cechę przenikania i dlatego po ich powrocie wraz z odnotowaniem rzeźby otrzymują oceanolodzy pewne wskazówki dotyczące budowy geologicznej badanego obszaru.

— Więc to oznacza, że pod skałami tarasu są jakieś jaskinie?

— Nie, redaktorze — wtrącił się do naszej rozmowy Juwar — to oznacza, że skalny taras wcale nie istnieje.

Przez chwilę wydawało mi się, że źle zrozumiałem oceanologa. Taras nie istnieje? Widniejąca na ekranie łąka jest tylko złudzeniem, fikcją?

— Więc co to jest właściwie? — zapytałem zdumiony.

Juwar wzruszył ramionami.

— Nie mogę panu w tej chwili odpowiedzieć. W każdym razie jest to materia przenikliwa, dająca kilkakrotne odbicie. Jej skład trudno określić, lecz dużo tam jest substancji miękkich, porowatych. Hm, a co pan o tym sądzi, profesorze? — zwrócił się z zapytaniem do Szmidta nie odrywającego wzroku od fotografii.

— Przypuszczam, że pod nami znajduje się antena miotacza — powiedział uczony powoli, z wahaniem w głosie.

Nie mogłem opanować zdziwienia. Moje wyobrażenia o miotaczu były zupełnie inne. Spodziewałem się ujrzeć ażurowe konstrukcje masztów, antenę wspartą na kolumnach izolacyjnych, gmatwaninę przewodów wysokiego napięcia... Tutaj uderzył mnie brak urządzeń sterujących, które przy manewrowaniu tak wielką powierzchnią trudno byłoby ukryć. Zresztą taras ściśle przylegał do zboczy górskich, tworząc z nimi harmonijną całość. Czyżby zamiarem nieznanych budowniczych było jednokierunkowe wysyłanie promieni? Podzieliłem się moimi wątpliwościami z profesorem. Szmidt wysłuchał mnie ze spokojem, ani razu nie przezywając wywodów.

— Nie wiemy, jaki cel przyświeca ludziom wysyłającym promienie — odezwał się w końcu — dlatego wiele rzeczy może być dla nas niezrozumiałych. Mnie też dziwi budowa tego miotacza, uważam podobne rozwiązanie konstrukcyjne za bzdurne, pomimo że znam je tylko z ekranu i fotografii. Nie trzeba od razu znać całości, żeby wydać sąd. Samo umieszczenie miotacza na dnie oceanu jest już bardzo niekorzystne i powoduje straty przy emisji, dochodzące chyba do 99 procent. A więc druga bzdura. Lecz być może tajemniczym budowniczym nie chodzi o to, żeby wysyłać promienie na powierzchnię oceanu? Może potrzebują je dla zupełnie innych celów?

— Sądzi pan, że tam w kotlinie są ludzie?

Profesor uśmiechem pokrył zniecierpliwienie.

— Już wkrótce będziemy się mogli o tym przekonać. Doktorze — zwrócił się do

Juwara — wysłemy wpierw automat, czy też od razu motorówkę?

— Raczej automat — odparł po chwili namysłu Juwar. — Jeśli to jest istotnie miotacz, w takim razie przesunę „Delfina” w bok od ewentualnego toru promieni. Trudno przewidzieć, jaki wpływ by miały na pracę stosu atomowego lub precyzyjnych aparatów.

— Wystarczy doprowadzić statek w stronę grani — powiedział Szmidt, spoglądając na ekran. — Tor promieni jest prostopadły do powierzchni miotacza, będziemy zatem w tym miejscu poza ich zasięgiem.

Doktor Juwar pochylił się nad stołem kierowniczym. Zabłyły światła kontrolne. Obraz na ekranie się zmienił: widniała tam teraz wystrzępiona grań, zbliżająca się do nas powoli. W końcu „Delfin” znieruchomiał w pobliżu skalnej zerwy, stromo opadającej w głąb kotliny.

— Jesteśmy na miejscu — Juwar przesunął jeszcze jakieś dźwignie i włączył podręczny telewizor, naciskając numer portu. Na ekranie ukazała się twarz Ramana.

— Czy oglądał już pan ten taras w dolinie? — rzucił doktor pytanie, a widząc potakujący gest nurka, ciągnął dalej. — Istnieje przypuszczenie, że jest to część miotacza. Pewności nie mamy i dlatego musimy zdobyć materiał.

— Chętnie pojedę na taras — powiedział Raman głosem, w którym brzmiało zdumienie.

— Na razie nic z tej wycieczki — odparł Juwar. — Proszę wysłać automat uniwersalny. A niech pan nie zapomni dodać mu kilku liczników Geigera. Zresztą za chwilę będziemy w porcie.

Duża półkula sali przywitała nas brzęczeniem dźwigu, opuszczającego lśniący matowo korpus automatu wywiadowczego na tor wiodący do śluzy. Zaledwie metalowe wrzeciono dotknęło taśmy transportera, natychmiast otoczyło je kilka przysadzistych robotów uzupełniających jego wyposażenie pod kierunkiem nurków.

— Ostatni zabieg kosmetyczny i zaraz wyruszy — powiedział Raman, idąc nam naprzeciw. Uчени zaczęli pośpiesznie omawiać pracę, jaką miał wykonać automat na podejrzanym tarasie. Ponieważ ustalanie zadania mniej mnie interesowało, zawsze wolę już efekty, podszedłem do śluzy by obejrzeć robota.

Automat wywiadowczy kształtem przypominał dużą rybę długości około pięciu metrów. Jego część przednia, wydęta kuliście, oprócz kamery podmorskiego oka, reflektora i masy rozmaitych aparatów, uzbrojona była w parę potężnych kleszczy spoczywających wzdłuż metalowego korpusu. Część tylna zawierała niewielki silnik atomowy oraz przyrząd zdalnego kierowania połączony ze sterami. Pod kłapami mieszczącymi się w bokach automatu spoczywały małe dźwigi, głowice palników, magazynki narzędzi i inne nie znane mi bliżej urządzenia. Nurkowie kończyli już przegląd — z brzęczeniem odpełzały małe automaty ciągnięte na kablach jak psy na smyczy, zamykano pośpiesznie ostatnie kłapy srebrzystego pancerza. Do śluzy zbliżyli się uczeni. Towarzyszący im Raman wprawnym ruchem wmontował stożkowaty bezpiecznik w „głowę” automatu i dał znak obsłudze portu. Rozległ się zgrzyt unoszonego wjazdu, stalowy robot powoli wpełznął w jasny otwór basenu i znieruchomiał. Pancerna kłapa zamknęła się i nad śluzą zamigotało czerwone światło. Cichy syk doszedł zza stalowych ścian. To powietrze wypychane wdzierającą się wodą dźwięczało w wentylach i rurach.

Juwar, Raman i Atlon poszli do sterowni, w której czuwał nad pracami wysłanego robota jego nawigator. Razem ze Szmidtem pozostałem w hali portu przy telewizorze ściennym, jaki znajduje się w każdym pomieszczeniu statku. Dookoła zebrało się sporo nurków i inżynierów ciekawych transmisji z prac robota wysłanego na taras. Na zielonkawo jarzącej się tafli widać było, jak automat ostrym korkociągiem schodzi na dno kotliny, malejąc w miarę wzrastania odległości od statku. Potem nawigator przestawił transmisję na oko podwodne robota. Ekran ściemniał, obraz ograniczył się do małego wycinka powierzchni znajdującej się w zasięgu aparatury automatu. Przed nami pojawił się fragment tarasu, przesunęły się kolu-

mny bazaltu dziwnie symetryczne i gładkie. W pewnej chwili automat przystanął — zobaczyłem wyciągnięte w kierunku skały rozwarłe kleszcze, które oderwały ze ściany bryłę kamienia, wchłaniając ją natychmiast systemem zębatych przenośników. Robot wypłynął powoli ponad taras i lekko osiadł na jego powierzchni, wzbijając dookoła obłok dennego pyłu. Z boków wysunęły się mechaniczne uchwyty i szybko zniknęły w piasku. Przymocowawszy się w ten sposób do podłoża, robot zaczął silnym strumieniem wody rozmywać dno. W miejscu jego pracy wzniosła się nieruchoma chmura pyłu, zasłaniając jakby mgłą cały ekran.

— Mógłoby zastosować wmywacz kierunkowy — przecież nic nie widać — mruczał z dezaprobatą stojący obok mnie inżynier. — Zapaskudzi cały automat.

Po chwili ekran się przejaśnił, tuman pyłu opadał powoli, odsłaniając fragment metalowej łapy wczepionej w powierzchnię tarasu. Stojący obok inżynier wydał lekki okrzyk i przechylił głowę, zasłaniając mi na moment telewizor. Krąg nurków zacieśnił się gwałtownie — wszyscy przyglądali się czemuś z przejęciem. Wtoczyłem się między nich i wreszcie mogłem znowu spojrzeć na ekran. Robot stał na krawędzi sporej wyrwy, z której osypywał się do wnętrza piasek. W pośrodku, w świetle reflektora widać było konstrukcję przypominającą kratownicę. Jej szczeble schodziły w ciemną głąb, przeplatając się wzajemnie, łącząc i przenikając. Tworzyło to jakby sieć o dużych okach, przypominającą schemat rozmieszczenia atomów w kryształach. Robot zapuścił do wnętrza kleszcze, manipulując między konstrukcjami. Trwało to kilka minut, po czym automat odbiwszy się lekko popłynął wzdłuż krawędzi tarasu.

Przesunąłem się w kierunku stojącego w pobliżu Szmida. Profesor śledził pracę robota, trzymając w ręce mały aparat fonograficzny, któremu raz po raz rzucał kilka uwag do zanotowania. Jego twarz, jak zwykle gdy pracował, nie wyrażała żadnych uczuć. Gdy stanąłem przy nim, odwrócił głowę i spojrzał na mnie swoimi wyblakłymi oczami.

— No i jak się to panu podoba? — zagadnął.

— Miał pan rację, to chyba miotacz — odparłem. — Szczerze mówiąc, gdybym się z czymś podobnym spotkał na którejś z planet, mniej byłbym zdziwiony.

Szmidt złapał mnie przyjacielsko za ramię.

— Powoli, redaktorze, powoli. Widział pan przecież, że robot dosyć szczegółowo badał miotacz i materiał, z którego został zbudowany. Za kilka minut określimy dokładnie, kiedy powstała ta konstrukcja.

— Sądzi pan, że już dawno?

Szmidt skinął głową.

— Chyba dawno, a może nawet bardzo dawno. Niech pan spojrzy — wskazał ręką na ekran. — Przez ten czas na miotaczu nabierała się gruba warstwa piasku i pyłu. Innych dowodów na razie nie mam, chyba tylko ten, że promienie zakłócające są związane ściśle z belloniumem, a więc z okresem dosyć dawnym.

— Sądzi pan zatem, profesorze, że miotacz został zbudowany dwa wieki temu?

Stojący obok ludzie zaczęli się z ciekawością przysłuchiwać naszej rozmowie. Powoli otoczyła nas spora grupa nurków wymieniających uwagi na ten temat. Starożytność miotacza nie miała tutaj wielu zwolenników ponieważ urządzenie działało sprawnie i w dodatku na linii przesyłowej Kair-Kosmonium.

— Profesor się chyba zgodzi — mówił jeden z nurków — że emisją musi ktoś kierować. Czyżby na dnie tej kotliny mieszkali ludzie sprzed dwóch wieków?

Szmidt przez chwilę patrzył przed siebie, wreszcie rozłożył ręce bezradnym gestem.

— Jest to zupełnie prawdopodobne — mruknął.

Automat dopłynął do połowy tarasu i zaczął się powoli opuszczać wzdłuż jego pionowych ścian. Po pewnym czasie osiągnął dno kotliny i rozpoczął penetrację jej środkowej części. Leżały tam głazy rozmaitych rozmiarów pokryte nikłą roślinnością. Robot brał próbki skały, rozmywał miejscami dno, wreszcie jego kleszcze spoczęły znowu wzdłuż boków korpusu. Nawigator przestawił telewizor na odbiór obrazów z głównego oka podwodnego. Na

ekranie ukazała się znowu cała dolina, w której drgał ciemny punkt płynącego w powrotną drogę automatu. Zebrani przy telewizorze ludzie zaczęli się już rozchodzić.

Wtem na ekranie coś błysnęło silnym, niebieskawym światłem, jakby w miejscu automatu zapaliło się małe słońce. Przypadłem wraz z profesorem do ekranu. Ciemny punkt automatu zniknął w kłębiącym się czarnym oparze, rozcapierzającym się na wszystkie strony. Jego część ostrymi strzałami leciała ku powierzchni morza, tracąc stopniowo szybkość. W tym momencie głucho dudnienie przechodzące w gwałtowny łoskot wstrząsnęło halą portu, zdawało się, że stalowe ściany drżą, jakby ktoś wymierzył w nie potężne uderzenie. Trwało to sekundę, po której zapadła głęboka cisza, maćona tylko echem błakającym się w głębiach korytarzy.

Spojrzałem na Szmida. Profesor był już w połowie hali, biegł w stronę kierownictwa portu, gdzie za przezroczystymi taflami widniała sylwetka Juwara.

W tym momencie rozdzwięczały się dzwonki sygnałowe, ogłaszające alarm dla załogi. Równocześnie nad drzwiami zamigotało światło — „Delfin” wypływał na powierzchnię.

IX

MIOTACZ

W głównej sali klubu, wypełnionej do ostatniego miejsca, panowała głęboka cisza. Nurkowie, inżynierowie, pracownicy naukowcy w milczeniu oczekiwali na informację o wypadku. Zebraniu przewodniczył Raman. Po kilku słowach wstępnych udzielił głosu doktorowi Juwarowi, który w imieniu kolegium wyprawy omówił ostatnie zdarzenia.

— Byliśmy świadkami zniszczenia automatu przez ludzi, którzy wzniesli na dnie oceanu miotacz — mówił doktor, szarpiąc nerwowo trzymaną w ręku chustkę. — W chwili gdy robot wracał z kotliny, trafił go pocisk wypełniony substancją wybuchową, która detonowała, rozrywając automat na strzępy. Postarajmy się przeanalizować ten wypadek. Okręt nasz, poszukując źródła promieni zakłócających, znalazł się nad kotliną, w której jest miotacz. Stojąc poza zasięgiem jego działania, wysłaliśmy automat zwiadowczy i zbadaliśmy przy jego pomocy drobny fragment konstrukcji. Naruszając powierzchnię ochronną, wzięliśmy próbki materiału, z którego jest zbudowany, i zmierzaliśmy stopień jego radioaktywności. Wypadek nastąpił w czasie powrotu robota. Musimy się wobec tego zastanowić, dlaczego automat nie został zniszczony wcześniej, na przykład w chwili zbliżenia się do miotacza.

Juwar zamilkł na chwilę, wertując karty notesu.

— Istnieje w zasadzie kilka możliwości odpowiedzi na to pytanie. Miotacz jest czynny: wysyła co pewien okres czasu snop promieni, z których mała część dociera na powierzchnię oceanu i trafia do atmosfery. Istnieć zatem musi ośrodek kierujący jego pracą, a więc ludzie. Ich cele i zamiary nie są nam znane, przypuszczać jednak należy, że kontrolują okolicę kotliny do pewnej wysokości. Gdyby ta strefa była większa, mogliby się starać zniszczyć nasz okręt, tak jak zniszczyli automat. Robot wpływając w jej zasięg wzbudził ich zainteresowanie. Do chwili rozpoczęcia prac na miotaczu, byli tylko zaniepokojeni, lecz po naruszeniu jego powierzchni, postanowili go zniszczyć. Zamiar przeprowadzili w chwili dogodnej, to znaczy w momencie, kiedy automat oddalił się na taką odległość z której wybuch nie byłby szkodliwy dla miotacza. Dowodziłoby to dużej wagi, jaką przywiązują do tego urządzenia.

Słuchałem z zainteresowaniem słów Juwara. Przypuszczenia, którymi się z nami dzielił, nosiły wiele cech prawdopodobieństwa.

— Drugą możliwością — ciągnął dalej uczony — jest chęć niedopuszczenia do wywie-

zienia fotografii i planów kotliny oraz próbek zabranych przez automat. Jeżeli takie były ich zamiary, to spełnione zostały tylko częściowo, ponieważ robot szereg ważniejszych wiadomości przekazał nam samoczynnie. Chęć zachowania tajemnicy kotliny spowodować by następnie musiała atak na nasz okręt, stąd decyzja natychmiastowego opuszczenia tego terenu. Trzecia wersja, którą przedstawię, wydaje mi się najbardziej prawdopodobna. Miotacz powstał około dwustu lat temu, wskazują na to tak elementy montażowe, jak i obecny stan materiału, z którego go zbudowano. Jest to rodzaj wielostopniowej sieci wykonanej z metalu oraz mas plastycznych. Ta dziwna jak na miotacz konstrukcja nasuwa przypuszczenie, że pierwotnie spełniał on, być może, inną rolę lub że jego twórcy połączyli tutaj kilka funkcji. Zresztą o miotaczu wiemy zbyt mało, żeby zbudować sobie pełniejszy obraz zadań, którym miał służyć. W każdym razie mamy do czynienia z budowlą bardzo starą i chyba zamieszkałą. Warto przypomnieć, że promienie zakłócające można produkować tylko z ciężkiej odmiany bellonium wynalezionej na krótko przed Dniem Zjednoczenia. W tym okresie zanotowano zaginięcie sporych jego ilości z zakładów UACO w Ameryce. Nasi przodkowie sądzili, że bellonium zostało zużyte przy próbach bomb atomowych, dzisiaj po dwóch wiekach mamy prawie pewność, że reszta pierwiastka spoczywa niedaleko stąd na dnie oceanu.

Na sali panowało milczenie. Ludzie siedzieli sztywno, wpatrzni w Juwara, którego przygarbiona postać wyprostowała się młodzieńczo.

— Kolegium wyprawy liczy się poważnie z tym, że tam w kotlinie żyją ludzie, potomkowie ostatnich uciekinierów ze Zjednoczonej Ziemi. Możliwość tę musimy wziąć pod uwagę, bo przecież miotacz i inne urządzenia działają. Będziemy starali się nawiązać z nimi kontakt i dotrzemy do ich podmorskiej siedziby.

Juwar zdjął okulary i spojrzał badawczo po zebranych. Przez chwilę poczułem na sobie jego wzrok. Nigdy bym nie przypuszczał, że wyblakłe oczy oceanologa mogą być takie młode.

— Powrót w okolice miotacza i dalsze prace przedstawiają jednak duże niebezpieczeństwo — mówił uczoney. — Nie wiemy, z jakimi trudnościami przyjdzie nam się zetknąć. Zniszczenie automatu jest dla nas sygnałem ostrzegawczym. Dlatego chcemy usłyszeć zdanie całej załogi; a przede wszystkim nurków, na których spadnie większość najniebezpieczniejszych prac: czy z uwagi na niebezpieczeństwo zawrócimy, pozostawiając dalszy ciąg pracy ekipom specjalnie wyposażonym, czy też posiadając minimum koniecznego sprzętu, który w międzyczasie możemy uzupełnić, powierzone zadanie wypełnimy do końca?

Na sali podniósł się szmer rozmów, które powoli cichły. Po chwili wstał jeden z nurków tahimorskich.

— Rozumiem niebezpieczeństwo, doktorze Juwar — powiedział — ale wiem, że na wyprawę pojechaliśmy w pewnym celu. Celem tym były badania podmorskie, które usunięte zostały na plan dalszy przez sprawę zakłóceń na linii miasto atomowe-Kosmonium. Obecnie zadanie to jest zadaniem wspólnym, interesującym i nas, pracowników Instytutu Oceanograficznego, i ekipę energetyków. Powinniśmy zatem rozwiązać je wspólnie w miarę naszych możliwości, które są duże, a w każdym razie wystarczające. Cóż z tego, że zadanie nie jest bezpieczne. Dla nas, ludzi morza, niebezpieczeństwo jest czymś zwyczajnym. Zresztą gdyby ludzkość cofała się przed każdą przeszkodą, postęp byłby niemożliwy. Życie jest wtedy cenne, gdy jest interesujące, a przyznam się, że miotacz teraz bardziej mnie ciekawi niż przedtem.

Usłyszawszy ostatnie zdanie Juwar uśmiechnął się lekko — kryło się w nim hasło sporej grupy młodzieży szukającej silnych wrażeń. Nazywano ich popularnie „meteorydami” od uprawianego przez nich sportu raketowego — pogoni za drobnymi odłamkami materii i niszczenia ich przy pomocy miotacza promieniowego. Młodzież tę można było przeważnie spotkać na stacjach raketowych obciążoną sprzętem alpinistycznym, na nartostradach Alaski i w dżunglach Ameryki Południowej. Ostatnio masowo zgłaszała się do prac na

Antarktydzie, na budowach Helios II. Mieli własną modę i styl bycia, różniący się krańcowo od życia innej młodzieży, wygniatającej leżaki wszystkich plaż morza Śródziemnego i Florydy.

Po nim zabierali głos inni członkowie załogi, żądając podjęcia prac w kotlinie. Juwar zarządził głosowanie. W odpowiedzi uniosły się wszystkie ręce.

Następnego dnia rano znalazłem się w porcie. „Delfin” od kilku minut płynął w kierunku kotliny. Nad wodoszczelnymi drzwiami paliły się zielone światła i przeskakiwały cyfry kilometrów dzielących nas od celu. W głównej hali panował ożywiony ruch. Nad srebrnymi kadłubami motorówek pochylały się zespoły automatów wbudowujących wyrzutnie ładunków elektrycznych i aparaturę do wykrywania min, dostarczoną odrzutowcem z muzeum wojkowego Wyspy Wielkanocnej. W suchych basenach przed otworami śluz stały gotowe do odjazdu dwie łodzie otoczone grupą ludzi. Zauważywszy białe płaszcze naukowców, skierowałem się w ich stronę. Atlon tłumaczył właśnie coś Ramanowi i kilku nurkom, wskazując na rozpostarte wzdłuż burt motorówek fotografie i wykresy. Były to podobizny i przekroje dawnych broni morskich zdalnie kierowanych lub samoczynnie detonujących. Na dużej tablicy poglądowej widniała chyba setka rysunków pocisków i min rozmaitej wielkości i kształtu. Atlon kończył już wykład na temat ich wykrywania. Szło mu to bardzo ciężko i często odwoływać się musiał do przyniesionego tutaj fonolibronu, który trudniejsze kwestie wyjaśniał swoim mechanicznym głosem. Twarze mających jechać na dno nurków były skupione, oczy pilnie śledziły każdy ruch ręki inżyniera, starając się utrwalić w pamięci obrazy gatunków śmiercionośnego żelastwa. Gdy Atlon skończył, głos zabrał profesor Szmidt.

— Proszę o chwilę uwagi — powiedział, rozwijając dobyte z kieszeni płaszcza rulon papierów. Były to plany kotliny wykonane na wodoodpornych kliszach. Widniały na nich różnokolorowe linie krzyżujące się i tworzące pewne skupiska.

— To jest plan przesłany telewizyjnie z Genewy — wyjaśnił Szmidt. — Historyk strategii przełomu XX wieku, profesor Kaliński, wraz ze swoim zespołem opracował projekt przypuszczalnego zaminowania kotliny, kierując się poziomem techniki i myśli wojennej tamtego okresu. Niestety, przesłane przez nas materiały były bardzo szczupłe i dlatego jedynie fotografie katastrofy automatu z wyraźną linią przebiegu pocisku określają na mapie jeden konkretny punkt. Reszta jest wynikiem przypuszczeń, które mogą być bliższe lub dalsze od rzeczywistości. Niemniej plan ten może być nam bardzo pomocny.

Szmidt rozdzielił mapy i omawiał zadania. Dwaj nurkowie mieli pojechać na skraj miotacza drogą przebytą poprzednio przez automat. Zadaniem ich było unieszkodliwienie wyrzutni, która spowodowała katastrofę robota, a następnie oznaczenie pól minowych. Drugą motorówką miał pojechać Raman z towarzyszem, aby odnaleźć wejście do miotacza i dotrzeć do podwodnego schronu. Obie ekipy powinny jak najszybciej przebyć drogę na dno kotliny, aby do minimum skrócić czas przebywania na torze przebiegu promieni zakłócających.

Myśl, że tam na dole żyją ludzie, nie dawała mi spokoju. Pierwsze spotkanie z nimi pociągało mnie jako reportera z olbrzymią siłą, nakręcenie wywiadu w tych warunkach byłoby nie tylko sensacją, lecz miałyby także charakter naukowo-badawczy. Zwróciłem się do profesora Szmidta o pozwolenie wzięcia udziału w wyprawie.

— To niemożliwe — odmówił mi grzecznie. — Motorówka może pomieścić tylko dwóch ludzi, poza tym weźmie ze sobą szereg aparatów i narzędzi. Następne łodzie są już obsadzone, tak że, niestety, wyjazd pana na dno jest w dniu dzisiejszym niemożliwy.

— Jak to? — zapytałem oburzony. — To cały dzień mam beczynnienie przesiedzieć przy ekranie?

Profesor uśmiechnął się z zakłopotaniem. Widząc, że sprawa jest prawie przesądzona, postanowiłem użyć ostatecznego argumentu. Wyciągnąłem z kieszeni legitymację prasową i nacisnąłem guziczek, łącząc się przez centralę „Delfina” z Pałacem Prasy w Paryżu. Na ma-

łym ekranie ukazał się złoty symbol informacji. U dołu jarzył się napis respektowany wszędzie: Sprawa specjalnie ciekawa.

Szmidt spochmurniał i odwróciwszy głowę, przez chwilę patrzył w głąb hali na pracujące automaty.

— A gdyby pański wyjazd zagrażał bezpieczeństwu wyprawy? — zapytał.

— Wówczas, oczywiście, nie nalegam.

Szmidt jeszcze przez moment się zastanawiał.

— Dobrze — westchnął z rezygnacją. — Jeżeli pan koniecznie chce jechać w dół, to dam panu miejsce w piątej motorówce, chociaż szczerze mówiąc, wolałbym wysłać większą ilość nurków.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Trudno, musiałem się zgodzić na tę piątą motorówkę, co w praktyce jednak nie oznaczało wcale, że nie wezmę udziału w poszukiwaniach wejścia do miotacza. Było mi trochę przykro, że nadużyję tam w dole zaufania, którym mnie obdarzył profesor, lecz przecież nie mogłem opuścić takiej wspaniałej okazji. Jednak przypadek przyszedł mi z nieoczekiwaną pomocą. W tym momencie zbliżył się do nas Raman ubrany już w kombinezon przeciwpromieniowy, szczelnie opięty dookoła ciała.

— Profesorze, doszliśmy z Atlonem do wniosku, że lepiej będzie opuścić się na dno przy pomocy hydrożyra. Wejście znajduje się przypuszczalnie w tym miejscu — wskazał na leżącej przed nami mapie punkt, w którym widniało zagęszczenie linii i punktów. — Jeżeli trafimy na miny magnetyczne, motorówka może wywołać impuls szybciej, aniżeli instrumenty zdołają je wykryć. Hydrożyro jest mniejsze, a co najważniejsze, zbudowane prawie całkowicie z mas plastycznych, zatem niebezpieczeństwo znacznie się zmniejszy. Do przewiezienia aparatów wezmę bagażówkę z podwieszonym wykrywaczem, którą puścimy przodem.

Szmidt skinął aprobująco głową i spojrzał na mnie. Cień uśmiechu przemknął mu przez wąskie wargi.

— Ma pan jednak dużo szczęścia. Ramanie — zwrócił się do nurka — czy zgodzisz się wziąć z sobą przedstawiciela „Globu”, który koniecznie chce nadebrać na minę?

— Jedzie pan z nami? — ucieszył się Raman. — Wobec tego proszę się już ubierać, bo za chwilę wyruszamy.

Zakładając kombinezon przeciwpromieniowy, dostrzegłem przez szklane drzwi potrójny sygnał świetlny. „Delfin” był znowu nad kotłnią.

Po chwili pierwsza partia nurków ubranych w srebrne pancerze wsiadła do motorówki, po czym właz śluzowy został zawarty i zapłonął nad nim rubinowy punkt. Wyszedłem pośpiesznie z szatni. Do następnych śluz podstawiono już cztery hydrożyra przeznaczone dla nas. Były to niewielkie aparaciki, kształtem przypominające popularne jednoosobowe helikoptery, jakie młodzież często używa do swoich powietrznych gonitw. Proste, lecz wygodne siodelko zawierało w swojej dolnej części silny motor poruszający trójczłonowe śmigło pionowe umieszczone na lekkiej, ażurowej konstrukcji. Z tyłu widniały stery oraz śruba napędowa pozwalająca na poruszanie się w kierunku poziomym. Urządzenia kierownicze były nieskomplikowane — drążek, mała tablica z kilkoma zegarami i reflektor dawały możliwość swobodnego kierowania aparatem. Całość wykonana ze specjalnych mas plastycznych, hartowanych promieniami gamma, zaletami przewyższała najlepsze gatunki stali, zachowując przy tym lekkość i odporność na tarcie oraz uderzenia. Trzecim członkiem ekipy okazał się Ares, specjalista od urządzeń głębinowych, mrukliwego usposobienia tahimorczyk, którego poznałem w czasie pobytu w podwodnym osiedlu. Był już całkowicie ubrany i oczekując chwili wyjazdu, studiował uważnie mapę i zdjęcia miotacza. Pozdrowiliśmy się skinięciem głowy. Przy pomocy automatów zacząłem pośpiesznie wkładać skafander. Do tarczy tylnej wmontowano mi niewielki motor, do pasa przywiesiłem pistolet elektryczny dużych rozmiarów i już nakrył mi głowę przezroczysty hełm, przygłuszając odgłosy z zewnątrz. Sprawdziłem działanie aparatu tlenowego, radia, przez ramię przerzuciłem pas podtrzymujący kamerę filmową i ocieżyłem

krokiem podążyłem w stronę hydrożyra. Na stojącą obok bagażówkę ładowano ostatnie aparaty i małego uniwersalnego robota.

— Wszystko w porządku, redaktorze? — usłyszałem w słuchawkach głos Ramana.

— W porządku — odparłem, sadowiąc się wygodnie na siodelku i zatrzasnąwszy pas bezpieczeństwa. Aparat mój wepchnięto do śluzu, klapy wjazdu zasunęły się prawie bezszelestnie. Woda w basenie podnosiła się szybko, zgasły światła i otoczył mnie nieprzenikniony mrok, w którym jedyną jaśniejszą plamą była błyszcząca fosforycznie tablica zegarów i drążek kierowniczy. Po chwili otwarły się płyty wylotowe i do śluzu wpadło szarozielonkawe światło. Włączyłem motor i powoli wypłynąłem na zewnątrz statku.

„Delfin” znajdował się na głębokości 70 metrów od powierzchni oceanu. Widoczność była tutaj dość dobra o kolorze wiosennego zmierzchu, a jednak potężny kadłub statku zacieśniał się już w niewielkiej odległości, zlewając się stopniowo z barwą wody. Raman i Ares wraz z bagażówką znajdowali się tuż obok. Śmigła hydrożyrów kręciły się równomiernie, utrzymując nasze aparaty na tym samym poziomie.

— Jedziemy — usłyszałem głos Ramana.

Przez kilka minut płynęliśmy przed siebie, oddalając się coraz bardziej od „Delfina”. Za hydrożyrem Ramana, którego śmigło otoczone było sztywną siatką plastyczną, rozwijała się cienka nić kabla telefonicznego łączącego naszą wyprawę z portem statku. Użycie tak archaicznego i niepraktycznego sprzętu jak telefon kablowy było podyktowane twardą koniecznością. Mieliśmy przecież znaleźć się pod miotaczem, który stanowił przeszkodę nie do przebycia dla normalnie używanych radiotelefonów lub ultrafonów. Jadąc za Ramanem stale musiałem uważać, aby nie zaplątać wirnika hydrożyra w ten kapryśny, tańczący na wszystkie strony kabel. Płynęliśmy w milczeniu, nie odczuwając prawie tego ruchu, jak gdyby zawieszeni w zielonej cieczy.

— Jesteśmy na miejscu — dobiegł mnie głos Ramana. Włączyłem bieg poziomy i spojrzałem za siebie. Hydrożyro Aresa podpływało do nas wraz z bagażówką wiozącą umieszczony między podwoziem wykrywacz, kształtem przypominający wielką gruszkę.

— Przygotować się do zejścia w dół na obrotach trzeciego biegu! Bagażówka jedzie przodem w odległości dwudziestu metrów. Trzymać się razem! Ares, przejmuję od ciebie sterowanie. Włącz uzgadniacz.

— Przekazuję sterowanie... jeden... pół... zero.

— Zero... przejąłem.

Hydrożyro bagażowe wypłynęło przed nasze aparaty i zmniejszywszy obroty zaczęło opadać w dół. Po chwili w słuchawkach usłyszałem hasło. Przerzuciłem drążek na trzeci bieg... lekki cień śmigła nad moją głową rozpląnął się. Aparat zaczął ledwo odczuwalnie opadać w ciemną otchłań oceanu. Spojrzałem na głębokościomierz. Jedna strzałka wskazywała dno na 326 metrach od powierzchni morza, druga, czerwona, powolnym ruchem rejestrowała opadanie hydrożyra. Byliśmy już na głębokości 90 metrów. Mrok gęstniał. Spadaliśmy pionowo z szybkością jednego metra na sekundę. Z rzadka tylko mijaliśmy jakąś rybę lub żyjątko, które szybko nikało ponad nami. Widocznie okresowe działanie miotacza nie sprzyjało wegetacji tych stworzeń w kotlinie. Na głębokości 160 metrów włączyłem reflektor. Otaczający mrok był gęsty jak smoła, pochłaniał wszystko, wciskał się w każdy załom hydrożyra, zacieśniając kontury jego konstrukcji. Strzałka głębokościomierza zbliżała się powoli do cyfry trzysta. Przed nami poza zasięgiem reflektora znajdować się już musiała ściana miotacza. Byliśmy zapewne w połowie jego wysokości. W słuchawkach usłyszałem krótkie brzęczenie i zaraz potem rozległ się głos Ramana: — Zatrzymujemy się!

Przerzuciłem drążek i czerwona strzałka przystanąła na tarczy. Wyrównałem wysokość. Od dna kotliny dzieliło nas zaledwie dwadzieścia kilka metrów.

— Ares! Zauważyłeś coś ciekawego?

— Nie. Nawet tarasu nie widać. Musieliśmy niedokładnie wymierzyć.

— Czy podpłyniemy bliżej? — zapytałem.

— Tak, wzmocnijcie reflektory.

Płynąłem powoli naprzód. Już po kilku metrach zobaczyłem przed sobą pionową ścianę miotacza, mieniającą się seledynowo w świetle reflektora.

— Jest miotacz! — zawołałem prawie równocześnie z Aressem.

— Nastawcie falę X-2 — mruknął Raman. — Włączam odbiór z wykrywacza.

Przekręciłem gałkę na pancerzu skafandra. Przez chwilę słychać było tylko trzaski, po czym w małym głośniczku przy słuchawkach rozbrzęczał się jękliwy, wysoki ton, wzmagający się lub cichnący do ledwie słyszalnego szmeru. Czasem w tę dziwną, powtarzającą się regularnie gamę wpadał inny głos, przypominający buczenie trzmiela nad kwiatem.

— Co to jest? — zapytałem Ramana.

— To mówią do nas miny — odrzekł.

X

FORT (I)

Płynęliśmy z wolna wzdłuż ściany miotacza, raz po raz zbliżając się do dna. Jednak stale towarzyszył nam w słuchawkach drażniący ton zmieniający niekiedy swoją barwę. Przeważnie wtedy membranę rozdzierała kaskada trzasków sypiących się całymi seriami z jakiegoś ukrytego w mroku wód źródła. Reflektory słabo rozpraszały otaczającą ciemność. Raman jechał pierwszy, kierując hydrożyrem wiozącym wykrywacz, za nim ukosem, żeby nie zaczepić o kabel łączący nas z „Delfinem” i nie wpadać w wiry wodne płynęły nasze maszyny. Czas zaczął mi się dłużyć: brzęczenie w słuchawkach stało się wprost nie do zniesienia i właściwie chciałem już wyłączyć odbiór, gdy niespodziewanie pod hełmem zapanowała cisza.

— Zatrzymać się — usłyszałem głos Ramana.

Pchnąłem drążek sterowy. Zawisnęliśmy nad ciemnością, z której nie dochodził żaden dźwięk. Sylwetka Ramana pochyliła się głębiej nad ekranami hydrożyry — widocznie sprawdzał pracę wykrywacza. Milczenie trwało długą chwilę. Wreszcie nurek podniósł głowę.

— Pod nami jest miejsce wolne od min, zresztą niewielkie, szerokości zaledwie kilku metrów. Usiądźcie obok bagażówki, która już tam stoi.

Pierwszy zaczął opadać Ares, potem ja zmniejszyłem obroty śmigła i począłem się zbliżać do dna. Snop światła rzucany z mojego reflektora opornie przebijał czerń wody mieniającą się srebrem drobnego pyłu. Opadałem coraz niżej, aż w pewnym momencie wyłoniły się kontury dna pokrytego zwałami kamiennego piargu. Wzdłuż mojego pola widzenia biegła szczelina, w niektórych miejscach szeroka na kilka metrów. Wystrzępione brzegi poprzerywane były nieckami kamiennych zapadlisk zsypujących się w jej wnętrzu. Szczelina wężowymi skrętami, o kątach nieraz ostrych, biegła w kierunku miotacza, niknąc w mroku. W jednej z większych niecek, wypełnionej prawie całkowicie piargiem, zobaczyłem stojącą bagażówkę i maszynę Aresa. Osiadłem obok nich prawie równocześnie z Ramanem, odpiąłem pas bezpieczeństwa i niepewnie stanąłem na dnie.

Z tego miejsca szczelina przedstawiała się jak wyrzeźbiony przez wodę jar. Byliśmy jak gdyby na małej przełęczy, zamkniętej z obydwóch stron niezbyt stromymi usypiskami drobnego kamienia. Z boków widniały opadające w głąb szczeliny skalne wrota wypełnione mrokiem. Ares z zainteresowaniem oglądał poszarpane skały błyskające w świetle świeżajeszcze powierzchnią kamienia. Jego zadumana twarz pod szklistą czaszą hełmu przypomina-

ła antyczne posągi rzeźbione w marmurze.

— Szczelina liczy sobie najwyżej kilka lat istnienia — odezwał się, przesuując ręką po skale. — Co sądzicie o tym?

— Pozostałość po jakimś trzęsieniu ziemi — odparł Raman, wydobywając z bagażówki kasetkę z wykrywaczem i torby wypełnione aparatami. — Możemy się zresztą cieszyć, szczelina ułatwi nam prawdopodobnie wejście do miotacza.

— Hm — mruknął Ares, oglądając z uwagą zapadlisko, w którym znajdowaliśmy się — wygląda to jak lej po minie. Widocznie trzęsienie zniszczyło część założonych tutaj ładunków.

— Nic dziwnego — odparł Raman, mocując się z jakimś opornym przedmiotem, nie chcącym opuścić skrytki hydrożyra.

— Zgoda, ale kierownicy miotacza mogli uzupełnić te straty, mieli dosyć czasu. Jeżeli tego nie zrobili, widocznie niebardzo im na tym zależało.

Wzięliśmy przyszykowane przez Ramana przyrządy. W udziale przypadło mi dźwiganie torby z narzędziami, którą zawiesiłem u pasa, aby nie krępowała ruchów, oraz zapasowego reflektora o dużej sile. Ares przewiesił przez plecy elektromiot, a zarazem miał czuwać nad zabranym z „Delfina” robotem i jego pracą przy rozwijaniu kabla. Nasze przygotowania do drogi trwały krótko. Raman przez ten czas umocował na pasie kasetę z wykrywaczem i rozłożył długi pręt anteny, zakończony trzema czułkami. Włączyliśmy motorki wmontowane w nasze skafandry i zagłębiliśmy się w szczelinę.

Z początku płynęło się wygodnie — ściany skalne stały w odległości czterech do pięciu metrów od siebie, migocząc w świetle czernią ostrych głazów. Jednak po kilku minutach szczelina zaczęła się gwałtownie zwązać, dochodząc niekiedy do dwóch metrów szerokości. W tych miejscach trzeba było zachować specjalną ostrożność, aby nie wpaść na wystające bloki kamienne mogące spowodować zniszczenie wiezionych przez nas aparatów. Niekiedy mijaliśmy zwisające wzdłuż ścian kable, czasem resztką jakiejś rury szczyrzyła w naszym kierunku swój zębaty wylot. Pomimo trudności poruszania się, woleliśmy tą drogą dotrzeć do ściany miotacza, niż płynąć polem minowym. Nieraz, zagłębiając się w literaturę sprzed dwustu lat, napotkać można opisy rozmaitych sposobów używanych przez ówczesnych ludzi do wzajemnego wyniszczania się. Czasy te noszą na sobie piętno zbrodni, przydatność każdego wynalazku mierzona była przede wszystkim możliwościami użycia go w wojnie. Ludzie ówczesni rozbudowali ten punkt widzenia do rangi systemu, podporządkowując mu gospodarkę swych państw oraz swój aparat naukowy. Ileż trudności sprawiało mi w szkole, a nawet i na uniwersytecie rozumienie ich poczynań, tak sprzecznych z rozumem. Pamiętam, jak jeden z wykładowców starał się nam wytłumaczyć fakt prowadzenia przez zakłady naukowe prac wynalazczych w dziedzinie budowy maszyn do niszczenia ludzi i narzędzi produkcji. Pojęcie „nauka” było w naszych umysłach tak ściśle związane z doskonaleniem życia, że naprawdę trudno było nas przekonać o naukowości sytuacji przeciwnej. Przyjął się zresztą wśród historyków termin „czarna nauka”, określający tę dziedzinę wiedzy.

Woleliśmy zatem męczyć się przy przebywaniu szczeliny, aniżeli narazić się na spotkanie z produktami wynaturzonej myśli ludzkiej. Miotacz był już zresztą niedaleko, jego pionowa ściana wyrosła nagle w blasku reflektorów, odbijając światło swoją szklistą powierzchnią. Siła, która utworzyła pęknięcie gruntu, nie zostawiła na niej widocznych śladów zniszczenia, poza kilkoma szczyrbami i wygięciem rysunku kolumnady przypominającej kamieniołom bazaltu. Widocznie materiał użyty przez budowniczych był dosyć elastyczny i rozciągliwy. Zamykająca nam drogę gładka ściana była jakby wypolerowana precyzyjną maszyną szlifierską. Wyłączyliśmy motory i zaczęliśmy opadać na dno szczeliny. W pewnym momencie obudowa miotacza kończyła się stopą fundamentu, pod którą ział otwór wyrwy. Raman, trzymając daleko wysunięty pręt anteny wykrywacza, ostrożnie w nią wpłynął. Czekaliśmy w milczeniu, aż w słuchawkach zabrzmiał jego głos oznajmiający, że droga jest wolna. Ściana w

tym miejscu nie była gruba — po kilku sekundach znalazłem się po jej drugiej stronie, wewnątrz miotacza. Szczelinę biegnącą dalej w ciemność opuściliśmy natychmiast, wypływając na poziom dna nie różniącego się niczym od opuszczonej przed chwilą doliny. Te same głazy i rumowiska wyłaniały swoje przymglone kontury, ginąc w mroku czarniejszym od sadzy. Płynęliśmy w niedużej odległości od dna, kierując się ku środkowej części miotacza. Raman raz po raz sprawdzał kurs na busoli, Ares doglądał pracy automatu kładącego linię telefoniczną.

Od chwili wpłynięcia do miotacza czułem się nieswojo, jakbym się znalazł w odległych zakamarkach opuszczonej dawno kopalni. Niewidzialny strop zwisający nade mną w odległości czterdziestu metrów wyczuwałem nieomal fizycznie: jego ciężar przytłaczał całą przestrzeń, w której migotały światła naszych reflektorów. Dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, skąd płynie uczucie niepokoju towarzyszące mi od chwili opuszczenia szczeliny. To była ogromna cisza rosnąca pod kloszem hełmu, przerywana jedynie skąpymi rozmowami moich towarzyszy. W słuchawkach nie wibrował już jękliwy ton wwiercający się aż do komórek mózgu. Tutaj na dnie nie było min. Świadomość tego wcale nie uspokajała. Znacznie gorsza była cisza zamknięta tymi dziwnymi konstrukcjami wzniesionymi przez ludzi szukających schronienia na dnie oceanu. Nieraz przecież zwiedzałem stare budowle systemów obronnych skryte we wnętrzu ziemi, chodziłem po zwaliskach betonowych w lasach nadbałtyckich, widziałem szczątki baz wojennych. Nigdzie jednak wśród reliktyw przeszłości nie doświadczyłem uczucia ogarniającego mnie na dnie tej kotliny — uczucia nienawiści do ludzi. Bowiem ta budowla żyła! Było coś potwornego w tych drapieżnych konstrukcjach, dźwięczących w słuchawkach tonami przemyślnie zastawionych pułapek, lub w ciszy kryjącej nieznane niebezpieczeństwo. Życie oduczyło nas nienawiści, kilka pokoleń ludzi szczęśliwych wymazało ją z naszych uczuć jak dźwięk fałszywy psujący harmonię. I oto wracała.

Płynęliśmy dalej w głąb miotacza. Dno opadało niewielkimi tarasami tworzącymi jakby schody amfiteatru. Minęliśmy wielką kolumnę niknącą ponad nami i zaraz potem odkryliśmy „drogę”.

Kilka metrów pod nami leżał wąski pas gładkiej powierzchni przypominający autostradę. Pod wółprzezroczystym budulcem nawierzchni kryły się grube liny przewodów i rur obandażowane zwojami izolacji. W miejscu gdzie padło światło naszych reflektorów, droga zaczęła fluoryzować.

Raman połączył się z „Delfinem”. W słuchawkach usłyszałem spokojny głos profesora Szmidta dającego nam wskazówki. Po chwili płynęliśmy dalej, zostawiając za sobą jarzącą się wstęgę nawierzchni. Według pobieżnych obliczeń byliśmy już w pobliżu środkowej części miotacza. Raz po raz po obu stronach drogi wznosiły się strzeliście kolumny podtrzymujące zapewne niewidoczny strop. W tych miejscach z biegnących pod nawierzchnią kabli odgałęziało się kilka, ginąc w skale. Po paru minutach droga nagle urwała się u stóp zamykającego ją tarasu. Popłynęliśmy w górę. Pierwszy stanął na jego szczycie Ares. Usłyszałem jego cichy, przynaglający nas krzyk.

Z drugiej strony taras zbiegał łagodnym stokiem w ciemność. W jej głębi pałała nika, zielonawa poświata, jakby luna skrytego w nocy, odległego miasta. Zgasiliśmy reflektory. Zjawisko stało się wyraźniejsze, lecz niczego więcej nie mogliśmy dojrzeć prócz słabego brzasku. Po krótkiej naradzie popłynęliśmy w tym kierunku. Światło z każdą minutą stawało się jaskrawsze, rozpościerało się szerszej, kryjąc w swoim wnętrzu jakieś cieniste kontury. Wreszcie po wyminięciu niewielkiego skalistego wzniesienia stanęliśmy na skraju gładkiej płaszczyzny przypominającej duży plac. W jej środku oświetlona lampami stała bryła monstrualnej budowli, ciężkiej, przysadzistej, jakby wtłoczonej w dno ciśnieniem nieruchomych mas wodnych. Pionowe mury załamywały się w górnej części w kuliste, masywne baszty, piramidy, sześciiany wysuwające na wszystkie strony macki ażurowych konstrukcji połączonych liniami obwisłych kabli. Ze środka murów wyrastała olbrzymia, zbudowana ze zrudzia-

łych sztab żelaznych wieża-maszt niknąca w górnych nawarstwiających się pokładach czerni.

Staliśmy w cieniu skały, obserwując tajemniczy fort. Raman nadał komunikat i uzgadniał ze Szmidtem i Juwarem jakieś dane, kreśląc linie na swojej mapie. Korzystając z osłony rumowisk, podeszliśmy z Aresem aż do początku placu. Od fortu dzieliła nas niewielka odległość przestrzeni gładkiej i pustej, silnie oświetlonej. Kątem oka dostrzegłem, że mój towarzysz przesunął elektromiot na tarczę piersiową skafandra.

— To jest chyba wejście — wskazałem na rysujący się w ścianie budowli ledwo widoczny kontur w kształcie elipsy.

— Możliwe — odparł Ares — lecz musi tutaj być jakieś znacznie większe wejście. Ci ludzie utrzymują albo utrzymywali komunikację z powierzchnią oceanu, powinien więc być wjazd do portu lub coś podobnego.

— Ale jak się tam dostaniemy?

— Wpierw będziemy się starali nawiązać z nimi kontakt — usłyszałem głos Ramana — dopiero gdy to nie da rezultatu, znajdziemy sposób wejścia. Stan fortu pozwala przypuszczać, że jednak żyją w nim ludzie, którzy muszą się liczyć z naszym przyjściem i odkryciem ich siedziby.

Przyznałem mu rację, chociaż nie bardzo wierzyłem w możliwość porozumienia się z mieszkańcami fortu. Pola minowe, miotacz o tajemniczym przeznaczeniu, krycie się w głębiach Pacyfiku — wszystko to przemawiało przeciw nim. Czy nie przywitają nas wybuchem miny lub innym narzędziem śmierci? Przecież nie mogli wiedzieć, że w wysłanym z „Delfina” automacie nie znajduje się człowiek, a jednak nie zawahali się go zniszczyć.

W milczeniu wkroczyłem z nurkami na oświetloną przestrzeń placu. Mury fortu wznosiły się przed nami wysokie i gładkie. Z rzadka tylko widoczne były na nich kolonie wodorostów martwo nieruchomych, jakby żadne prądy nie krążyły pod stropem miotacza. Fort był rozleglejszy, niż się to początkowo wydawało. Wędrówka wzdłuż jego ścian trwała chyba kwadrans, a przebyliśmy zaledwie połowę drogi, nie znajdując jeszcze głównego wejścia. Pomimo że wcale nie ukrywaliśmy swej obecności, nic nie wskazywało, że mieszkańcy budowli nas dostrzegli. Fort miał kształt sześciokąta. Za każdym razem, gdy docieraliśmy do nowego zakrętu, wydawało mi się, że za narożnikiem spotka nas coś niezwykłego — jednak znowu rozpościerała się pusta przestrzeń placu zamknięta prostopadłą ścianą muru i czaszą ciemności. W końcu stanęliśmy z powrotem w miejscu wymarszu. Nie pozostało nic innego, jak przebadać górne kondygnacje murów, ponieważ dostrzeżony przeze mnie wjazd okazał się pustą wnęką. Włączyliśmy motory i pchani strumieniem wody z dysz poczęliśmy się wznosić. Poszukiwania dały prawie natychmiastowy rezultat. Wśród potężnych baszt znajdowała się sporych rozmiarów rynna przypominająca doki stoczniowe. Jej koniec zamykało kolisko wrót pancernych pokryte grubą warstwą obłazającej płatami rdzy. Z boku widniało wiele mniejszych wjazdów prowadzących zapewne do słuz wejściowych przeznaczonych dla ludzi.

— Cóż zrobimy teraz — zapytałem odjąwszy od oka kamerę filmową. — Jakoś nikt się nie kwapi z zaproszeniem nas do środka.

Raman uśmiechnął się. Jego twarz była pogodna, taka jaką miał zwykle w Tahimorze.

— Zapukamy do drzwi — odparł, podchodząc do płyty pancernej dużego wjazdu. — Halo, Ares! Podejdz z automatem! — zwrócił się do nurka oglądającego uważnie mur przy mniejszych wejściach.

Ares pociągnął za kabel robota, który posłusznie za nim popłynął.

— Wiesz, Raman, znalazłem obok wjazdów maszynierię otwierającą, elektryczną i awaryjną. W razie czego możemy próbować wejścia do fortu drogą normalną.

— Dobrze. Teraz każ robotowi wyciągnąć mały młot.

Cofnąłem się o kilkanaście kroków na tarasy doku i przygotowałem aparat do zdjęć. Raman stał we wnęce olbrzymich drzwi wjazdu głównego, podobny do srebrzystego owada na tle zrudziałej łąki. Dopiero w tym zestawieniu można było ocenić należycie ich rozmiary.

Miały około 20 metrów średnicy, co pozwalało na przyjmowanie statków o dosyć dużej wyporności. Raman zbliżył się do stalowych płyt, przyłożył do ich powierzchni niewielki aparacik połączony z hełmem nitką przewodu.

— Słyszać coś w środku? — zapytałem.

— Zupełnie głucho. Ares, niech automat uderzy kilka razy!

Przez okienko kamery widziałem, jak robot podpełznął do drzwi i jego ramię kilka razy opadło na stalowe blachy. Z płyty posypały się chmury pyłu i piaty rdzy, przesłaniając na chwilę widok. Odczekaliśmy minutę, po czym robot ponowił serię uderzeń. Raman przyłożył aparacik do drzwi.

— Nic nie słyszać — stwierdził. — Chodźmy do włazów osobowych.

Włazy były niewielkich rozmiarów, mogły się przez nie przecisnąć równocześnie co najwyżej dwie osoby. W ścianie wnęki spostrzegłem tabliczkę z kluczem wyłącznika oraz masywne koło metalowe z wystającym uchwytem. Urządzenia te pokrywała warstwa wodorostów — widocznie od dawna nie były w użyciu. Strumień wody wypuszczony z pompy automatu oczyścił tabliczkę z narośli, aż błysnęła bielą jakiejś masy. Nurkowie pochyłili głowy, pilnie przyglądając się znakom wyrytym na jej powierzchni. W końcu Raman z wysiłkiem przekręcił klucz wyłącznika. Drzwi nie drgnęły.

— Musi mieć zepsute obwody — stwierdził Ares, sięgając do rączki umieszczonego poniżej koła. — Spróbuję urządzenia awaryjnego.

— Chcecie otworzyć właz? — zapytałem zaniepokojony.

Raman skinął potakująco głową.

— A jeżeli śluza jest z drugiej strony otwarta? Przecież woda może wedrzeć się do fortu! — dodałem.

— Nie sędzę. Znam to urządzenie ze studiów budownictwa podwodnego. Już przed dwoma wiekami najbardziej prymitywne śluzy budowano na zasadzie obustronnego działania. Otwarcie włazu zewnętrznego powoduje wcześniejsze zawarcie się płyt wewnętrznych komory. Zresztą zrobimy to ostrożnie, a w razie niespodziewanego defektu maszynerii, zatamponujemy wejście lodem. Nasz automat potrzebuje na to zaledwie kilku sekund.

Patrzyłem, jak Ares bezskutecznie usiłuje poruszyć koło. Jego twarz pod hełmem pokryła się drobnymi kropelkami potu, na skroniach wystąpiły żyły.

— Weź robota — powiedział sucho Raman.

Jedno z mechanicznych ramion automatu zawarło swoje kleszcze na kole, pozostałe uchwyciły obudowę włazu. Ares przesunął dźwignię. Człony ramion drgnęły, wyprężyły się w wysiłku, jakby wahając się przez moment. Minęło kilka sekund, zanim koło zaczęło się powoli obracać. Patrzyłem, jak stalowa płyta unosi się opornie, ukazując u spodu ciemny otwór, przez który gwałtownie do wnętrza zaczyna wpadać pył niesiony wodnym strumieniem. Raman położył się przy progu i skierował do środka komory światło reflektora.

— Wszystko w porządku — powiedział wstając.

Jeszcze kilka chwil i płyta zniknęła w murze.

Ares odczepił automat i wejście stanęło otworem.

— Profesorze! Podnieśliśmy jeden z włazów i wchodzimy do środka — usłyszałem w słuchawkach rozmowę Ramana ze Szmidem. — Kabel przeciągniemy do fortu. Gdyby się połączenie przerwało, wyślijcie za cztery godziny pomoc.

— Dobrze. Starajcie się spowodować wyłączenie miotacza i sieci min elektrycznych.

Z roztargnieniem słuchałem dalszego ciągu rozmowy — suchej, rzeczowej, dotyczącej postępów prac w kotlinie i szczegółów przebytej przez nas drogi. Tam za pancerną płytą było tajemnicze wnętrze fortu, puste lub kryjące zagadkowych mieszkańców, ludzi zdolnych do wszystkiego. Kim są, dlaczego tak długo kryją się w głębinach, czy utrzymują łączność z lądem? Byli zapewne potomkami tak zwanych uciekinierów. Wiem, że niektórzy z nich opuścili Ziemię na jednym ze sztucznych księżyców, ci widocznie woleli schronić się wśród

wód nie dowierając przestrzeniom międzyplanetarnym.

Ares wraz z automatem przeciągał linię kabla przez wypalony w stalowym progu otwór, tamponując brzegi masą plastyczną. Razem z Ramanem weszliśmy do wnętrza śluzy. Była niewielka. Sklepienie ze stalowych żebrowań upstrzonych szwami nitów zwisało nisko nad hełmami, potęgując wrażenie ciasnoty. Raman z Aresem sprawdzali urządzenia śluzy. Znajdowały się w stanie używalności pomimo dużych zniszczeń spowodowanych przez rdzę i wilgoć. Pompy były oczywiście nieczynne. Areś przystawił robota pod drzwi wiodące do fortu. Jego mechaniczne ramię wczepiło się w koło otwierające i posłusznie zaczęło je obracać. Płyta wjazdu opadała powoli, odcinając nas od reszty podmorskiego świata. Gdy za nami drzwi śluzy zawarły się, stalowa ściana zamykająca nam drogę drgnęła i ciągnięta przez niewidzialne tryby i dźwignie ruszyła wzdłuż swego łożyska. Z ciekawością patrzyłem, jak woda w komorze opada, wpływając do wnętrza fortu przez powiększający się jasny otwór.

XI

FORT (II)

Oświetlona sala o niskim sklepieniu ciągnęła się wzdłuż włazów. Zakończeniem jej były drzwi, małe, wpółuchylone, za którymi błyszczała tafla wody. Rozglądaliśmy się przez chwilę. Na podłodze leżały w nieładzie części starych skafandrów: hełmy podobne do wielkich, czarnych bani, małe, okrągłe szybki okienek, zwoje węży gumowych, sterty zbutwiałych szmat. Rozchylone drzwi aluminiowych szaf pokazywały swoją zawartość ginącą w cieniu głębokich wnętrzy. Całość, sprawiała wrażenie przygnębiające, jakby przed laty przeszedł tędy kataklizm, zostawiając po sobie rozbite, bezużyteczne skorupy. Zdjęliśmy ciężące nam skafandry. Powietrze było duszne, przesycone wonią zgnilizny i pleśni — wdychałem je z obrzydzeniem, żałując aparatu tlenowego, który musiałem pozostawić w hełmie. Raman połączył się z „Delfinem” i po krótkiej rozmowie ruszyliśmy w głąb fortu.

Uchylone drzwi prowadziły do doku wypełnionego wodą, w której leżało długie wrzeciono podwodnego okrętu. Stanęliśmy przy balustradzie biegnącej dookoła basenu. Włazy statku były odrzucone, pusty pokład szczyrył w kierunku wrót wielkiej śluzy czarne lufy dział. Nad otworem luku zwieszały się liny i haki rozpiętego ponad dokiem dźwigu.

— Spójrzcie na wieżę dowodzenia — powiedział Areś, prowadząc za sobą robota — ten okręt nie mógł wypłynąć!

Blachy górnej części wieży były wygięte i postrzępione, jakby nastąpiła w jej wnętrzu eksplozja. Dopiero idąc dalej wzdłuż nadbrzeża odsłoniła się przed nami wyrwa w ścianie nadbudówką przez którą widać było poskręcane pęki rur i kabli.

Od chwili wejścia do fortu nie wypuszczałem z rąk mojego aparatu filmowego, starając się utrwalić wszystkie szczegóły otoczenia. Wybuch na okręcie zainteresował mnie, lecz nurkowie minęli już kładkę trapu łączącego nadbrzeże z pokładem, dążąc szybko w kierunku wyjścia z portu. Po krótkim wahaniu podążyłem za nimi, postanawiając odwiedzić okręt w drodze powrotnej. Z portu rozgałęziało się kilka korytarzy rozmaitej wielkości. Część z nich miała zapewne znaczenie gospodarcze, bowiem środkiem wiodły szyny kolejki wąskotorowej, a ściany były porysowane i odarte z tynku. Weszliśmy w jeden z korytarzy, większy i staranniej wykończony, biegnący ku środkowej części fortu. Minęliśmy grodzie wodoszczelne i w ścianach tunelu ukazały się rozmieszczone w symetrycznych odstępach drzwi. Areś pchnął jedno z nich — poddały się z pewnym oporem. Staliśmy w progu niewielkiego, skromnie umeblowanego pokoju. Łóżko żelazne z rozrzuconą, szerniałą pościelą, stolik z anty-

cznym telefonem, wywrócone krzesło. Wtem wzrok mój napotkał coś długiego, wystającego zza drzwi tuż przy podłodze. Przeszedł mnie dreszcz — to była ręka ludzka. Wyschnięta, oblepiona pergaminem skóry sterczała jak kawał drewna, zaciskając w kikucie dłoni pistolet. Weszliśmy do środka. Trup siedział oparty o drzwi ze zwieszoną na bark głową, podobny wyglądem do mumii egipskiej.

— Zastrzelił się — stwierdził Raman, oglądając niewielki otwór w czaszce.

— Ale dlaczego? — odezwałem się, czując nagłą suchość w gardle. — Co go mogło skłonić do tak szalonego kroku? — Zamilkłem, rozumiejąc całą bezsensowność tych pytań, na które nikt mi nie mógł udzielić odpowiedzi.

— Chodźmy dalej — powiedział Raman — szkoda czasu. Wpierw musimy dotrzeć do jakiejś centrali, wyłączyć miotacz i pola minowe, a potem będziemy się rozglądać. Zresztą niech się nad tym zastanawiają instytuty historii. Na pewno zaraz wyślą tutaj kilka wypraw.

— Sądzisz, że fort jest całkowicie niezamieszkały?

— Tak. Ci co tu żyli, uciekli albo dawno wymarli.

Korytarz kończył się kręconymi schodami prowadzącymi w dół. Z boku widniały drzwiczki nieczynnej windy. Zaczęliśmy schodzić. Po przejściu trzydziestu stopni weszliśmy do dużej, okrągłej sali, spełniającej rolę wewnętrznego dziedzińca. Zbiegały się tutaj wyloty sześciu tuneli oznaczone wymalowanymi na murze cyframi. Dookoła ścian wspinała się krętą spiralą galeria dochodząca aż do drugiej, ostatniej kondygnacji. Na podłodze, tak jak i w porcie, leżały rozmaite przedmioty porzucone przez mieszkańców budowli.

Niezdecydowani krążyliśmy po sali, odczytując napisy umieszczone u wylotów tuneli. Przy trzecim na tabliczce widniał wygrawerowany wyraz *Commando*. Poszliśmy w tym kierunku. Po bokach rozgałęziały się liczne korytarze pełne drzwi i wnęk, czasem mijaliśmy leżące na podłodze zwłoki ludzkie, skurczone, zmalęte, robiące wrażenie pustych worków. Im głębiej wchodziliśmy w tunel, tym więcej napotykaliliśmy trupów zastygłych w nienaturalnych pozach wzdłuż ścian. Po kilku minutach marszu dotarliśmy do końca korytarza. Zamykały go drzwi wahadłowe. Pchnąłem je i wydałem okrzyk grozy. Stałem w progu sali-grobowca. Na marmurowych płytach posadzki leżały setki ciał ludzkich szepionych w walce o dopchanie się do drzwi widniejących w przeciwległej ścianie. Przy samym murze trupy leżały jedne na drugich, potworne kłębowisko kościstych badyli obleczonych w brunatne szmaty mundurów, ubrań i sukien. Widocznie ludzie ci, pędzeni obląkańczą trwogą, tłoczyli się, padali, deptali po sobie, chcąc dotrzeć do drzwi, pod którymi dosięgnęła ich śmierć. Po chwili zauważyłem, że między trupami biegnie jakby ścieżka, ktoś widocznie odsunął zwłoki, torując sobie drogę. Pokazałem ją towarzyszom.

— To wszystko jest bardzo dziwne — mruzczał Ares, rozglądając się po sali. — Wiesz, redaktorze, oni nie zostali zastrzeleni, nie widzę żadnych śladów.

— Może ich otruto — powiedziałem, ścisząc mimowolnie głos. — Spójrzcie, poważnie przyciskają ręce do brzucha.

Raman milczał, wodząc zaszepionym wzrokiem po sali.

— Mnie się to wszystko nie podoba — powiedział nagle tak, jakby chciał odpędzić jakieś natarczywe myśli. — No, po prostu nie wiem, jak można było... — urwał i machnął ręką. — Chodźmy dalej!

Drzwi okazały się pancerną płytą pokrytą fornirem. Widocznie władcy fortu w pełni dbali o swoje bezpieczeństwo. Drzwi były uchylone — po śmierci tych ludzi otwarto je. Za nimi znajdował się przedsionek prowadzący do dużego, luksusowo umeblowanego pokoju. I tutaj były trupy. Siedziały w dziewięciu głębokich, wybitych skórą fotelach wśród starych, rzeźbionych mebli: jedne nienaturalnie sztywne z odrzuconymi w tył głowami, inne przewieszane bezwładnie przez wyściełane poręcze. W głębi, za szerokim biurkiem, wpołleżąc na jego płycie zastygła jakaś postać. Z mojego miejsca widziałem tylko małą, obciążoną skórą czaszkę wsuniętą głęboko w ramiona i złotem błyszczące dystynkcje.

— Musimy znaleźć plany fortu — powiedział Raman, podchodząc do biurka.

Zaczęliśmy przeglądać poźółkłe papiery. Szafy nie zawierały nic ciekawego: książki, butelki o barwnych etykietach i przedmioty codziennego użytku zapełniały wszystkie półki. Zniechęcony rezultatami poszukiwań rozglądałem się dookoła, czekając aż nurkowie zakończą swą pracę, gdy uwagę moją zwróciła ledwo dostrzegalna wypukłość ściany w narożniku pokoju. Zaciekawiony podszedłem bliżej. Wypukłość zniknęła, zatarła się wśród gładkich płyt marmurowych tworzących rodzaj płaskiej kolumny sięgającej do sufitu. Dopiero po szczegółowym zbadaniu ściany odkryłem małe, dobrze zamaskowane drzwiczki. Widocznie przypadkowo natrafiłem na tajny szafes dowódcy fortu. Przywołałem nurków. Po chwili fioletowy płomień z ramienia automatu zagłębił się w metal, pryskając raz po raz rojem iskier.

Po kilku minutach w drzwiach widniał ciemny otwór o chropawych, spalonych brzegach. Ares zagłębił w nim jakieś narzędzie, w środku zgrzytnęło, jakby pękła sprężyna, i płyta odskoczyła.

Półki szafy pancерnej wypełniały nieduże, lecz ciężkie woreczki pękato czymś wypchane. Raman rozciął jeden z nich. Z wnętrza posypały się pieniądze wyrobione ze złota.

— Wprost nie można uwierzyć — Raman podrzucił na dłoni kilka krążków — że pewna ich ilość oznaczała fabrykę, dom lub maszyny. Ludzie prowadzili wojny między sobą, żeby posiadać nieco tego metalu.

— Wyobrażam sobie zdziwienie dowódcy fortu, gdyby mógł dzisiaj zajrzeć do instytutu chemii jądrowej — powiedziałem, obracając w palcach pieniądz z wyciśniętym starym napisem. — Sądzę, że byłoby to dla niego najstraszniejszym przeżyciem: chemik zrobiłby na jego oczach w retorcie całą bryłę tego metalu.

Ares zdjął z najwyższej półki jakieś teczki i przeglądał je uważnie. Były tam pliki papierów barwnie zadrukowanych, zwanych przez dawnych ludzi akcjami. Ares wrzucał je pospiesznie wraz z teczkami w głąb szafy.

— Mam plany — powiedział nagle, otworzywszy jedną z nich, grubszą, oznaczoną czerwonym znakiem.

Rysunków było dużo. Różnokolorowymi liniami i punktami zaznaczono na nich przewody elektryczne, wodociągowe i klimatyzacyjne, stacje kontrolne i transformatory, sieć telefoniczną i telewizyjną. Nie mogąc pomóc nurkom patrzyłem, jak wodzą palcami wzdłuż linii, przerzucają plany i odnajdują ich dalszy ciąg w poszukiwaniu drogi do serca fortu — stosów atomowych. Okazało się, że budowla posiada jeszcze jeden poziom, najniższy, oznaczony nazwą laboratorium A. Tam znajdowało się źródło energii i centrala kierująca miotaczem — w tym miejscu na planie zbiegały się promieniście główne kable, tworząc jakby pajęczynę połączeń. Wejście wiodło pochylnią z tunelu czwartego lub małym szybem znajdującym się w dalszych pomieszczeniach dowództwa. Było także laboratorium B, znacznie mniejsze od poprzedniego, znajdujące się także w tunelu czwartym tuż obok sali, którą w myślach nazywałem grobowcem. Dochodziła tam zwykła sieć uzbrojeń i na rysunku nie zaznaczono nic szczególnego. Poszliśmy w głąb pomieszczeń dowództwa w stronę zejścia do laboratorium A, pozostawiając za sobą gabinet z upiorną naradą trupów. Korytarz biegł między szeregiem drzwi wiodących do central telefonicznych i pokojów sztabów, minęliśmy arsenał wypełniony zardzewiałym żelastwem i wreszcie zaczęliśmy przed nami otwór szybu wiodącego na czwarty poziom. Schodziliśmy jeden za drugim po metalowej drabince, wyprzedzani przez automat. Szyb kończył się korytarzem o spękanych jakby pod wpływem wysokiej temperatury ścianach wychodzącym na wąską galerię zawieszoną dookoła olbrzymiej hali. W dole pod nami wznosiły się wieżycy maszyn, metalowe budowle o powykręcanych członach rur niknących w płytach posadzki. Jak dojrzałe winne grona wisały pęki izolatorów błyszczących bielą porcelany, wózki transportowe pomniejszone odległością tkwiły nieruchomo na krzyżujących się liniach szyn. Wąską spiralą schodów zeszliśmy w dół. Otaczające mnie maszyny miały znajome kształty, podobne widziałem w muzeum urządzeń

atomowych na Kubie i na wykładach telewizyjnych. W hali panowała cisza maćona jedynie echem naszych kroków i brzęczeniem pełznącego za Aresem robota.

— Ależ budowali ci ludzie — mówił Raman, przyspieszając kroku — wydaje się, że mieli wręcz kult rzeczy ciężkich i niezgrabnych. Spójrzcie na ten cyklotron — wskazał mijaną właśnie przysadzistą bryłę — nic lekkości, wszystko grube, wrosłe w obudowę, która wprost dławi maszynę.

— Musieli się dostosować do znanych im materiałów — odparł Ares, wzruszając ramionami. — Cóż byś zrobił, znając jedynie beton lub ołów jako substancje pochłaniające promieniowanie i w dodatku łatwe do otrzymania.

— A więc tylko budulec decyduje o kształcie? — zapytałem.

— I funkcja, którą ma do spełnienia obiekt — dodał Ares.

Nie mogłem się z tym zgodzić. Mijane pospiesznie reaktory, cyklotrony, synchrotrony, cała ta różnorodna bateria atomowa, do najmniejszej śrubki, nosi kształt myśli ludzkiej szukającej rozwiązania w kierunku odpowiadającym pojęciom i doświadczeniom twórcy. Dlatego kształt się zmienia, chociaż może nie zmienić się spełniana funkcja. Przy jakiegokolwiek budowie istnieje wiele rozwiązań: budowniczy wybierze z nich to, które łączy się w jego pojęciach, często nawet podświadomych, z kształtem piękna, z liniami odpowiadającymi jego potrzebom estetycznym.

Zbliżaliśmy się do stojącej w pośrodku hali oszklonej klatki nastawni. Przez szyby widać było rzędy tablic rozdzielczych, zegary, wyłączniki. W chwili gdy wchodziłem na pierwszy stopień schodów, odniosłem wrażenie, jakby podłogę przeszedł ledwo wyczuwalny dreszcz.

— Zauważyliście? — zapytałem nurków stojących już u progu nastawni.

— Co takiego? — zainteresował się Raman.

— Czuję jakby drżenie betonu.

— Drżenie? — Raman zeszedł ze stopni i stanął obok mnie. Jednak zjawisko się nie powtórzyło.

— Zdawało się panu, zresztą może któraś z maszyn obsługujących stopy włączyła się na moment. Przecież cała sieć energetyczna działa.

Weszliśmy do nastawni. Już z daleka przy stole kierowniczym dostrzegłem jakąś postać siedzącą sztywno w fotelu. Skierowaliśmy się w tę stronę. W tym momencie w aparacie niesionym przez Ramana odezwał się sygnał. Nurek przycisnął słuchawkę do ucha. Stojąc już przy pokrytym zegarami pulpicie spojrzałem z zaciekawioną. W miarę trwania rozmowy twarz Ramana gwałtownie poszarzała, rozejrzał się nerwowo, jakby czegoś szukając w głębi hali.

— Co takiego?

— Uciekamy z fortu! — odkrzyknął jakimś nie-swoim głosem, odpinając w pośpiechu aparat — Ares, zostaw robota! Biegiem do słuz wyjściowych!

Przez moment stałem zaskoczony, otepiały, nie rozumiejąc polecenia. Raman z Aresem już biegli w stronę wyjścia, odrzucając po drodze obciążające ich narzędzia i aparaty. Z kamerą filmową w ręce spojrzałem dookoła, nie zdolny przez kilka sekund do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Wzrok mój napotkał suchą, obojętną twarz trupa siedzącego sztywno w fotelu, zegary, ekrany... Nurkowie już byli w drzwiach. Dostrzegłem zwróconą w moim kierunku twarz Ramana, raczej zobaczyłem niż usłyszałem, że woła mnie. Drgnąłem i bez zastanowienia rzuciłem się w kierunku wyjścia.

Byłem już kilka kroków za nastawnią, gdy Ares odwrócił się, dając mi gwałtowne znaki ręką.

— Reflektor! Zabierz reflektor! — dobiegł mnie jego głos.

Zawahałem się, lecz zawróciłem w miejscu. Reflektor stał na schodach. Podbiegłem do niego. Ta drobna chwila pozwoliła mi na zorientowanie się w sytuacji. W nastawni brzęczały szyby, cicho, delikatnie, a jednak donośnie. W myślach stanął mi obraz szczeliny, którą

dostaliśmy się do miotacza, skały rozdarte ogromną siłą, wystrzępione bloki o krawędziach ostrych jak skalpel.

Biegając wzdłuż rzędu maszyn, czułem pod stopami dygotanie posadzki, potworne, głębokie, mające swoje źródło wszędzie — w ziemi i w stropie, w stalowych konstrukcjach i we mnie. Serce biło mi w piersi jak oszalałe, podchodziło do gardła, utrudniając oddech, zamiast nóg miałem jakieś automaty mechaniczne wybijające takt na gładkich płytach podłogi. Drżenie ziemi trwało jakiś ułamek sekundy, który wydał mi się okresem nieskończenie długim. Spocony dopadłem nurków czekających u wylotu głównej sztolni wiodącej na trzeci poziom. Pobiegliśmy dalej. W ciszy panującej w korytarzu słychać było tylko gwałtowny tupot nóg budzący wśród ścian głębokie echa. Starłem się wyrównać oddech i tempo biegu. Wydłużyłem krok. Wpadliśmy właśnie na poziomy korytarz, gdy mury znowu zadrzały — z głębi fortu dobyło się głuche stęknienie, jakby zajęczały mury, i zgasły światła. Otoczyły nas nieprzeniknione ciemności. Drżącą ręką włączyłem reflektor i wepchnąłem go w wyciągniętą dłoń Ramana. Biegliśmy dalej niekończącym się korytarzem. Aparat filmowy zawieszony na szyi boleśnie tłukł mnie w pierś, jednak nie zważałem na to. Z ulgą stwierdziłem, że oddycham już równo, głęboko, jak na bieżni stadionu. Po obu stronach tunelu, w kręgu światła ukazywały się mroczne wnęki drzwi, żeby po chwili zapaść znowu w ciemność. W pewnym momencie przed nami coś załśniło matowo. Stała tam maszyna tarasująca dalszą drogę. Musieliśmy stanąć. Z boku czerniło się otwarte wejście do którejś z sal.

— Może już przeszło — wychrypiałem, pomagając Aresowi przejść przez przeszkodę. — Takie wstrząsy trwają niedługo.

— To wulkan, człowieku! — krzyknął Raman. — Stoimy na budzącym się wulkanie. Mamy pół godziny na wyjście z krateru!

Przeszedł mnie dreszcz. Znałem dobrze dokładność, z jaką uczeni potrafią określić moment wybuchu. Nie mieliśmy chwili czasu do stracenia. Stawiałem nogę na występie maszyny, gdy przypadkowo smuga światła wpadła przez otwarte drzwi do wnętrza sali. Równocześnie skierowaliśmy tam wzrok. W szklanych gablotach, na półkach i stołach stały rzędy próbek, pękatek kloszy, bani, kolb różnej wielkości. Z niektórych, rozbitych wstrząsami, spływały gęste cieczki, tworząc wśród skorup na podłodze kałuże. We wnętrzach pozostałych mieniły się w świetle kolorowe płyny, pięły się jakieś pleśnie, masy gąbczaste wzdęte pęcherzami fermentacji. Większość szkieł oznaczona była symbolem śmierci.

— Raman, to bakterie! — wykrztusiłem z trudem. I nagle poraził mnie jakby błysk olśnienia, paraliżujący w jednej chwili mózg: oni przez TO umarli!

— Przechodź wreszcie, przechodź! — krzyknął Raman ze złością, kierując reflektor na maszynę. — Szybko! Podaj rękę!

Pędziliśmy przez korytarze. Jakoś urywkowo dostrzegłem salę podwórzową z wyłaniającymi się otworami tuneli. Wpadliśmy na schody głucho dudniące w narastającej ciszy. Znowu korytarz, długi, wiodący do portu. Przyspieszyliśmy tempo biegu. Nie czułem zmęczenia, czułem za sobą upiorną czerń korytarza ścigającą mnie, przypiętą do stóp, kładącą się lepko na plecach mackami kultur bakteryjnych z laboratorium B. Cmentarzysko w tym przeklętym forcie, mumie przyciskające ręce do brzucha, wszystko to wzięło swój początek ze szklanych próbek pełnych śmiertcionośnych prątków i wirusów. Oddychaliśmy przecież tą atmosferą, przez kilka godzin organizm nasz chłonał w siebie zatrute powietrze sal i korytarzy. Na myśl o tym oblewał mnie zimny pot, czułem, że szczęki zaczynają mi drżeć.

Wpadliśmy na nadbrzeże. Ogromny cień okrętu przesuwiał się powoli po ścianach doku. Z trudem łapiąc oddech stanęliśmy w sali śluz. Zacząłem naciągać skafander, niezdarnie, wykonując szereg niepotrzebnych ruchów. Ares zamknął mi hełm, włączyłem aparat tlenowy.

— Gotowe? — usłyszałem w słuchawkach głos Ramana.

— Gotowe!

Weszliśmy pospiesznie do komory i w trójkę chwyciliśmy korbę awaryjną. Drgnęła.

Płyta zaczęła powoli opadać, odcinając nas od tuneli, sal, laboratoriów, całego koszmaru tej budowli ohydnej, nieludzkiej.

XII

UCIECZKA

Nie ma chyba nic przykrzejszego nad przymus życia na kilku metrach kwadratowych. Człowiekowi wydaje się wówczas, że przebywa w klatce: meble, dawniej miłe, dobrane według upodobań, stają się wstrętne, ściany, których się zwykle nie zauważa, nabierają cech osobowości o szczególnie złośliwym charakterze. W młodości dziwiłem się ludziom spędzającym większość życia w jakimś pomieszczeniu. Robili na mnie wrażenie odrębnego gatunku człowieka o atawistycznych skłonnościach, małży zamkniętych nieraz w pięknych, lecz jakże ograniczających swobodę skorupach. Kiedyś jeszcze jako student z ciekawości zapytałem pewnego przedstawiciela takiego właśnie typu ludzi, jak może pracować w takich warunkach. A trzeba dodać, że osobnik ten nigdy nie opuszczał nie tylko mieszkania, lecz nawet swojego gabinetu. Odpowiedział, zresztą nie bez ironii, że często przebywa poza domem, z tą tylko różnicą, że myślami. Wiadomość tę próbuję wykorzystać teraz, znajdując się już trzeci dzień na obserwacji w jednej z kabin izolacyjnych „Delfina”. Staram się czytać, słucham audycji telewizyjnych, rozmawiam przez aparat z przyjaciółmi, skupiam uwagę na jakimś problemie. Na próżno. Ściany kabiny działają rozpraszająco, wprost przytłaczają swoją bliskością każdą myśl, oprócz jednej, którą według wskazań lekarzy powinienem wymazać z pamięci. Dlatego nudzę się potwornie i męczę zarazem. Co dwie godziny przychodzą do mnie zamaskowani lekarze, opukują, badają, prześwietlają, biorą krew do analizy... Poza tym nuda. Ich pocieszenia, że już niedługo odzyskam wolność i że Ares przebywający w sąsiedztwie lepiej znosi szpitalną niewolę, niewiele mi pomagają. Zresztą rozmowy na wizytach ograniczają się poważnie do suchych pytań i takich samych odpowiedzi.

W pierwszych dwóch dniach siedziałem często przy telewizorze, gawędząc o dawnych podróżach, dzisiaj leżę już od rana na szpitalnej kanapce i czekam, aż będę mógł opuścić kabinę. Za dwie godziny po ostatecznym zbadaniu odzyskam wolność. Będę mógł wyjść na pokład, odetchnąć świeżym, morskim powietrzem i spojrzeć znowu na bezkresny ocean, będę mógł przywitać się z towarzyszami i uściśnąć rękę człowieka, który nam uratował życie.

Chociaż się nudzę, odpędzam, jak mogę, wspomnienia ostatnich chwil spędzonych na dnie oceanu.

Według wskazówek lekarzy powinienem myśleć raczej o rzeczach błahych, wesołych, co ma podobno dobrze wpływać na zdrowie psychiczne. Pamięć ma jednak też swoje prawa, a o stan moich nerwów jestem zupełnie spokojny, zresztą odczuwam nieprzewyciężoną pokusę powrotu do niedalekiej przeszłości, zanim czas zatrze siłę wrażeń na rzecz mdłego wspomnienia. Gdy tylko przymknę powieki, widzę fort, widzę ciemność, która nas otoczyła po wyjściu ze śluzy, czuję znowu bicie serca walącego w żebra po dzikim biegu przez tunele i korytarze. Płynęliśmy z maksymalną szybkością, na jaką stać było nasze niewielkie silniki. Drogi nie skracałiśmy w obawie zabłądzenia — wokół woda była mętna, zanieczyszczona gęstą zawiesiną pyłu, przez którą światło naszych reflektorów przedzierało się opornie jak przez mgłę. Raman prowadził, sprawdzając często kierunek na busoli. Pomimo to trzymaliśmy się blisko dna, nie ufając samym pomiarom. Każde zboczenie musiałyby spowodować stratę kilku cennych minut, których i tak było zbyt mało na wydostanie się z krateru. Pozostawało ich niecałych osiemnaście, a jeszcze nie znaleźliśmy się na świetlistej drodze.

Wskazówka sekundnika szybko obiegała tarczę, jakby się jej specjalnie spieszyło do ostatecznej mety wyznaczonej fosforyzującą kreską. Gdzie dosięgnie nas śmierć? W myślach przeprowadziłem błyskawiczny rachunek. Pięć minut potrzeba na przepłynięcie świetlistą drogą, potem siedem do szczeliny, to już dwanaście, cztery na dotarcie do hydrożyra, minuta na wsiadanie... A więc TO nastąpi kilkadziesiąt metrów ponad dnem. Dziwna, nieznana przygoda, unicestwiająca nadzwyczajną formę materii, jaką jest człowiek. W jednym momencie zniszczone zostaną zespoły komórek tworzące mozaiki godne mistrza, znikną na zawsze impulsy prądów, błyskawicznie przebiegające głębiny mózgu i tak dziwnie wyglądające na ekranach urządzeń szpitalnych. TO nastąpić musi nieodwołalnie za kilkanaście minut.

Gdy raz wpadłem na wywiad do Neapolu, widziałem jeden z mniejszych wybuchów Wezuwiusza. Uczony, w którego towarzystwie przebywałem, wydał na ten widok wargi mrużąc: „Staruszkowi już sił brakuje”. A jednak wybuch był potężny — wyrzucił tysiące ton materii w przeciagu kilku minut.. Pamiętam jak nocą, stojąc na tarasach miasta, podziwiałem karminowy brzask nad kraterem i rzekę dymu gaszącą gwiazdy na prześwieconym granacie nieba. Dzisiaj miałem się sam znaleźć w potoku lawy i głazów wyrzuconych na powierzchnię wód siłami Ziemi — ja, martwe, drgające jeszcze ciało, ugotowane w srebrnym kokonie skafandra.

Byliśmy nad drogą. Naciskałem co chwila przyspieszacz, trzymając stale motor na maksymalnej szybkości jazdy. Czułem, jak przez pancerz przebiegają drgania, jak silnik dławi się z wysiłku, wyrzucając z dyszy strumień wody.

— Zakręcamy — zatrzeszczał głos w słuchawce.

Przerzuciłem gałkę na piersiowej tarczy skafandra. Od szczeliny w murze miotacza dzieliło nas już tylko kilka minut drogi. Zmusiłem się, żeby nie spojrzeć na zegarek — przecież to i tak wszystko jedno. Serce poczęło znowu bić gwałtownie, oczy bolały, jakbym nie spał od kilkadziesiątu godzin. Spojrzałem w bok na Aresa. Spokojna, zdawałoby się kamienna twarz, zamknięta w szklistej bani, nie nosiła żadnych śladów wzruszenia. Nurek patrzył przed siebie jakby zadumany, obojętny na wszystko. Tylko jego ręka, tak jak i moja, systematycznie naciskała przyspieszacz. Wreszcie z mroku wyłoniła się ściana miotacza i musieliśmy zmniejszyć szybkość. Szczelinę znaleźliśmy prawie natychmiast, jednak wydała mi się znacznie węższa niż przed kilkoma godzinami.

— Częściowo się zamknęła przy trzęsieniu — powiedział Raman, wpływając w jej wnętrze.

Na myśl, że może pod ścianą otwór zawarł się, odcinając nam odwrót — przebiegł mnie dreszcz. To dziwne — nie mieliśmy żadnych szans ratunku, a przecież nie chciałem umierać wewnątrz miotacza, chociaż właściwie powinno to być całkiem obojętne. Otwór jednak pozostał, ciaśniejszy niż przedtem, lecz przebyliśmy go bez trudności. Wypływając spod fundamentów zobaczyłem jasne światło przebijające masy zmętniałej wody.

— Co to? — zapytałem.

— Zawiesili nad kraterem reflektory — mruknął w odpowiedzi Ares.

Wypływaliśmy właśnie ze szczeliny, gdy ponownie wystąpiły wstrząsy, tym razem chyba silniejsze. Ze stromych ścian odrywały się kamienie, spadając w zwolnionym tempie na dno pęknięcia. Włączyliśmy motory na pełny bieg. Dno kotliny, jaskrawo z góry oświetlone, dymiło chmurami pyłu. Olbrzymie masy wodne drgały, rwane gwałtownymi prądami tworzącymi się w kraterze, ciskając nami na wszystkie strony. Potem wypadki potoczyły się błyskawicznie, pozostawiając w pamięci tylko jakieś strzępy obrazów i wrażeń. Przez ułamek sekundy dostrzegłem oślepiający błysk gdzieś pod ścianami skalnymi, klosz hełmu wypełnił okropny huk grzęznący w najodleglejszych komórkach mózgu. Pehnięty niewidoczną, ale potworną siłą poleciałem w głąb kotliny. Przed oczyma latały mi czarne płatki, w głowie wirowało kolisko, zataczając coraz większe i wolniej obracające się kręgi. To już koniec — myślałem, starając się przewyciężyć opanowującą mnie słabość, gdy w słuchawkach

zabrzmiął daleki, przerywany głos Ramana:

— Ratunku! Jestem w szczelinie! Ratunku!

Czarne płatki powoli opadały i zaburzenie wzrokowe ustąpiło. Rozejrzałem się dookoła. Byłem nad kotłnią i płynąłem pełną siłą motoru wprost na niedaleki mur skalny. Pokonując całą siłą woli osłabienie, zmieniłem w ostatniej chwili kierunek. W dole kłębiły się chmury burego pyłu, przewalając się nad niewidocznym dnem. Z przerażeniem dostrzegłem, że zbocze, pod którym niedawno byłem, drgnęło jakby nabierając oddechu i z góry na dół przecięła je gruba rysa rozgałęziająca się na wszystkie strony. Rzuciłem się do ucieczki.

Bezвольно szarpnąłem gałkę. Zobaczyłem wynurzający się z boku smukły kształt motorówki, czyjeś ręce wciągnęły mnie pod szklistą osłonę i zatrzasnęły na skafandrze pas bezpieczeństwa. Nie miałem czasu na zastanowienie się, gdy kierowca zerwał bezpiecznik i łódź jak strzała rzuciła się w kierunku skalnych ścian. Pęd wtoczył mnie w poduszki siedzenia — kątem oka dostrzegłem, że całe zbocze zaczyna obsuwać się, spadać w dół, w którym na jego spotkanie wstaje coś ciemnego, pędzącego błyskawicznie ku górze. Potworna siła cisnęła nami ponad piłę szczytów górskich. Otoczony nagle ciemnościami czułem, że łódka wykonuje kilkakrotne salto i że wiszę tylko na pasach. Dookoła coś huczy, trzeszczy i skomli w czerni wód. Nie wiem, jak długo to trwało — godzinę, minutę czy sekundy.

— Spokojnie, spokojnie — dyszy ciężko głos w słuchawkach, ginąc w łoskocie walących się gdzieś obok skał. Wokół czarno. Motorówką rzuca na wszystkie strony. Zmuszam się, żeby opanować ataki mdłości.

Nareszcie nieco spokojniej. Płyniemy całą mocą silnika, aż drżą ściany motorówki. Na ekranie „podmorskiego oka” jarzy się niewielki obraz. Widać na nim przesuujące się w dole szczyty skalne. Przed nami pustka wodna, w której raz po raz pojawiają się czarne plamy różnej wielkości. Odetchnąłem z ulgą.

— Wydostaliśmy się — głos mój zabrzmiał nienaturalnie, zniekształcony drżeniem warg.

— Jeszcze niezupełnie — odpowiedział kierowca pochylony nad ekranem. — Widzi pan te plamy? To opadają głazy wyrzucone przez wulkan. Spotkanie z którymkolwiek z nich oznacza dla nas katastrofę.

Pamiętam, że nie zrobiło to na mnie wrażenia, przypomniałem sobie nagle przeraźliwy głos Ramana wzywającego pomocy. W motorówce jest nas tylko trzech — kierowca, Ares i ja. Czyżby on...? Targnęło mną straszne przeczucie. Siedziałem przez chwilę zeszywniały, nie mogąc wykrztusić pytania cisnącego się na skołowaciały język.

— Gdzie Raman?

Nikt mi nie odpowiedział.

— Ares... mów! Zostawiliście go tam?! — szarpnąłem za skafander siedzącego nieruchomo nurka. Odwrócił powoli głowę. Wtedy zobaczyłem na jego oliwkowej twarzy, chłodnej i beznamiętnej, toczące się łzy.

ZAKOŃCZENIE

Minęło kilka godzin, zanim zdołałem wydostać się z rąk lekarzy. Stwierdzili, że jestem zdrowy. Z początku nie mogłem w to uwierzyć — przecież widziałem w forcie potworne laboratorium i jego ofiary, a długowieczność bakterii była mi dobrze znana. Mogły przetrwać w każdym miejscu, w murach, w zgniłej atmosferze tuneli, wśród papierów i pieniędzy, które brałismsy do rąk. A jednak badania niczego nie wykryły.

Istnieje jakieś zdziwienie wewnętrzne, niedowierzanie własnym zmysłom, gdy ogląda-

my osoby lub przedmioty, których nie spodziewaliśmy się już nigdy spotkać. Uczucie to towarzyszyło mi stale od chwili pożegnania lekarzy. Oto idę znowu głównym korytarzem statku, wokół mnie znajduje się zespół przedmiotów i zdarzeń, z którymi w myślach pożegnałem się na zawsze. Za chwilę spotkam Aresa, Atlona, Szmidta, doktora... Jednego tylko nie zobaczę nigdy — Ramana. Jego sekundy skończyły się zbyt wcześnie, wyprzedził nas o kilka metrów, które zadecydowały o śmierci. Jest w tym coś niepoważnego. Dwa metry w przód — wieczna nicość, dwa w tył — życie, cenniejsze ponad wszystko, chociaż jest tylko progiem nicości. Dziwna gra...

W klubie czekano już na mnie. Przyjaciele chcieli uczcić nasz powrót lampką wina. Byłem głęboko wzruszony patrząc na ich twarze. Rozmowa po kilku minutach znacznie się ożywiła. Początkowo tematem było wznowienie działalności przesyłowej na linii miasto atomowe-Kosmonium, potem jednak weszły na plan pierwszy sprawy fortu.

— Gdy byliście już w forcie, poprzedzająca was ekipa rozminowała pierwsze pole — mówił Juwar, pochylając się w moją stronę. — Sprawa była nieskomplikowana — większość min miała zapalniki niezdatne do użytku, a ich wykrycie i neutralizacja nie przedstawiały trudności. Pamiętacie pierwsze wstrząsy, jakie zanotowały sejsmografy, gdy pilnowaliśmy dyskolotów? Ich źródło zlokalizowaliśmy bardziej na wschód. Potwierdziły to zresztą inne stacje w przesłanych nam komunikatach. Kotlina, w której znajdował się miotacz, to stary krater jakiegoś wulkanu. Jego wierzchołek przed tysiącami lat wznosił się może ponad oceanem, tworząc jedną z wielu zaginionych wysp. Chcieliśmy zbadać historię tego skrawka ziemi, dlatego następna ekipa zabrała na dno odpowiednie aparaty, wśród których znalazł się także i sejsmograf. Jakież jednak było nasze zdziwienie, gdy pierwsze meldunki stwierdziły, że wulkan jest czynny i temperatura skał szybko wzrasta. Wykres przesłany przez sejsmograf zaskoczył mnie. Resztę wyliczeń podał nam mózg elektronowy. Byliście wówczas w nastawni — czas waszej drogi powrotnej do ściany miotacza pokrywał się prawie z momentem wybuchu. Pomóc wam już nie mogliśmy, musieliście się sami ratować.

Juwar zamilkł, obracając w palcach kielich z winem.

— Niech pan mówi dalej — odezwał się cicho Ares.

— Resztę właściwie znacie. Od szybkości waszej ucieczki z fortu zależało wszystko. Wysłaliśmy do szczeliny dwa automaty, lecz zostały zniszczone wybuchami min. Potem zgłosili się nurkowie, aby po was jechać do krateru. To była trudna sytuacja, każdy z nas przecież może robić to, co chce, jeżeli jego działalność nie zagraża bezpieczeństwu ogółu. „Delfin” znajdował się już poza rejonem wybuchu, lecz myśl o was nie dawała nikomu spokoju. Ostatecznie zgodziliśmy się wszyscy, żeby wysłać najzręczniejszego kierowcę. Wybór padł na meteorydę Orina.

Spojrzałem dokoła. W międzyczasie sala klubu wypełniła się ludźmi spędzającymi tutaj chwile wolne od zajęć. Wśród stolików krążyły usługujące automaty. Zewsząd słychać było szmery rozumów, przerywane czasem wybuchem śmiechu. Nigdzie jednak w barwnym gronie mieszkańców „Delfina” nie dostrzegłem młodego tahimorczyka.

— Dlaczego Orin do nas nie przyszedł? — zapytałem.

Juwar uśmiechnął się.

— Znacie chyba, redaktorze, meteorydów. To bardzo niespokojni ludzie, którym trudno usiedzieć na miejscu. Pociągnęła go Antarktyda — Helios II. Potrzebują tam dobrych nurków.

— Więc wyjechał?

— Tak. Dzisiaj rano zabrał go ślizgowiec oceaniczny „Błysk”.

Trudno. Nie mogłem mu osobiście podziękować. W tej chwili otulony w polarny skafander ogląda już zapewne lodowce przy Barierze Rossa.

— Chciałbym go jeszcze kiedyś spotkać — powiedziałem.

— Ziemia jest mała, o spotkanie nietrudno — Atlon śmiał się, mrużąc oczy. — Przecież i my spotkaliśmy się po latach w Kairze. Proponuję, żeby zwyczajem naszych przodków

wypić zdrowie meteorydy Orina!

Tręciliśmy się kielichami. Metaliczny dźwięk kryształu wypełnił ich wnętrza, zmieniając barwę wina na wszystkie kolory widma słonecznego. Chwilę patrzałem, jak tęczowe smugi mieszają się w cieczy, tworząc kształt jaskrawego węża zorzy polarnej, który się zwija w miarę gaśnięcia drgań.

Chwilowe milczenie przerwał Atlon.

— A więc niebezpieczeństwo promieni zakłócających już nie istnieje, miasto atomowe może pracować spokojnie, a my rozjedziemy się po świecie. Czy nie sądzicie jednak, panowie, że właściwie to my niczego nie wiemy?! Cała sprawa przeszła jakby bokiem, poza nami, ocierając się zaledwie o dyskoloty, motorówki, automaty, fort w kraterze, tragiczną śmierć jego mieszkańców... Miotacz obleka nadal tajemnica, której rąbka nie potrafililiśmy uchylić. Oglądałem film zrobiony przez redaktora, lecz kto pod te zdjęcia podłoży właściwą treść?

Profesor Szmidt poruszył się niespokojnie w fotelu.

— Ależ wydaje mi się, inżynierze, że sprawa nie jest aż tak skomplikowana — powiedział. — Znamy dostateczną ilość faktów, aby odtworzyć historię fortu, i to w sposób dosyć wierny. Może ja pierwszy spróbuję? Otóż fort wzniesiony przed Dniem Zjednoczenia stał się ostatnią kryjówką dawnych dyktatorów ekonomicznych oraz wiernych im oddziałów gwardii. Nie pogodzili się z utratą wpływów, tym bardziej że to, co posiadali jeszcze w swych rękach, a więc broń atomową i bakteriologiczną, uważali za wystarczające środki do powrotu. Świadczy o tym przede wszystkim świetnie jak na owe czasy wyposażone laboratorium atomowe, w którym zapewne uzyskano ciężką odmianę przywiezionego tutaj bellonium, laboratorium bakteriologiczne, magazyny broni, łódź podwodna i całe otoczenie fortu. Jednego tylko nie wzięli pod uwagę, knując swoje plany. Podobny błąd zrobiliśmy zresztą i my. Otóż nie wzięli pod uwagę niebezpieczeństwa eksperymentowania nad bellonium. Szukaliśmy wspólnie miotacza promieni zakłócających na suchym lądzie, nie biorąc zupełnie pod uwagę możliwości ukrycia go w oceanie, a ściślej mówiąc — w wodzie. Dlaczego? Po prostu dlatego, że według naszych doświadczeń już niewielka warstwa wody pochłania szkodliwe promieniowanie całkowicie. Nie wzięliśmy pod uwagę specyficznych właściwości promieni zakłócających, właściwości pozwalających im przeniknąć przez 300-metrową warstwę wody, która nie stanowi dla nich nieprzebytej przeszkody. Jak zatem silne promieniowanie miało miejsce w forcie w chwili doświadczeń? Przez jaki okres czasu organizmy mieszkańców wystawione były na ich działanie, jeżeli stwierdziliśmy, że przemiana bellonium w ciężką odmianę jest procesem długotrwałym? Twierdzenie, jakoby bakterie spowodowały śmierć tych ludzi, jest nie do przyjęcia, nasi lekarze nie stwierdzili przecież ich istnienia w organizmach i ubiorach redaktora i Aresa. W forcie o działających dotychczas regeneratorskich powietrza, normalnej wilgotności itd. znajdowały się przecież pełne warunki do przetrwania. Zatem nie bakterie były przyczyną śmierci mieszkańców fortu. Była nią choroba promieniowa atakująca gwałtownie narządy przewodu pokarmowego i rdzeń kręgosłupa — stąd oglądane na zdjęciach zwłoki skrzycone bólem, zaciskające ręce w okolicy żołądka. Cel wybudowania miotacza jest także obecnie zrozumiałe — chodziło prawdopodobnie o zniszczenie wrogów, którzy by ewentualnie zaatakowali fort i jego mieszkańców. Zauważyliście państwo zapewne, że kotlina była zupełnie wymarła, nie spotkaliśmy tam ani jednej ryby, tylko na samym dnie i pod miotaczem rozwijała się nikła wegetacja roślin. Świadczy to raz jeszcze o słusznym określeniu przyczyny śmierci jego mieszkańców, lecz zarazem i o przeznaczeniu miotacza. Łódź podwodna, która by wpłynęła w zasięg jego działania, skazana była na zagładę. Promienie rozładowałyby jej akumulatory, a resztę dokonałyby już pociski sterowane. Uniknęliśmy zatem groźnego niebezpieczeństwa.

— Czym jednak tłumaczy pan działanie miotacza w ciągu dwóch wieków? — zapytał Ares.

— Trudno na to odpowiedzieć — odrzekł Szmidt — lecz to właściwie nie ma żadnego

wpływu na historię fortu. Po prostu śmierć zaskoczyła jego mieszkańców w momencie, gdy miotacz był włączony — albo może podziemne wstrząsy uruchomiły jakąś zepsutą w ciągu tylu lat aparaturę kierującą emisją.

Wyjaśnienie spraw fortu dokonane przez Szmida zupełnie mnie nie przekonało. Było zbyt proste, sprzeczne z tymi wyobrażeniami, jakie wyniosłem spod miotacza. U podstaw rozwiązania zagadki leżał zasadniczy błąd — niedocenianie tych ludzi. Byli to ostatni uciekinierzy ze zjednoczonej Ziemi — zgoda, ale dlaczego mieli nie zdawać sobie sprawy z niebezpieczeństwa eksperymentowania nad bellonium? I to w dodatku oni, jego twórcy i jedyni użytkownicy, dysponujący wszystkimi zdobyczami współczesnej im techniki, a zatem i pierwszorzędnymi fachowcami w dziedzinie rozszczepiania jądra atomowego. Przebywając przez długie trzy dni w izolacji przemyślałem dokładnie całą sprawę: analizując wszystko, co widziałem, doszedłem do zupełnie innych wniosków, które zanotowałem na taśmie fonografu. Chciałem je przesłać do „Globu” jako zakończenie cyklu wiadomości i reportaży dotyczących wyprawy Szmida. Zatem gdy profesor skończył swoje wywody, zabrałem z kolei głos.

— Nie mogę się zgodzić z pańską interpretacją — powiedziałem, wyjmując z kieszeni fonograf — i nadal twierdzę, że śmierć mieszkańcom przyniosły hodowane w forcie bakterie. Wniosek nie jest taki nieuzasadniony, jak to przedstawił profesor. Niestwierdzenie obecności bakterii w naszych organizmach może mieć zupełnie inne przyczyny.

— Jestem zatem ciekaw, redaktorze, jaka jest pańska interpretacja zdarzeń, które zaszły w forcie — powiedział Szmida uprzejmie. — Ostrzegam jednak, że mocno będę bronił zajętego stanowiska, ponieważ nie widzę w nim nic sprzecznego z logiką i naukowym wyjaśnieniem sprawy.

— Proszę, może pan przedstawi swój punkt widzenia — powiedział Atlon — ponieważ i ja nie we wszystkim mogę się zgodzić z profesorem.

Juwar i Ares spojrzeli na mnie wyczekująco, wobec czego włączyłem fonograf, który odczytał urywek mojego ostatniego komunikatu:

„...pozostają jeszcze do wyjaśnienia tragiczne wypadki, które zniszczyły ludzi zamieszkałych pod miotaczem. Niewątpliwie tak zwany fort jest jedną z baz wojennych wzniesionych krótko przed Dniem Zjednoczenia. Budowa otoczona była ścisłą tajemnicą, a wszelkie ślady zostały skrupulatnie zatarte, tak że jedynie niewielka ilość osób wiedziała o jego istnieniu. Było to ostatnie schronisko tych ludzi, nie chcących się pogodzić z nowym ładem społecznym. Historia przekazała nam wiadomość, że jakaś grupa opuściła Ziemię na największym ze sztucznych księżyców, udając się w przestrzeń międzyplanetarną. Los ich jest dotychczas nie znany, lecz wiemy, że satelita ten mógł pomieścić znacznie więcej osób, niż faktycznie zabrał oraz że było dosyć czasu, aby wszyscy, którzy chcieli, mogli dostać się na jego pokład. Któż zatem nie mógł skorzystać z tej drogi ucieczki? Na pytanie to można dać odpowiedź — na sztuczny księżyc nie mogli się dostać jedynie ludzie z broniącego się jeszcze UACO oraz stała załoga fortu. Historyk Brandton w swoich wspomnieniach pt.: *Na ziemskim terminatorze* podał dwa ważne fakty. Pierwszym z nich jest zaginięcie z magazynów UACO dużej ilości bellonium, drugim zniknięcie generała Mortona i towarzyszy z jednej z Wysp Hawajskich. Te dwa pozornie odrębne wydarzenia łączą się jednak ściśle ze sprawą fortu. Morton nie tylko wiedział o forcie, w którym ukryto wywieziony ładunek, lecz również był z nim w kontakcie. Wysłana łódź podwodna zabrała generała i towarzyszy z miejsca odosobnienia, przewożąc ich do bazy w kraterze. Wypadki, które nastąpiły tam później, mają cechy sabotażu dokonanego przez jakąś grupę spośród załogi. Świadczy o tym przede wszystkim poważne uszkodzenie łodzi podwodnej stojącej w basenie. Brandton opisując przekazywanie zakładów UACO nadmienia, że nawet najbardziej zaufani naukowcy przeciwni byli zbrodniczemu planowi Mortona związanym z bellonium.

Czyż nie należy przypuszczać, że tacy ludzie znaleźli się także wśród pracowników fortu? Jeśli przyjmiemy taką hipotezę, reszta wydarzeń układu się już w dosyć logiczną

historię. Doświadczenia nad bellonium dobiegają końca, ciężka odmiana pierwiastka została wytworzona, o czym świadczy miotacz, w laboratorium B wyhodowano potrzebne szczepy bakterii. Morton szykuje się do wyprawy na suchy ląd. Niektórzy naukowcy wzdragają się przed tak potworną zbrodnią, której ofiarą padłyby miliony ludzi, postanawiają zatem raczej zniszczyć fort, niż do niej dopuścić. Jeden z nich powoduje ciężkie uszkodzenie łodzi podwodnej, inni rabują słoje z bakteriami, które być może w trakcie walki ulegają rozbiciu. Fort zostaje zakażony. Bakterie są nadzwyczaj złośliwe — załoga ginie masowo w pokojach, na korytarzach, w sali przed komendanturą, która rozdaje mało skuteczne lekarstwa. W końcu przy życiu zostaje tylko jeden albo dwóch ludzi, sprawców katastrofy. Ludzie ci...”

— Może pan na chwilę wyłączy fonograf — poprosił Szmidt.

Zastosowałem się do jego życzenia.

— Drogi redaktorze — powiedział profesor, patrząc na mnie z uśmiechem — to, co nam pan przedstawia, przypomina raczej sensacyjne opowiadanie. O ile początek opowieści nosi pewne cechy prawdopodobieństwa, o tyle dalsze są wytworem czystej fantazji i nie mogą w żadnym wypadku podważyć mojego tłumaczenia. Ta historia z sabotażem, walką grupy naukowców przeciwko Mortonowi, ostatni ludzie blakający się po korytarzach budynku... znaleźć może nawet licznych zwolenników wśród spragnionego sensacji tłumu, lecz nie przekona żadnego z naukowców.

— Bardzo przepraszam — zawołałem oburzony — lecz fakty pozwalają na podobne przypuszczenia!

— Redaktorowi chodzi zapewne — powiedział milczący dotychczas Ares — o utorowaną wśród zwłok w sali-grobowcu ścieżkę i otwarte drzwi do komendantury. No, oczywiście, któryś z nich umarł ostatni i utorował sobie przejście, lecz nie jest to dowodem, że człowiekiem tym był sprawca lub sprawcy tragicznej śmierci mieszkańców. Mógł być to, na przykład, lekarz mający dostęp do odpowiednich preparatów. Także awaria statku podwodnego nie jest dostatecznym powodem do stworzenia historii o sabotażu.

— A człowiek siedzący w nastawni laboratorium A? — zawołałem. — Ten niewątpliwie umarł ostatni i chyba nie przez bakterie, bo nie znać na nim było skurczów i bóleści agonii. A jak pan wytłumaczy znalezienie się przed salą laboratorium B tej maszyny, przez którą w drodze powrotnej musieliśmy przechodzić? Sprawdzałem w encyklopedii technicznej, to urządzenie było automatem wytwarzającym promienie nadfioletowe, które, jak wiadomo, niszczą bakterie!

Rozpoczęła się gorąca dyskusja. Niewątpliwie wyjaśnienia mogły budzić sprzeciwy, lecz przytoczone przeze mnie fakty przemawiały za takim właśnie tokiem wydarzeń, jakie przedstawiłem w moim komunikacie dla „Globu”. Zapytałem milczącego Juwara, jakie jest jego zdanie.

— Jestem widocznie naturą przekorną — odpowiedział oceanolog po chwili — bo nie zgadzam się ani z profesorem Szmidtem, ani z panem, redaktorze. Nie zgadzam się tylko z wyjaśnieniem powodów śmierci tych ludzi. Obecność generała Mortona w forcie jest bardzo prawdopodobna, powiem nawet, że jest dla mnie zupełnie pewna. Tak, ten człowiek musiał się tam znaleźć, nigdzie indziej schronić się nie mógł po ucieczce z Wysp Hawajskich. Uciekł zapewne na łodzi podwodnej, która stała w porcie. Ale nie wzięliście, panowie, pod uwagę... wody. Tak, wody, wpływu oceanu na psychikę człowieka zamkniętego w betonie bunkra, tego powolnego mijania dni, z których każdy wsącza zwątpienie i pustkę. Każdy z nich drażył umysły tych ludzi jak krople wody spadające przez lat dziesiątki na kamień. A każdy dzień w forcie był po pewnym czasie jak rok długi dla każdego człowieka załogi. Owszem, wybuchały bunt i niezadowolenia, lecz te zawsze można było stłumić, mając środki, którymi rozporządzał Morton. Twierdzi pan, redaktorze, że to grupa uczonych spowodowała katastrofę. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że generał po zdradzie najbliższych współpracowników w UACO nie ufał już żadnemu uczonemu, a prawdopodobnie nie ufał nikomu z załogi fortu. Wszędzie

podejrzewał spiski i knowania. Po pewnym czasie była to już ruina człowieka, kłębek nerwów napiętych do ostateczności, podtrzymywany narkotykami. W Mortonie rzeźbiły krople oceanu głębsze bruzdy niż w kimkolwiek, przygniatał go beton, przygniatał miotacz i mrok oceanu oraz myśli. Zna pan chyba to uczucie samotności wśród wód z kotliny posągów, chociaż odłączył się pan od nas na pół godziny, zna pan je także z wyprawy pod miotacz. Nie jest to jednak uczucie właściwie charakteryzujące stan w forcie, bowiem pan wiedział, że ktoś rozpocznie poszukiwania, że jest do kogo wracać... Morton wracać już nie miał do kogo, bo i ta świadomość musiała do niego dotrzeć. Dzień za dniem, kropla za kroplą, w umyśle Mortona legło się szaleństwo. Aż wybuchło: mieszanina strachu i nienawiści, pogarda dla wszystkiego i wszystkich musiała się uzewnętrznić, i to uzewnętrznić się potwornie. A w jaki sposób to się stało...?

Siedzieliśmy w milczeniu. Wizja ostatnich dni fortu ukazana przez Juwara była wstrząsająca. Morton-szaleniec wśród gromady innych niemniej szalonych ludzi, Morton układający koszmarny plan zagłady... Nie mieliśmy już ochoty na dalszą rozmowę, chociaż wywodom Juwara można było wiele zarzucić. Pożegnaliśmy się szybko.

Wyszedłem na pokład „Delfina” aby odetchnąć świeżym, morskim powietrzem. Rozgwieżdżone niebo zdawało się być olbrzymią kopułą, która nakryła wody Oceanu Spokojnego.

SPIS TREŚCI

Nik Natin	02
I Promienie E	03
II Bellonium	08
III W Tahimorze	11
IV Posąg	15
V Ostatnie dni UACO	20
VI Promienie zakłócające	24
VII Instytut w Kordylierach	30
VIII Kotlina	40
IX Miotacz	51
X Fort (I)	56
XI Fort (II)	61
XII Ucieczka	66
Zakończenie	68